SIECI

PRZEWODÓW
CO NAPRAWDĘ TAM SIĘ ZDARZYŁO, JAKIE KONSEKWENCJE? PISZĄ: BUDZISZ I ROKITA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 47 (521) 2022
21–27 listopada 2022
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

DZIENNIKARZE POTĘŻNEGO KONCERNU MEDIALNEGO, MAJĄCEGO NA SZTANDARACH HASŁA O WOLNOŚCI SŁOWA, SAMI PRÓBUJĄ DŁAWIĆ KRYTYKĘ PRASOWĄ. CZY SĄDY PRZYŁOŻĄ DO TEGO RĘKĘ?

TYLKO U NAS

CENZURA W NATARCIU

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl 1fa3695ca6

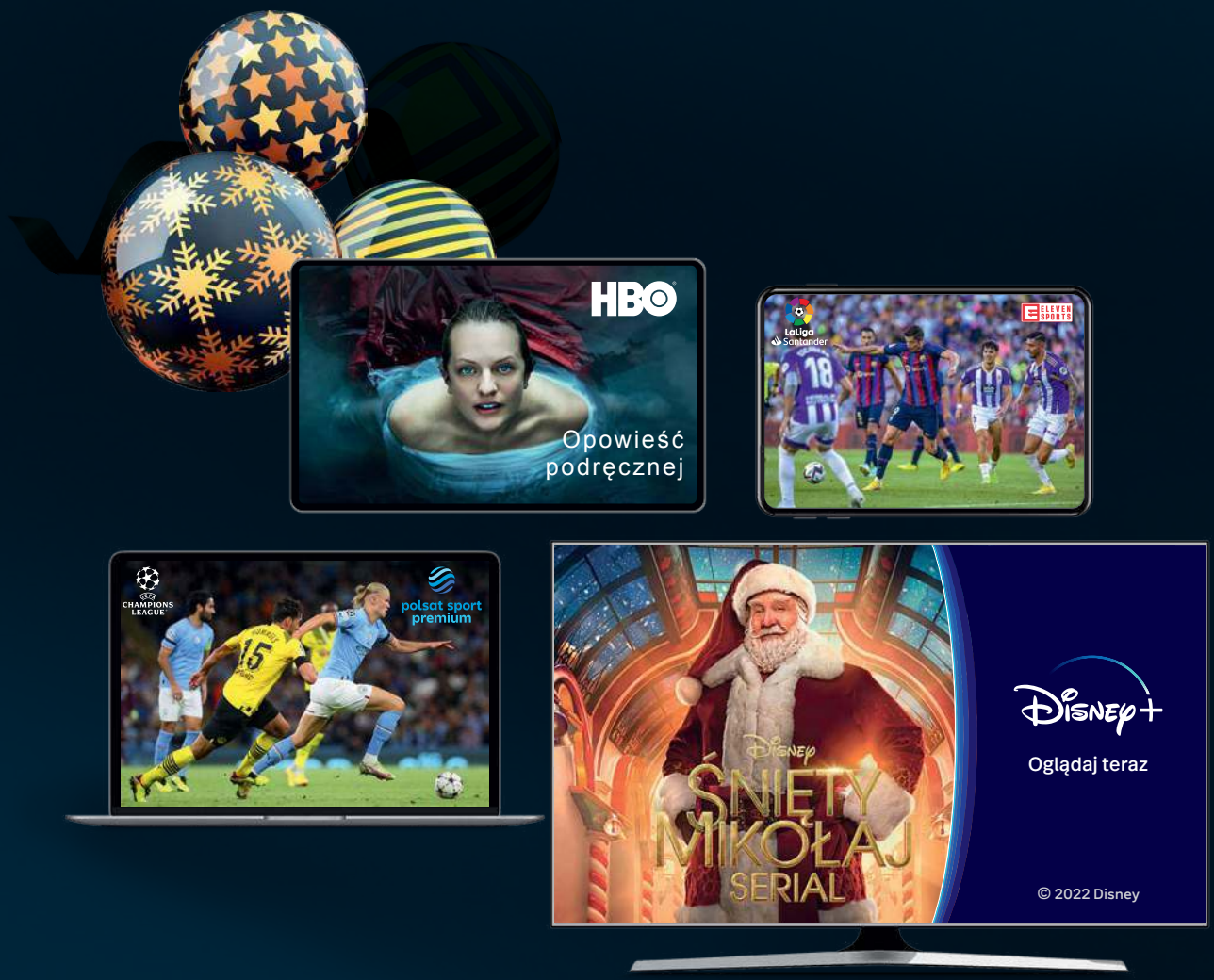

Moc świątecznych atrakcji

6 telewizja na start miesięcy bez opłat

Pobierz ulotkę

polsat box

Wybierz swoje wszystko

Oferta ważna na dzień 14.11.2022 r. Promocja dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 miesiące. „Telewizja na start 6 miesięcy bez opłat" dotyczy wykupionej przez Klienta oferty i nie obejmuje opłaty jednorazowej za aktywację dekodera ani opłat za internet. Serwis Disney+ nie jest dostępny na dekoderach. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company (Benelux) B.V. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl

LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images. ELEVEN SPORTS nie gwarantuje dostępu do wszystkich meczów LaLiga; prawa dzielone z innym nadawcą. „Opowieść podręcznej" sezon 5 © MGM Television Entertainment Inc. All rights reserved.

eprasa pl 11a3695ca6

Tej pamięci nie zabiliście ani nie zabijecie

To kolejny bój o Polskę przegrany przez gazetę Michnika. Pozostało im odpalenie liczydeł i zjadliwe manipulacje wokół miejsc pamięci o tragicznie zmarłym prezydencie.

„Róg Kaczyńskiego i Kaczyńskiej: liczba miejsc, którym patronuje para prezydencka, przekroczyła już 200" – wyliczyli małopolscy dziennikarze „GW", a ich tekst znalazł miejsce na czołówce portalu dziennika.

Jest nawet mapka Polski z zaznaczonymi skwerami, rondami, ulicami i tunelem im. Lecha Kaczyńskiego. To nazwa tej ostatniej inwestycji na zakopiance zabolała redakcję do tego stopnia, że zdecydowano przygotować owo zestawienie.

I taki atak: „Dla lokalnych samorządowców patronat Lecha i Marii Kaczyńskich jest pomostem do kontaktów z Warszawą i sposobem na zyskanie przychylności władzy. Dlatego nie tylko stawiają pomniki, ale nazywają ich imieniem szkoły, ronda, korty tenisowe i sale w urzędach".

To teza gazety z Czerskiej kładziona czytelnikom do głów tępym narzędziem. Dla nich to nie mają być zasłużone miejsca pamięci, lecz elementy politycznej gry i budowania... kultu: „Kult pary prezydenckiej zaczął powstawać już w pierwszych dniach po katastrofie smoleńskiej, a miejsc poświęconych małżeństwu Kaczyńskich przybywa z roku na rok" – utyskują redaktorzy.

A przecież zdecydowana większość tych upamiętnień to efekt oddolnych inicjatyw, społecznych zbiórek i zawsze odpowiednich decyzji władz – zwykle samorządowych.

Czytam też, że „wyścig o to, kto pierwszy upamiętni zmarłego prezydenta, wygrało Leszno. Już pięć dni po katastrofie smoleńskiej Lech Kaczyński został honorowym obywatelem miasta. Uchwałę przyjęto przez aklamację". „Wyścig"? A czemu miałby on niby służyć w 2010 r.? Platforma Obywatelska była wówczas jeszcze bardzo mocna, szła po drugą kadencję i prezydenturę. W interesie samorządowców było więc nie podlizywanie się (idąc za logiką „Wyborczej") Jarosławowi Kaczyńskiemu, lecz Donaldowi Tuskowi. A jednak – mimo niesłychanej nagonki na nieżyjącego już prezydenta i kaskady rosyjsko-polskich kłamstw wokół katastrofy smoleńskiej – w wielu miejscach naszego kraju postanawiano oddać hołd pierwszemu obywatelowi tragicznie zmarłemu na służbie w symbolicznym miejscu w tak niejasnych okolicznościach.

Lechowi Kaczyńskiemu ta pamięć się należy, a jego zasług nie przekreślą żadne kampanie nienawiści ani prowadzone za jego życia, ani po 10 kwietnia 2010 r.

Wyliczenia gazety Michnika trzeba czytać jako przyznanie się do wielkiej porażki. Nie udało jej się zabić pamięci o śp. prezydencie, powstrzymać stawiania tych wszystkich pomników, nadawania nazw ulicom, szkołom. To jej spektakularna klęska w boju, który podjęła natychmiast po katastrofie smoleńskiej. Bo przecież to ona rozkręcała awanturę wokół pochówku pary prezydenckiej na Wawelu. Później z satysfakcją odnotowywała porażki wojewody mazowieckiego w starciu z Radą Warszawy i NSA, dla których komunistyczni patroni byli cenniejsi od najwybitniejszego prezydenta, jakiego miała III Rzeczpospolita. Dawała potężne medialne wsparcie prezydent Gronkiewicz-Waltz konsekwentnie torpedującej postawienie tragicznie zmarłej głowie państwa pomnika w godnym miejscu stolicy. I wreszcie kibicowała (i kibicuje) troglodytom z ulicznych bojówek opozycji, które co i rusz próbują bezcześcić pamięć o Lechu Kaczyńskim oraz pozostałych ofiarach katastrofy m.in. przy pomniku na pl. Piłsudskiego.

I wszystko w piach. Co nie znaczy, że ci ludzie ustaną. Może nawet będą jeszcze zjadliwsi, jeszcze ostrzej będą prowokować szwadrony współczesnej barbarii, którą wyhodowali wśród swoich wyznawców.

Niech jednak pamiętają, że nadejdzie czas, w którym ich ukochana „Wyborcza" przestanie istnieć, a te pomniki wciąż będą stały.

Czas się z tym pogodzić i po cichutku wrócić do swoich jaskiń.

Marek Pyza

Reklama | 39/0322/F

SIECI

spis treści

42 *Z Danielem Obajtkiem rozmawiają Jacek Karnowski i Maciej Wośko*

61 Słowo w niewoli *Dariusz Matuszak*

76 Cisza przed Katarem *Cezary Kowalski*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **SIERPY I MŁOTY**
Krzysztof Feusette

9 **OPIŁUJCIE SIĘ SAMI**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **8 MLD KONFLIKTÓW**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **POLSKA I UE – KOLEJNE STARCIE**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA BARTOSZA ZMARZLIKA**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **JEDNOŚĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **TO MOŻE BYĆ PUNKT ZWROTNY**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **CENZURA W NATARCIU**
Marek Pyza

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

24 **WOJNA DOSIĘGA POLSKĘ**
Marek Budzisz

27 **UKRAIŃSKI FATALNY WTOREK**
Jan Rokita

KRAJ

30 **Z ADAMEM BIELANEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

36 **CZY PIS MOŻE WYGRAĆ WALKĘ O KOBIETY?**
Dorota Łosiewicz

40 **TUSK JAK GOMUŁKA**
Stanisław Janecki

42 **Z DANIELEM OBAJTKIEM**
rozmawiają Jacek Karnowski i Maciej Wośko

47 **OWOCE BŁĘDNEJ POLITYKI**
Konrad Kołodziejski

50 **ODŚWIEŻANIE PAMIĘCI NIEMCOM**
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

53 **TRZY RAZY PRZEGRAĆ**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

56 **PRZECIW PROROKOM KLIMATYCZNEJ APOKALIPSY**
Grzegorz Górny

58 **NAMALOWAĆ KATOLICYZM OD NOWA**
Maciej Walaszczyk

61 **SŁOWO W NIEWOLI**
Dariusz Matuszak

HISTORIA

64 **POLSKA SZKOŁA HISTORII**
Marcin Wikło

SIECI KULTURY

67 **CZAS NA FINAŁ**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

70 **MATERIALNOŚĆ DUCHA**
Robert Tekieli

71 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

75 **TEKIELEGO „ALBO-ALBO". TRZECIEGO WYJŚCIA NIE MA**
Maciej Walaszczyk

SPORT

76 **CISZA PRZED KATAREM**
Cezary Kowalski

PODRÓŻE

84 **MOJE SZLAKI: NORDYCCY MALARZE**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

85 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

86 **TWARDA NAUKA**
Alina Czerniakowska

87 **DRON NA SZYJĘ**
Wiktor Świetlik

87 **APOSTAZJA**
Lech Makowiecki

88 **HORDA CHAOSU**
Piotr Cywiński

88 **PSALMY JUŻ W KOMPLECIE**
Adam Ciesielski

89 **Z WIERSZY LISTOPADOWYCH**
Leszek Długosz

90 **GDYBY UPADŁ KOLEJNY RZYM?**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 1fa3695ca6

Transformacja, cyfryzacja, innowacje i zrównoważony rozwój w firmie – trwa II odsłona „Idei Rozwoju Twojego Biznesu”

Tegoroczny listopad i początek grudnia to szansa dla polskich przedsiębiorców, by zgłębić najbardziej aktualne tematy związane z prowadzeniem biznesu. To właśnie w tym okresie w każdy wtorek i czwartek odbywają się wideokonferencje z cyklu #idearozwojubiznesu. Spotkania organizowane wspólnie przez Ministerstwo Rozwoju i Technologii oraz Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości dotyczą nowych rozwiązań i regulacji prawnych związanych z prowadzeniem działalności gospodarczej w Polsce

„Idea Rozwoju Twojego Biznesu” to cykl 10 wideokonferencji on-line o charakterze informacyjno-edukacyjnym. Ich celem jest przybliżenie znajomości nowych rozwiązań i regulacji dotyczących prowadzenia działalności gospodarczej polskim przedsiębiorcom i wszystkim osobom zainteresowanym daną tematyką. Spotkania odbywają się we wtorki i w czwartki i są dostępne on-line na stronie internetowej Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości.

Uczestnicy wideokonferencji będą mogli dowiedzieć się, jakie narzędzia sprzyjają rozwojowi transformacji, cyfryzacji, innowacji oraz zielonej gospodarki w firmie. Temat wsparcia transformacji cyfrowej dla polskich przedsiębiorców będzie omówiony na przykładzie Europejskich Hubów Innowacji Cyfrowych. Nie zabraknie też informacji, jak skutecznie inwestować w zielone technologie oraz czy efektywność energetyczna rzeczywiście się opłaca. Jedno ze spotkań będzie poświęcone wyzwaniom biznesowym powstałym w wyniku obecnej sytuacji na Ukrainie.

Jak podkreśla minister rozwoju i technologii Waldemar Buda – polski biznes nieustannie się zmienia, dlatego ważne jest, by przedsiębiorcy mieli dostęp do wysokiej jakości, rzetelnej wiedzy, która pozwoli im być na bieżąco z tematami, dzięki którym będą mogli efektywnie rozwijać swoją działalność. Na spotkaniach pojawią się m.in. tematy związane z technologią i cyfryzacją, które przybliżą uczestnikom innowacyjne podejście do prowadzonej działalności biznesowej.

– Tegoroczna, druga odsłona „Idei Rozwoju Twojego Biznesu” to dowód, że polscy przedsiębiorcy entuzjastycznie przyjmują dotychczasową ofertę edukacyjną przygotowywaną przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości i wynoszą z niej wiele cennej wiedzy. O sukcesie poprzedniej edycji świadczą liczby – ubiegłoroczny cykl obejrzało łącznie ponad 33,5 tys. osób, a stronę poświęconą spotkaniom odwiedziło ponad 49 tys. osób. Na poszczególne tematy będą się wypowiadać eksperci i specjaliści w swoich dziedzinach. Tematyka spotkań jest bardzo zróżnicowana i jestem przekonany, że dla wielu przedsiębiorców będą to wartościowe informacje. Dlatego gorąco zachęcamy do uczestnictwa w spotkaniach – zaznacza Dariusz Budrowski, prezes Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości.

Szczegółowe informacje o cyklu wideokonferencji „Idea Rozwoju Twojego Biznesu” można znaleźć na stronie PARP: www.parp.gov.pl/idearozwojubiznesu.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 47/1122/F

eprasa.pl 1fa3695ca6

Sygnalista nadaje

Po – jak się okazało przypadkowym – uderzeniu rakiety na suszarnię zboża w Przewodowie polskie władze wytrzymały nerwowo i nie popełniły najmniejszego błędu. Nie padło ani jedno słowo, które należałoby później prostować. Opozycja takim sukcesem nie może się pochwalić. Tomasz Lis skomentował tragiczne zdarzenie tak oto: „Wiadomo, że w celu przykrycia kolejnych informacji o swoim złodziejstwie, zdecydują się na coś oryginalnego i drastycznego". ***Roman Giertych*** podobnie: „Dziś wyszło pięć informacji o kolejnych kradzieżach zorganizowanych przez PiS. Coś musieli wymyślić". Pomijając fakt, że opozycyjne newsy o rzekomych aferach w PiS coraz bardziej przypominają doniesienia Radia Erewań, antypaństwowa plemienność Lisa i Giertycha mogłaby imponować nawet mieszkańcom Afryki Środkowej.

Po tragedii w Przywodowie Tusk zadeklarował wsparcie dla rządu: „W sytuacji zagrożenia, niezależnie od wewnętrznych sporów i różnic wszyscy musimy być zjednoczeni i solidarni. W tej trudnej chwili będziemy razem". Czy wytrwa w tym postanowieniu? Wątpliwe. Chwilę wcześniej Tusk zaprezentował wyjątkowo obrzydliwy filmik z takim oto przesłaniem: „Glapiński zna się na gospodarce jak Kaczyński na seksie". I puenta: „I dlatego każdego dnia, jak wchodzicie do sklepu, widzicie takie ceny". Jak widać, faktyczny sojusz Putin–Tusk, tak pięknie rozwijany od 2007 r., wciąż ma się dobrze. Putinowi dokładnie o to przecież chodzi: by antyrosyjskie rządy upadały pod ciężarem inflacji i gospodarczych turbulencji wynikających z wojny.

A teraz zagadka. Co miał na myśli Tusk podczas spotkania z mieszkańcami Sępólna Krajeńskiego, gdy mówił o potrzebie zmian w telewizji publicznej? Lider PO użył szokującego porównania: „Ale jeśli my przywrócimy normalną rolę telewizji publicznej: nie, żeby mówili »Tusk jest geniusz, a Kaczyński Żyd«". Czy była to świadoma próba wykorzystania antysemityzmu jako narzędzia walki politycznej? Czy chodziło o wpuszczenie do medialnego obiegu fałszywki, która ma teraz krążyć w najbardziej mrocznych zakątkach elektoratu? Jedno jest pewne: dla Tuska przeciwstawieniem komplementu „geniusz" jest słowo „Żyd", potraktowane tu jako obelga. Antysemityzm w najczystszej postaci. Obrzydliwe.

W czasie posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego prof. Tomasz Grodzki siedział obok premiera Mateusza Morawieckiego. W czasie, gdy przemawiał szef rządu, marszałek Senatu nie zdołał się powstrzymać i sięgnął po ciasteczko (delikatnie pogryzał) oraz po soczek. Prawdziwy arbiter elegantiarum! Nie wiemy niestety, gdzie uczą takich manier.

Posłanka KO ***Klaudia Jachira*** ma nieformalne kolorowe papiery i być może dlatego mówi to, co liderzy partii myślą, ale czego nie chcą mówić otwarcie. Teraz uderza w Jana Pawła II. „Czas odjaniepawlić polską, świecką przestrzeń publiczną!" – wykrzykiwała z mównicy i ciągnęła: „Dlatego czas na usunięcie z przestrzeni publicznej osoby, która przez dekady brała udział w ukrywaniu przestępstw w stosunku do bezbronnych dzieci. Czas, by Jan Paweł II przestał być patronem przedszkoli, szkół. Pora skończyć z tablicami na jego cześć we wszystkich publicznych instytucjach. Także tutaj, w Sejmie". Koleżanki i koledzy Jachiry, którzy grzali się w świetle polskiego papieża, gdy było to modne, milczeli. Nikt nie powiedział: „Dziecko, bardzo błądzisz, przeproś i milcz". PO wielu ludzi zaprowadziła tam, gdzie sami nigdy by nie zaszli.

W czasie posiedzenia Sejmu doszło do ostrego starcia między posłem Konfederacji ***Grzegorzem Braunem*** a wicemarszałek Sejmu Małgorzatą Gosiewską. „Jeśli dzisiejszy stan jest dla was

eprasa.pl 1fa3695ca6

stanem wyższej konieczności, to kiedy ten stan ustanie? Jakie warunki, na którym froncie wojennym mają być spełnione, żebyście stwierdzili..." – pytał (niejasno) Braun. Nie dokończył swojej wypowiedzi, ponieważ wicemarszałek Sejmu wyłączyła mu mikrofon. „Jakże to prostackie" – ocenił sytuację poseł. „Pan to się jeszcze modli po polsku czy już po rosyjsku?" – zapytała Gosiewska, zapraszając przy tym kolejną osobę na sejmową mównicę. Braun jednak dalej mówił coś w stronę wicemarszałek Sejmu. „Największy cham Rzeczypospolitej, ruska onuca. Ten poseł to cham" – rzuciła Gosiewska. Diagnoza surowa, ale w dużej mierze prawdziwa.

W sieci anonimowy internauta opublikował nagranie, na którym widać, jak prezydenci Gdańska i Sopotu spędzają czas z sędziami, którzy są znani z niechęci do obozu rządzącego. Nagrano m.in. sędziów Pawła Juszczyszyna i Igora Tuleyę, a także prezydenta Sopotu Jacka Karnowskiego. Obecna na spotkaniu była również ***Aleksandra Dulkiewicz***. Prezydent Gdańska wręczała też torby z logo zarządzanego przez siebie miasta gościom spotkania, w tym Juszczyszynowi. Internauta, który udostępnił filmik, twierdzi, że spotkanie miało miejsce w Sopocie. To jednak prawda, że mamy problem z upolitycznieniem części wymiaru sprawiedliwości. Mamy sędziów, którzy grają w inną grę, niż powinni.

Prof. Roman Kuźniar to były doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. międzynarodowych. Jak widzi obecną sytuację w naszym regionie? „Wydaje się, że Rosji wystarczy wojna na Ukrainie. W tym sensie, że jest wyczerpana, nie stać jej na nową awanturę. W perspektywie wielu lat mamy spokój. Paradoksalnie Polska jest dzisiaj bardziej bezpieczna niż przed 24 lutego" – mówi w rozmowie z „Wyborczą", przekonując, że w tej chwili nie ma ryzyka, iż Polska padnie ofiarą agresji zbrojnej np. ze strony Rosji. Historia, jak widać, uczy życia tylko tych, którzy chcą się uczyć. Bo przecież to środowisko z taką samą pewnością siebie głosiło tezy, że żadna wojna na Wschodzie nie jest możliwa. Trzeba Bogu dziękować, że ci ludzie zostali pozbawieni władzy odpowiednio wcześnie.

Kuźniar atakuje też zakupy sprzętu dla wojska. „Zbroimy się, jakby to Polska miała najechać Rosję, a przecież tak nie będzie. Do obrony potrzebny jest zupełnie inny sprzęt, np. do obrony naszego nieba, której po prostu nie ma. Dopiero teraz o tym się myśli" – twierdzi wbrew faktom, dodając: „Ruszyliśmy na zakupy, jak dzieci w sklepie z zabawkami mamy mieć wszystko najlepsze, choć może to być kompletnie nieprzydatne. Nie wiadomo też, skąd weźmiemy pieniądze, ale z pełnym koszykiem biegniemy do drugiego sklepu, od USA po Koreę Południową". Wreszcie taka oto myśl: „Oni myślą trochę w kategoriach »Czterech pancernych i psa«. Różnica w tym, że pancerni byli kompetentni, nie wyłączając psa, na dodatek sympatyczne chłopaki. Oni nie są kompetentni ani sympatyczni, a przy tym autystyczni". To chyba jakaś projekcja własnych problemów, bo wywiad Kuźniara rzeczywiście sugeruje autyzm, a przynajmniej potężne problemy w analizie rzeczywistości.

I jeszcze jedna myśl z wywiadu prof. Kuźniara, naprawdę wyjątkowa. Zarzut: „W ogóle nie korzystamy z Europy" w rozwijaniu naszych możliwości obronnych, za to stawiamy na USA. I rozwinięcie: „Przecież Niemcy czy Francja w razie jakiegoś konfliktu powinny z nami jak najściślej współpracować, a my z nimi. Tymczasem staramy się być od Europy jak najdalej, a Niemców po prostu i z premedytacją odpychamy i obrażamy. Jeśli przyjdzie co do czego, Berlin może pomyśleć: czy ci Polacy są naprawdę po naszej stronie?". To już kabaret. Mieliśmy wielkie szczęście, że przesilenie geopolityczne przyszło teraz, a nie w czasach, gdy tacy tytani intelektu jak prof. Kuźniar mieli tak wiele do powiedzenia.

Są sprawy ważne i sprawy ważniejsze. Dla Justyny Pochanke, byłej dziennikarki TVN, najważniejsza jest aborcja. „Mój postulat to nie parytety, tylko priorytety. A priorytetem dla mnie jest sprawa aborcji. Dla mnie kobiety, Polki, matki, obywatelki... Wiem, że mamy na głowie tysiąc innych, ważnych spraw, że jest wojna, drożyzna, że nie ma węgla. Putin może odpalić z Kaliningradu głowice atomowe, ja to wszystko wiem, ale sprawy aborcji nie można już odsunąć na bok" – mówiła w „Newsweeku". Co proponuje? „Całkowitą dopuszczalność aborcji do 12. tygodnia", ponieważ „ma pełne zaufanie do Polek, to nie są samice pożerające swoje młode". To jest być może tajemnica naszej epoki: dlaczego tak wielu ludzi tak źle życzy najbardziej bezbronnym, nienarodzonym dzieciom, rozrywanym na strzępy w czasie tzw. aborcji? Diabelska etyka.

Pochanke nie ukrywa swoich antypatii i sympatii. „Banda starych dziadów, małych polskich ajatollahów w imię interesu politycznego zgotowała kobietom piekło" – to w kontekście wyroku TK przed dwoma laty. Ale jest i nadzieja: „Dla mnie Strajk Kobiet to umownie moja partia. Liderki tego ruchu powinny dostać wysokie miejsca na listach wyborczych opozycji, może nawet najwyższe. Nie straciłam nadziei na siłę postulatów Strajku Kobiet". Wreszcie: „Polska nie zmieni się, dopóki państwo i Kościół będą trzymać kobiety na krótkiej smyczy". A naszym zdaniem Polska nie zmieni się, dopóki radykałowie grający role obiektywnych dziennikarzy będą trzymali nasz kraj na krótkiej smyczy.

Fot. M. Czutko, Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor (2x)

eprasa.pl 1fa3695ca6

Sierpy i młoty

KRZYSZTOF FEUSETTE

My, Stowarzyszenie Onuc Pranych w Zdobycznych Pralkach, pragniemy wyrazić najserdeczniejsze podziękowania wybranym osobom publicznym za wzorową postawę wobec eksplozji w Przewodowie. Ich głos zabrzmiał piękniej niż „Kalinka" na gruzach Groznego, dlatego przyznajemy niżej wymienionym Ordery Uśmiechu im. Władimira Władimirowicza oraz statuetki Złotych Onucek „Crème de la Kreml". I tak pierwsza z nich ląduje na grzbiecie pana Łoszada (po naszemu: koń), czyli mecenasa Giertycha – za wpis o następującej treści: „Dzisiaj wyszło pięć informacji o kolejnych kradzieżach zorganizowanych przez PiS. Coś musieli wymyślić". To nie pierwszy raz, gdy Jego Wysokość wrzuca do polskiej debaty publicznej odpowiednią narrację. Tak było też, gdy mecenas sugerował, iż polski rząd dogadał się z Putinem i Orbánem co do rozbioru Ukrainy. Wtórował mu wtedy nasz kolejny laureat, Tomasz Lis, zwany Pluszakiem Tuska, który po śmierci dwóch polskich obywateli napisał: „Wiadomo, że w celu przykrycia kolejnych informacji o swym złodziejstwie, zdecydują się na coś oryginalnego i drastycznego". Pluszowa Onucka dla pana redaktora.

Są i mniejsze wyróżnienia, Małe Onucki, których laureaci pozostają jednak zbyt nieśmiali, by walić całą prawdę całą dobę prosto z mostu, najlepiej spalonego za sobą. Jedno z nich musi wylądować w rękach Bartłomieja Sienkiewicza za komentarz: „Komunikat rządu ws. wybuchów i śmierci dwóch Polaków: »Oczekujemy na rozmowy z USA«. To trudna sytuacja i należy być cierpliwym, ale chyba to przesada". A pewnie, że przesada. Takie rzeczy załatwia się za pomocą budki pisanej małą literą i nie ma co się podpalać, jak nasz kolejny bohater, Paweł Wojtunik, były szef CBA, który o spaleniu stróżówki pod rosyjską ambasadą ze swadą opowiadał pani Elżbiecie „Ale Jaja" Bieńkowskiej. A teraz pisze tak: „Naprawdę??? Po tylu miesiącach wojny i tysiącach rakiet wystrzelonych na terytorium sąsiedniej Ukrainy nikt nie przewidział takiego przypadku? Nie stworzono na takie sytuacje procedur, algorytmów działania czy choćby komunikowania?". Skąd Wojtunik czerpie informacje, nie wiemy, ale tym bardziej jakaś Onucka mu się należy. Podobnie jak nieocenionej europosłance Róży Thun, która po tragicznym w skutkach wybuchu nie omieszkała przypomnieć o polskim odizolowaniu się od Związku Białorusi i Rosji okropną, graniczną zaporą. Bardzo słusznie pani Thun zauważa, że nie chroni ona przed pociskami balistycznymi. Podobnie zresztą jak długość nazwiska nie chroni przed krótkimi nóżkami, jakimi dysponuje każde kłamstwo.

Nasze podziękowania muszą popłynąć także do byłej prezydent Warszawy, Hanny Gronkiewicz-Waltz, pod której nosem (jak twierdzi, „nie miała wtedy zębów") rozkwitła mafia urzędniczo-prawniczo-biznesowa wyrzucająca ludzi z domów. Pani Hanna bierze się teraz za gospodarstwa rolne, pisząc: „Żeby władze dowiadywały się od rolników w XXI w., że spadła rakieta, to ewenement". Rzeczywiście, to skandal, iż nie poczekano na potwierdzenie zdarzenia przez Onet, TVN czy „Gazetę Wyborczą".

Wreszcie dziennikarze (red. Lis stracił posadę wskutek mobbingu, więc jest w innej kategorii), którzy potrafili skupić się na czymś innym niż wszyscy. Wielka Onucka z logo Onetu musi powędrować do Marcina Wyrwała, korespondenta tegoż portalu na Ukrainie, który wyrwał się, nomen omen, przed szereg, uderzając w poczucie bezpieczeństwa Polaków niczym pocisk w suszarnię zboża. Cytat w języku polskim, gdyż – o dziwo – red. Wyrwał wyrwał się właśnie w nim. Być może dlatego, że po rosyjsku nieomal to samo napisało już wcześniej kilka osób z prokremlowskich środków przekazu. „Jakkolwiek było, Rosjanie lub Ukraińcy przetestowali system obrony powietrznej NATO i wydaje się, że to jest obecnie naszym największym problemem. Nasz największy problem w tej chwili polega na tym, że system nie zadziałał i Rosjanie o tym wiedzą. W marcu w Warszawie amerykański prezydent Joe Biden powiedział, że sojusz atlantycki będzie chronić każdy centymetr terytorium NATO. Dziś okazało się, że na razie ta ochrona zawodzi na całej linii".

Nie zawodzi za to Wyrwał, choć jego zawodzenie słychać było aż nad Wołgą. Za odwagę niesięgania do wiedzy fachowej dotyczącej sposobu działania obrony przeciwlotniczej oraz przekonanie, iż polega ona na chronieniu całego terytorium kraju – żółta jak żółtodziób Onucka Onetu. Za to red. Jacek Nizinkiewicz z „Rzeczpospolitej" jest zdobywcą naszego wyróżnienia za doskonałe porady, jak nie wzbudzać narodowej paniki, budując ją permanentnie. Za fachowość wyrażoną w słowach: „Nie jest normalne, że więcej dowiadujemy się o bezpieczeństwie Polski z wpisów zagranicznych liderów państw, którzy potwierdzali zdarzenie niż z komunikatów własnego rządu. Podstawy komunikacji. Konkrety później, wcześniej wystarczyło tonować i nie zostawić Polaków z domysłami". Zwłaszcza ostatnie zdanie brzmi imponująco. Bo ileż radości mielibyśmy, gdyby premier polskiego rządu stanął przed kamerami, mówiąc: „Wszystko jest pod kontrolą. Coś się stało, nie wiemy jeszcze co, ale proszę się natychmiast uspokoić...".

Niestety, to się nie udało. Nie powiodła się także próba wkręcenia rządu w szybką i efektowną narrację: „To zrobili Rosjanie", z której to narracji wygrzebywałby się w oczach NATO przez długie, przedwyborcze miesiące. Niemniej za wszystkie powyższe próby, my – Stowarzyszenie Onuc Pranych w Zdobycznych Pralkach – balszoje spasiba. Wasze zdarowje!

eprasa.pl 1fa3695ca6

Opiłujcie się sami

Ciekawe, że o ile spowiedź dla przedstawicieli „świata postępu" ma się wiązać z traumą, o tyle tak fundamentalna dla ludzkiej tożsamości zmiana płci to już kaszka z mleczkiem

Magdalena Środa na łamach „Gazety Wyborczej" wyraziła wsparcie dla akcji zbierania podpisów pod petycją „Spowiedź dzieci powinna być zakazana". Petycja krąży w sieci, a jej autor Rafał Betlejewski uważa, że spowiedź dzieci jest polem do nadużyć i może wywołać traumę. Czy to już próba ograniczenia wolności wyznania w Polsce?

„Z oświeceniowym zadowoleniem obserwuję akcję zbierania podpisów pod propozycją zakazu spowiedzi dla osób, które nie przekroczyły 16. roku życia. W ogóle uważam, że członkostwo w różnych religiach powinno być sprawą decyzji dorosłych ludzi – informuje z dumą na łamach „GW" postępowa filozof Magdalena Środa. – Natomiast katolicka formuła odpuszczania grzechów przez spowiedź bardzo spłyca moralność. Ludzie popełniają przestępstwa lub (jak dzieci) wymyślają grzechy według dostarczonego im schematu, a instytucja je odpuszcza, wymagając w zamian jedynie wykonania pewnych rytuałów. To mało wymagająca i nader powierzchowna forma radzenia sobie z winą" – tłumaczy swoje stanowisko pani Środa.

Publikacją jej tekstu „GW" po raz kolejny wsparła petycję, której autorzy chcą przyjęcia zakazu spowiadania osób poniżej 16. roku życia. Ich zdaniem spowiedź jest formą psychicznej przemocy i przedwcześnie konfrontuje dzieci ze światem dobra i zła.

Na szczęście przedstawicielka „sił postępu" już nie rozwija swojej wizji i nie precyzuje, kto miałby tego zakazu pilnować i jaka miałaby być sankcja za jego nieprzestrzeganie. Może więzienie? Tylko czy trafiałby do niego rodzic, czy może dziecko, które próbowałoby się wyspowiadać np. przed pierwszą komunią świętą, a przecież przygotowanie do tego sakramentu jest dla katolików niezwykle ważne? A może duchowny, który by się na taką spowiedź zgodził, nie weryfikując wieku dziecka?

Za nic też ma najwyraźniej pani Środa, obrończyni Konstytucji RP. Art. 48 ustawy zasadniczej gwarantuje rodzicom prawo do wychowania dzieci zgodnie z przekonaniami.

Ciekawe, że o ile spowiedź dla przedstawicieli „świata postępu" ma się wiązać z traumą, o tyle tak fundamentalna dla ludzkiej tożsamości zmiana płci to już kaszka z mleczkiem. I najlepiej, by była ona możliwa jak najwcześniej. Niemcy np. planują uprościć procedury związane ze zmianą płci w dokumentach. Zamiast długotrwałej procedury, ekspertyz psychiatrów i sporych kosztów – ma wystarczyć proste oświadczenie w urzędzie stanu cywilnego. Warunek, by przeprowadzić to samodzielnie: ukończone 14 lat. Czyli aż dwa lata wcześniej niż „siły postępu" chciałyby zalegalizować spowiedź w Polsce.

Jeśli zaś chodzi o autora petycji, czyli Rafała Betlejewskiego, to w Wikipedii można znaleźć opis akcji społecznych tego performera, artysty parateatralnego, założyciela Teatru Przezroczystego i twórcy akcji takich jak „Spal wstyda" i „Tęsknię za tobą, Żydzie". Jedna z tych akcji została scharakteryzowana w ten sposób: „Beautiful Agony – Anna Politkovskaya", w jej ramach 20 lutego 2014 r. na swoim kanale na YouTube Betlejewski zamieścił niespełna dwuminutowe nagranie, w którym masturbuje się i doznaje orgazmu. Wszystko dzieje się na klatce schodowej, na której została zamordowana Politkowska. W opisie filmu zostało zaznaczone, że jest to jeden z 14 filmów nakręconych przez niego podczas artystycznej wizyty w Moskwie na zaproszenie Narodowego Centrum Sztuki Współczesnej i Instytutu Polskiego. Ciekawe, że pan Betlejewski nie martwi się, że jego specyficzne performance'y wywołają w kimś traumę. Martwi go konfesjonał, do którego wcale nie musi chodzić.

Sama zaś petycja wydaje się nie tylko kolejnym krokiem w drodze do świeckiego państwa, ale kolejnym atakiem na chrześcijan, próbą ograniczenia wolności religijnej i realizacją politycznych pomysłów o opiłowywaniu katolików z „przywilejów".

Dla pani Środy i pana Betlejewskiego mam propozycję, żeby zajęli się wychowywaniem własnych dzieci, ale niech od naszych trzymają się z daleka. Niech pozwolą katolikom wychować je zgodnie z naszymi wartościami. Poradzimy sobie.

Dorota Łosiewicz

Ulubieniec narodu?

„Niemcy muszą zdywersyfikować swoje interesy biznesowe w Azji, by zmniejszyć zależność od Chin" – powiedział minister gospodarki Niemiec Robert Habeck [na zdj.]. Według niego wojna na Ukrainie pokazała, że taka droga jest słuszna. „Jesteśmy oczywiście zainteresowani handlem z Chinami, ale nie głupim handlem" – dodał Habeck. Jego uwagi zostały zinterpretowane za Odrą jako aluzja do niedawnej wizyty kanclerza Olafa Scholza w Pekinie, dokąd ten pojechał wraz z przedstawicielami przemysłu. Niektóre niemieckie koncerny są silnie obecne na chińskim rynku – Volkswagen sprzedaje tam 40 proc. swoich samochodów i ma tam ponad 40 fabryk. Habeck wspomniał także o przejęciu przez chiński koncern spedycyjny Cosco udziałów w hamburskim terminalu kontenerowym, czemu on oraz jego partia, Zieloni, byli przeciwni. „Kompromis w tej sprawie był niezbędny dla zachowania jedności koalicji" – zaznaczył. I dodał, że nie istnieje zasadniczy spór między SPD, FDP i Zielonymi odnośnie do Chin, tylko „nieco inna ocena konkretnych sytuacji", cokolwiek to oznacza.

Jak pisze tygodnik „Der Spiegel", to nie był łatwy rok dla Habecka. Minister gospodarki musiał się zmierzyć z wieloma wyzwaniami, z których najpoważniejszym jest kryzys energetyczny. Jego pomysł wprowadzenia dodatkowej opłaty za gaz – tzw. Gasumlage – spotkał się z ostrą krytyką i spalił na panewce. W rezultacie minister spadł w rankingu popularności polityków instytutu Insa z pozycji pierwszej na szóstą. Na miejscu lidera zastąpiła go jego partyjna rywalka, szefowa MSZ Annalena Baerbock. W 2018 r., gdy wspólnie objęli przewodnictwo partii. Baerbock i Habeck połączyli swoje biura. Mówiono o nich „Baerbeck i Habock". Dziś nawet z sobą nie rozmawiają.

Powód jest prozaiczny: Zieloni najmniej z wszystkich partii ucierpieli w sondażach z powodu wojny na Ukrainie. Nie ponoszą bowiem odpowiedzialności za błędną politykę poprzednich koalicji z CDU i SPD. Mało tego, byli jej przeciwni. Mają więc szansę na wygraną w następnych wyborach. Ale Baerbock i Habeck rywalizują w walce o stanowisko kanclerza. Dziś Zieloni nie są już podzieleni wzdłuż linii ideologicznej, na realistów i fundamentalistów, tylko na zwolenników szefowej MSZ i ministra gospodarki. Tyle że Habeck ma większe szanse. Baerbock już raz przegrała, więc w 2025 r. – jak przekonuje „Der Spiegel" – powinna przyjść kolej na jej rywala.

Minister gospodarki jest pragmatykiem – zgodził się na pozostawienie do wiosny w sieci pozostałych dwóch elektrowni atomowych, podczas gdy szefowa MSZ ściągnęła do swojego ministerstwa jako pełnomocnika ds. klimatu aktywistkę Greenpeace. Niemcom przypadł też do gustu styl komunikacji Habecka: prosty i szczery. Szczególnie na tle lawirowania i kłamstw Olafa Scholza.

Pozostaje kwestia, kto będzie decydował o kandydaturze Zielonych na kanclerza. Habeck uważa, że powinna to być partyjna baza. Jest to ryzykowne, bo może doprowadzić do rozłamu w partii. Czas pokaże, czy uda się rozwiązać ten problem. I czy Habeck to przyszła gwiazda niemieckiej polityki.

Aleksandra Rybińska

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

Nowy rząd włoski pod wodzą Giorgii Meloni postanowił zerwać z polityką otwartych portów prowadzoną przez poprzedni gabinet Mario Draghiego i zamknął swoje wody terytorialne dla jednostek pływających z imigrantami na pokładzie. W efekcie pierwszy statek – Ocean Viking, przewożący 230 nielegalnych przybyszów, zamiast zacumować u brzegów Italii, wpłynął do portu w Tulonie, gdzie został przywitany z otwartymi ramionami przez francuskie władze.

Decyzja o przyjęciu dużej grupy imigrantów wywołała gwałtowne protesty opozycji, stawiając rząd Macrona w trudnej sytuacji. Werbalnie wspiera on politykę otwartych portów na Morzu Śródziemnym, mając świadomość, że przemytnicy ludzi jako punkt docelowy wybierają zazwyczaj nie Francję, lecz położone bliżej kontynentu afrykańskiego Włochy. Nowa polityka Rzymu może to jednak zmienić i skierować strumień nieproszonych gości ku wybrzeżom francuskim. To zaś może wywołać niezadowolenie społeczeństwa, które jest coraz bardziej przerażone powstawaniem kolejnych stref „no go", opanowanych przez ludność muzułmańską i znajdujących się praktycznie poza kontrolą państwa.

Macron chce pokazać, że walczy z tym problemem, dlatego uszczelnił granice z Włochami, wysyłając 500 dodatkowych funkcjonariuszy kontrolujących przejścia graniczne. Spowodowało to olbrzymie korki na drogach. Paryż zawarł też porozumienie z Londynem, w ramach którego Brytyjczycy zapłacą Paryżowi 72 mln euro w zamian za wzmocnienie patroli morskich i ograniczenie nielegalnej imigracji przez kanał La Manche.

Dla Anglików jest to układ korzystny, ponieważ teraz muszą oni wydawać ok. 6,8 mln funtów dziennie na przyjmowanie imigrantów i obsługę azylantów. Od początku tego roku przybyło zaś nielegalnie do Anglii ponad 40 tys. obcokrajowców, co jest nowym rekordem (w całym ub.r. było ich 28 526). Nowy premier Rishi Sunak zapowiedział więc ograniczenie tego zjawiska. Coraz więcej zachodnich rządów zaostrza zatem swoją politykę antyimigracyjną.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1fa3695ca6

Kazachstan

Z dystansem do Moskwy

W zakończonych w niedzielę wyborach prezydenckich wzięło udział oprócz urzędującej głowy państwa Kasyma-Żomarta Tokajewa jeszcze pięciu nieznanych szerzej polityków. Mogłoby to świadczyć, na pierwszy rzut oka, że kraj wraca do środkowoazjatyckiego modelu „sterowanej demokracji". Wydaje się jednak, że byłby to pogląd powierzchowny, bo Tokajew zmienił w Kazachstanie w ostatnich miesiącach bardzo wiele. Zreformowano przede wszystkim samą formułę władzy prezydenta. Teraz jest on wybierany na siedmioletnią kadencję, ale może sprawować swój urząd tylko raz. Inne zrealizowane już zmiany obejmują wprowadzenie zakazu dla krewnych i powinowatych urzędującego prezydenta sprawowania funkcji w administracji publicznej i firmach państwowych, reformę systemu przedstawicielskiego oraz uproszczenie zasad rejestrowania i zakładania partii politycznych. Celem tych zmian jest zerwanie z tendencją do oligarchizacji systemu, silną zwłaszcza za czasów poprzedniego prezydenta Nazarbajewa.

Reformy ustrojowe mają zostać wzmocnione poszerzeniem swobód obywatelskich i nową polityką inwestycyjną oraz podatkową, która ma ucieleśnić sformułowaną przez Tokajewa wizję sprawiedliwego Kazachstanu. Jeszcze w czerwcu zmieniono konstytucję, znosząc m.in. karę śmierci i znacząco ograniczając rozbudowane pełnomocnictwa prezydenta. Z kolei we wrześniu Tokajew ogłosił amnestię dla wszystkich uczestników styczniowych zamieszek.

Modyfikacji uległa także polityka zagraniczna. Tokajew nie poparł rosyjskiej agresji na Ukrainie, a z czasem jego wypowiedzi stały się coraz bardziej stanowcze. Występując na posiedzeniu wspólnoty państw języka tureckiego, którego spotkanie odbyło się 10 listopada w uzbeckiej Samarkandzie, zdecydowanie opowiedział się za poszanowaniem suwerenności i integralności terytorialnej każdego państwa i ostro skrytykował Moskwę za inkorporację czterech prowincji Ukrainy. W szerszym planie Kazachstan zacieśnił związki gospodarcze z państwami regionu, Turcją, Chinami, a także ze Stanami Zjednoczonymi. Moskwę szczególnie oburzyło to, że prezydent Kazachstanu wydał polecenie zwiększenia dostaw ropy naftowej do Europy z ominięciem rosyjskiego systemu przesyłowego, a także krytycznie wypowiadał się na temat dalszego funkcjonowania OUBZ, organizacji wojskowej państw przestrzeni postsowieckiej. W tym kontekście słowa Tokajewa o tym, że w związku z obecnymi wyzwaniami należy rozbudować i zmodernizować armię, zostały odebrane jako jednoznacznie antyrosyjskie.

Marek Budzisz

Fot. Vladimir Tretyakov/Shutterstock.com

Turcja

Fot. Shutterstock

Zamach bez sprawców

W niedzielę 13 listopada w Stambule wybuchła bomba. W wyniku eksplozji sześć osób zginęło na miejscu, a ponad 80 zostało rannych. Celem ataku były osoby cywilne. Zamachu dokonano na bardzo popularnym deptaku İstiklal, pełnym turystów, młodzieży, restauracji i popularnych sklepów. Co najdziwniejsze, nikt nie przyznał się do jego dokonania.

Zdaniem ekspertów każdy zamach jest sposobem na zastraszenie i wymuszenie określonych celów politycznych. Tymczasem to władze tureckie rozpoczęły festiwal oskarżeń, w którym dostało się Kurdom, Amerykanom i Grekom. Wydaje się też, że może być to pretekst do uruchomienia kolejnej operacji wojskowej w północnej Syrii.

Pierwsi na celowniku propagandy tureckiej znaleźli się Kurdowie. Niemal natychmiast w tureckiej telewizji pokazano kobietę, która według służb miała zostawić paczkę na miejscu zbrodni. Przekazano informację, że podróżowała wcześniej przez północnosyryjski region Afrin. Miała jakoby przyznać się, że została przeszkolona przez kurdyjskich bojowników w Syrii. „Rozkaz do ataku przyszedł z miasta Kobanî na północy Syrii" – mówił nazajutrz po tragedii minister spraw wewnętrznych Turcji Süleyman Soylu, nadając ton oskarżeniom. W Stambule i innych tureckich miastach dochodziło już w przeszłości do politycznie motywowanych zamachów bombowych, za którymi stały grupy kurdyjskie lub islamistyczne. W kolejnych enuncjacjach Soylu mówił nawet, że kobieta zamierzała uciec do Grecji.

Rząd w Ankarze uważa działającą w Syrii kurdyjską milicję YPG (Powszechne Jednostki Ochrony) za terrorystów i odłam zdelegalizowanej Partii Pracujących Kurdystanu (PKK). Jej władze natychmiast odcięły się od zamachu. „Nasi ludzie i demokratyczna opinia publiczna dobrze wiedzą, że nie jesteśmy powiązani z tym incydentem, że nie będziemy bezpośrednio atakować cywilów i że nie akceptujemy działań wymierzonych w cywilów" – napisano w oświadczeniu.

Milicje YPG odegrały kluczową rolę w zniszczeniu państwa islamskiego we współpracy z siłami USA. Turcja jednak starała się je dyskredytować. Po tym jak administracja Białego Domu przesłała do Stambułu kondolencje po zamachu, minister Soylu manifestacyjne je odrzucił, oświadczając, że „USA to państwo, które wysyła pieniądze z własnego Senatu, by zasilać terrorystów w Kobanî". Sprawę złagodził dopiero prezydent Erdoğan, decydując się na spotkanie z prezydentem Joe Bidenem podczas szczytu krajów G20 w Indonezji.

Stambulski zamach, niezależnie od tego, kto za nim stoi, posłużył władzom tureckim do zaostrzenia retoryki. Wkrótce okaże się, czy pójdą za tym jakieś dalsze kroki.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 1fa3695ca6

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

8 mld konfliktów

Jan Pietrzak

Podano do wiadomości, że na globie jest 8 mld ludzi. Jakoś to koliduje z dramatycznymi informacjami o spadającej dzietności kobiet. W latach 70. w jednym z monologów mówiłem: kiedy ja się rodziłem, było nas, ludzi na świecie, 2 mld. Mówię te słowa jako jeden z 6 mld osobników naszego gatunku. Jedno ludzkie życie, a tu się potroiło przed oczami. Z tego co czwarty człowiek jest Chińczykiem. Po czym odliczałem od pierwszego do czwartego miejsca i palcem wskazując, pokazywałem „Chińczyka", wołając: „Wydało się!". Gość albo się wesoło kłaniał, albo rozglądał się nerwowo i krył za plecami sąsiada. Znaczyło to, że trafiłem na ubeka.

Wracając do 8 mld, kłopotem nie jest brak żywności, co prognozował Thomas Malthus, lecz różnorodność, skrajna odmienność wywołująca konflikty. Najbliższy przykład: Rosja nie walczy z Ukrainą o jadło, lecz o dominację „ruskiego miru", który sprowadza się do tępego posłuszeństwa wobec Kremla. W zasadzie wyniszczające konflikty etniczne regulują ziemską populację. Okrutny mechanizm powoduje, że w obecnym świecie nie ma dnia bez wojny. Kiedyś zdarzały się okresy w rodzaju pax romana. Rewolucja przemysłowa XIX w. spowodowała dwie wojny światowe w XX w. Czym szybszy rozwój, tym większe wojny i hekatomby ofiar. Tak to w dużym uproszczeniu wygląda, ale przecież w sumie sporo ludzi przybyło. Jak ten paradoks wyjaśnić?

Czy obecny, informatyczno-cybernetyczny XXI w. ułatwi narodom akceptację swojej egzystencjalnej sytuacji, czy pogłębi szaleństwo agresji? Oto odwiedziła Polskę rosyjska rakieta. Światowe media powielają opinię, że rakieta zbłądziła, nie miała złych intencji. Przyjmując z dobrą wiarą ten argument, można się zastanowić, czy nie wypuścić rakiet np. w stronę Królewca, żeby tam sobie pobłądziły nieco. Dlaczego mają błądzić koło Hrubieszowa? Po bestialskiej wspólnej wojnie Niemiec i Rosji przeciw Polsce w latach 1939–1945 kursowało po zniszczonym kraju pytanie: kiedy do Moskwy dotrze zachodnia cywilizacja? Prawidłowa odpowiedź brzmiała: kilka minut po odpaleniu. Po kilkudziesięciu latach oczekiwania – powiedzmy sobie szczerze – nigdy nie jest za późno.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Cena odwagi

Dominik Zdort

Ponoć o skromnym zwycięstwie republikanów w USA zdecydowała kwestia aborcji, która dla amerykańskich wyborców była kluczowa. Ludzie mieli głosować na demokratów dlatego, że są niezadowoleni z decyzji Sądu Najwyższego, który głosami swoich konserwatywnych członków postanowił niedawno, iż kwestia swobody bądź zakazu przerywania ciąży nie ma nic wspólnego z konstytucją. Każdy stan może więc samodzielnie decydować, jakie wprowadzi przepisy.

Nie chcę się wdawać w spekulacje na temat poglądów głosujących. Odważę się jednak postawić tezę, że niezależnie od tego, jaki wpływ na głosowanie w Ameryce miała sprawa aborcji, większość zachodnich społeczeństw opowiada się obecnie za prawem do swobodnego zabijania dzieci nienarodzonych. Mało tego – coraz powszechniejsze jest kwalifikowanie tej „wolności" jako jednego z praw człowieka. Nazywa się to prawami reprodukcyjnymi, choć w rzeczywistości skutek jest odwrotny.

Obrońcy życia zostali zepchnięci do defensywy, są zakrzyczani, obrażani, hejtowani i wyśmiewani w większości mediów, zepchnięci do kościelnych krucht. Zresztą zawsze w tej dziedzinie – z wyjątkiem nielicznych środowisk – byli pasywni, staromodni, apelowali tylko do przekonanych. A ich największy patron, instytucja z doświadczeniem 2 tys. lat działania, zamiast wziąć się za sprawy najważniejsze, ostatnio zajmuje się absurdalnymi przeprosinami za wszystko, co uczyniła i czego nie uczyniła.

Wracając do wyborów. Od lat się nam powtarza, że wielkość polityka mierzy się umiejętnością podejmowania niepopularnych, ale słusznych decyzji. W ten sposób na piedestale stawia się choćby Leszka Balcerowicza. Pan wicepremier ponoć uratował polską gospodarkę, ale mógł to zrobić tylko kosztem setek tysięcy Polaków, którzy z powodu jego reform stoczyli się poniżej granicy ubóstwa. Heroiczna decyzja!

Ja jednak naprawdę odważnych polityków widzę gdzie indziej. Wśród tych, którzy przez lata uważali, że ruszanie sprawy ochrony życia to polityczne samobójstwo, bo nie ma do tego sprzyjającej atmosfery społecznej, i ten, kto się za to weźmie, skończy jak ZChN. Czyli politycznie sczeźnie.

Tak, nie wykluczam, że to może być wyborcze samobójstwo. Ale dobrze, że niektórzy w końcu dorośli i zrozumieli, że czasem moralna i społeczna racja są ważniejsze od uroków władzy. To świadectwo wysokiej klasy przynajmniej części polskich polityków.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 1fa3695ca6

BRONISŁAW WILDSTEIN

Polska i UE – kolejne starcie

„Powiedziałem, gdzie są linie, których przekroczyć nie można: nie można wprowadzić żadnych elementów, które byłyby niezgodne z konstytucją, podważałyby prerogatywy prezydenta do nominowania sędziów, wykraczałyby poza traktaty w kontekście kompetencji instytucji europejskich, wprowadzałyby turbulencje do systemu wymiaru sprawiedliwości" – zadeklarował minister ds. europejskich Szymon Szynkowski vel Sęk na temat rozmów z KE.

Problem w tym, że jej roszczenia w stosunku do Polski od początku przekroczyły wszystkie te linie i jakiekolwiek negocjacje na ten temat są na to zgodą. Nie winię ministra, realizuje on strategię rządu, zastanawiam się jednak, dokąd może nas ona zaprowadzić. Obecnie spowodowała anarchizację wymiaru sprawiedliwości i ostentacyjne łamanie konstytucji przez sędziowski establishment. Gdyby nie poparcie ze strony unijnych sprzymierzeńców, 30 sędziów SN nie wystąpiłoby z horrendalnym oświadczeniem, że nie będzie orzekać z nowymi sędziami, czyli tymi, którzy zgodnie z konstytucją i ustawą zostali powołani za rządów PiS przez prezydenta Dudę.

Wcześniej także zdarzyły się wypadki kwestionowania statusu nowych sędziów, ale tak ostentacyjnego rokoszu na szczytach sędziowskiej władzy jeszcze nie było. Elita prawnicza, rozzuchwalona brakiem reakcji na naruszanie przez nią prawa, wbrew konstytucji, ustawom i normom demokracji oficjalnie ogłosiła, że to ona będzie decydować o kształcie sądownictwa polskiego. Zgodnie z prawem deklaracja 30 sędziów jest zrzeczeniem się przez nich funkcji, co powinno skutkować odwołaniem ich przez prezydenta. Można mieć wątpliwości, czy tak się stanie ze względu na negocjacje z KE.

Najprawdopodobniej władza doszła do wniosku, że ich brak Polacy uznają za rezygnację z pieniędzy na KPO, a może i dalszych funduszy strukturalnych, czym zaczynają już straszyć unijni notable. Opozycja, której jedynym programem jest usunięcie PiS, dostaje wówczas do ręki poważny argument. Wprawdzie i tak posługuje się nim bez opamiętania, co widzieliśmy już choćby w opisywanym przeze mnie w jednym z poprzednich felietonów spocie Tuska, który obiecuje stadion euro za sukces w wyborach, ale brak kontynuacji rozmów w sprawie KPO byłby przyznaniem ze strony rządu, że do czasu zmiany władzy tych pieniędzy wbrew wszelkim normom nie dostaniemy. Unijny establishment daje przecież do zrozumienia, że dobrze zapłaci za wybór ich namiestnika.

Niestety, większość Polaków, która uwierzyła, że możemy się rozwijać wyłącznie dzięki unijnym funduszom, jest gotowa zgodzić się na taki targ. Prawdopodobnie rząd uznaje, iż pozorując negocjacje z KE, osłabi siłę jej szantażu. Tyle że nawet same negocjacje z terrorystą mają swoją cenę i rokosz sędziowski jest tego najlepszym dowodem. Brak reakcji na takie działania prowadzi do całkowitej anarchizacji wymiaru sprawiedliwości, czego koszty ponosimy i będziemy ponosić długie lata, z kolei ze strony władzy to zgoda na postępującą redukcję swoich prerogatyw, a więc wydrążanie demokracji z realnej treści.

Doświadczony polityk na europejskiej niwie, Jacek Saryusz-Wolski, zaproponował na łamach „Sieci" ofensywę wobec Brukseli, a więc i Berlina. Słyszę, że jeden z istotnych jej elementów, czyli wypowiedzenie układu handlu emisjami (ETS), zostałby natychmiast obłożony znaczącymi grzywnami, które przeraziłyby polską opinię publiczną, a jedyną realną propozycją jest wetowanie wszystkich unijnych rozwiązań. Czy nie warto by spróbować choćby tego kroku?

Zmitrężyliśmy dużo czasu, traktując Brukselę, a więc i Berlin, jako przewidywalnego partnera, który akceptuje wspólne dobro. Nie wzięliśmy pod uwagę, że mamy do czynienia z imperialnym tworem, który usiłuje nas sobie podporządkować i narzucić służącą temu ideologię. W perspektywie interesów centrów unijnych, głównie Niemiec, jest to racjonalna postawa. Ich celem jest kolonizacja Polski i wszystko, co robią, będzie temu podporządkowane. Ich klienci to establishment III RP i reprezentujące go polityczne ugrupowania, które różnią się wyłącznie nazwami i twarzami liderów. Podzielają oni przekonania kontynentalnych elit, że najlepsza dla naszego kraju byłoby podległość wobec Unii, czyli jej głównych graczy. Współczesna targowica, a zwłaszcza jej co głupsi przedstawiciele, niekiedy wprost to mówi.

Sprawa jest więc dużo poważniejsza niż najbliższe wybory, choć politycy mają skłonność do traktowania ich jako sprawy ostatecznej. Żyjemy w czasach przełomowych, kryzys wewnątrz Unii narasta, a więc wyobrażenie, że mamy do czynienia z siłą, której musimy ulec, oraz możemy jedynie próbować opóźnić ten proces i obniżyć jego koszty, stanowi tragiczne nieporozumienie.

Obecna opozycja u władzy może zrobić dużo złego, ale nie będzie to nic ostatecznego. Z perspektywy Polski większym zagrożeniem jest utrwalenie się postaw podległości wobec unijnych patronów.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1fa3695ca6

Walizka Bartosza Zmarzlika

Żużlowca, reprezentanta Polski, mistrza świata

Moje podróże są ściśle związane z pracą. Sezon żużlowy trwa praktycznie od marca do października i wtedy większość czasu spędzam w samochodzie czy busie. W poniedziałek pakujemy cały sprzęt i wieczorem płyniemy promem do Szwecji. We wtorek mamy ligę szwedzką. Żeby było szybciej, wracamy do Polski na kołach. W środę do południa już jesteśmy w domu. Musimy się szybko ogarnąć, bo w czwartek jest trening ligowy. W piątek zależnie od kalendarza czasem są czasówki na jednodniowych torach do mistrzostw świata. W sobotę są mistrzostwa świata, potem w niedzielę jest liga polska i tak w kółko. Od połowy października do połowy listopada jest luźniejszy okres. Potem powoli zaczynają się przygotowania do treningów fizycznych, które praktycznie trwają do lutego. W międzyczasie są obozy kadrowe i klubowe.

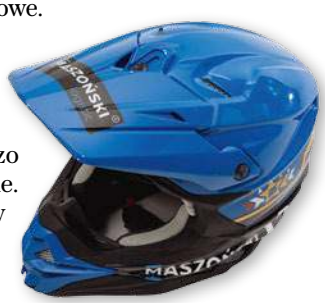

KASK

Ręcznie wykonany, spersonalizowany, bardzo zaawansowany technologicznie. Wykonany z materiałów wykorzystywanych w wyścigach Formuły 1 gwarantuje najwyższe bezpieczeństwo. Po każdym sezonie oddaję go do serwisu, gdzie jest sprawdzany jego stan techniczny. Ciekawostka: po siedmiu latach materiały, z których został wykonany, tracą swoje pierwotne właściwości i kask idzie na emeryturę.

GOGLE

Dostać „szprycę", czyli nawierzchnią spod tylnego koła przeciwnika w twarz, nie należy do rzadkości na torze żużlowym. Dlatego przy każdym zabrudzeniu szkieł zdzieram tzw. zrywkę, odzyskując widoczność. W jednym zestawie jest ich siedem i aż tyle można zużyć podczas tylko jednego wyścigu.

Fot. Tomasz Przybylski/Gess.pl

eprasa.pl 1fa3695ca6

CZAPKA Z DASZKIEM

Jest to część mojego lifestyle'u, bo lubię czapki z daszkiem. Jest to też najlepsza z ekspozycji dla sponsorów, dlatego to jest moje obowiązkowe nakrycie podczas wywiadów i konferencji.

ORTEZY NA KOLANA

Bezpieczeństwo musi iść w parze z komfortem, który przy prędkości 100 km/h jest niezbędny. Dlatego ochraniacze ze stabilizatorami na kolana też są spersonalizowane. Żeby je wykonać, trzeba było najpierw zrobić odlewy moich nóg i zmierzyć kolana.

STABILIZATOR KARKU

Chroni szyjny odcinek kręgosłupa, zabezpieczając go przed nadmiernym rozciągnięciem. Dopasowany do mojej anatomii, pozwala na naturalną swobodę ruchów.

KAMIZELKA OCHRONNA

Na plecy i żebra z pasem na brzuch. Niektórzy sportowcy zakładają jeszcze ochraniacze na ręce. Ja z nich zrezygnowałem, bo bardzo mocno ograniczały mi swobodę na torze.

ROWER

Pomalowany według mojego projektu. Jazda na rowerze szosowym jest dla mnie formą przygotowania fizycznego pod kątem siły i wydolności. Dystans i rodzaj treningu jest uzależniony od etapu sezonu.

RĘKAWICE

Od góry ochraniające dłonie przed odłamkami lecącymi spod kół konkurentów. Od spodu wykończone cienkim materiałem pozwalającym lepiej czuć kierownicę.

KOMBINEZON

Jednoczęściowy kostium roboczy każdego żużlowca. Wykonany z kewlaru, nie jest łatwopalny. Dodatkowo odporny na ścieranie.

BUTY

Jeden klasyczny, drugi z podeszwą wyprofilowaną pod tzw. łyżwę żużlową na której w razie potrzeby można się podeprzeć. Noga dostaje poślizg i nie jest „zabrana" do tyłu.

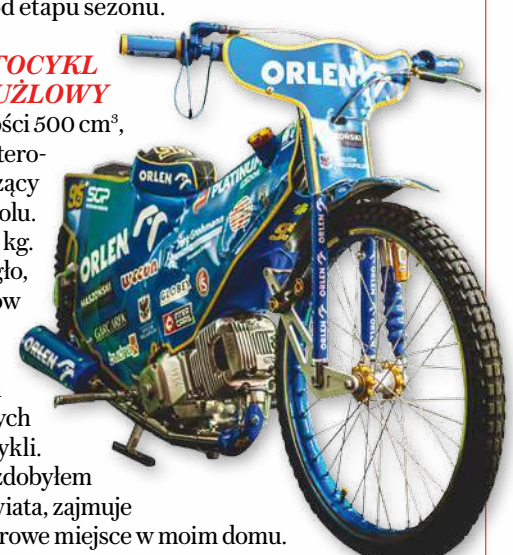

MOTOCYKL ŻUŻLOWY

O pojemności 500 cm³, 82 KM, czterosuwowy, chodzący na metanolu. Waży 77 kg. Suche sprzęgło, bez biegów i hamulców. W sezonie używam sześciu identycznych motocykli. Ten, na którym zdobyłem mistrzostwo świata, zajmuje honorowe miejsce w moim domu.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Podziękowania dla Radosława Zielińskiego z One Sport za pomoc w realizacji sesji.

eprasa.pl 1fa3695ca6

OGNIEM NA WPROST

Mniej gadają, więcej robią

Ruski przeprowadził największy atak rakietowy na Ukrainę. 15 listopada wystrzelił ok. 100 rakiet, z czego ponoć 70 proc. została po drodze zestrzelona. Nie obeszło się jednak bez tragicznych skutków ubocznych. Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością pocisk balistyczny systemu S-300 wystrzelony przez ukraińską obronę przeciwlotniczą spadł w polskiej wsi Przewodów, zabijając dwóch obywateli RP. Następnego dnia rano odezwała się na Telegramie rzeczniczka moskiewskiego MSZ Maria Zacharowa: „Prezydent Polski nazwał upadek rakiety nieszczęśliwym wypadkiem. Tymczasem jeszcze wczoraj wysłuchiwaliśmy histerii polskich urzędników i polityków. Polskie instytucje, które pozwoliły sobie na antyrosyjskie wypowiedzi i wezwały o północy ambasadora Andriejewa – czy przypadkiem nie chcą za coś przeprosić?". Przypadkiem nie! Przypadkiem, a może i nie przypadkiem – wy przeproście. Ofiary z Buczy i innych miejsc kaźni, którymi zasnuliście kawał Ukrainy. A także rodziny tych dwóch zabitych Polaków, bo w odróżnieniu od was byli to przyzwoici ludzie. Jak następnym razem będziesz spędzała wieczór przy półlitrówce z pierwszym gardłem Rosji Miedwiediewem, to porozmawiajcie sobie o tym. Aha! I nie zapomnijcie o przyszłości, bo coś nie za wesoło się dla was rysuje.

Au nas Giertycha i Lisa – te nazwiska nie są nam obce – w związku z tragiczną śmiercią dwóch Polaków zaswędziały palce. Oj! Nie tylko zaswędziały palce, ale krew uderzyła do głowy, żółć zamiast potu wylała się na czoło i przyszło natchnienie. Trzeba było nagle siąść do klawiatury i skomentować zaistniałą sytuację na Twitterze. Lis: „W związku z wydarzeniem na granicy niektóre PiS-owskie sługusy już dyscyplinują i strofują opozycję. Odpowiedzialne stanowisko w kwestiach bezpieczeństw, to jedno, jasne. Ale – cytując poetę – są w ojczyźnie rachunki krzywd, obca dłoń ich nie przekreśli". Giertych: „Dziś wyszło pięć informacji o kolejnych kradzieżach zorganizowanych przez PiS. Coś musieli wymyślić". Niebawem przyszło opamiętanie albo odebrali telefon od samego guru – Donalda Tuska – i wpisy znikły tak szybko, jak się pojawiły. Wymowne. Wydaje mi się, że jak nasz duet jeszcze się trochę lepiej postara, to przyjdzie zaproszenie od Zacharowej i Miedwiediewa na wieczorną popijawę do Moskwy. Dużo się starać nie muszą, bo pierwsze kroki dawno już zostały zrobione.

Propagandę robią też w Pitrze (Petersburgu). Tam do akcji wkroczyli wagnerowscy. Hucznie otworzono Wagner-Center, które „będzie zajmowało się rozwojem technologii obronnych i bezpieczeństwa informacyjnego kraju". Bandyterka „kucharza Putina" – Jewgienija Prigożyna – rozlazła się po szkołach, by wpajać dzieciakom do głów, jak pożyteczna jest rozpoczęta 24 lutego kacapska „operacja specjalna" na Ukrainie. Kit wciska się, puszczając małolatom propagandowe filmiki, na których Ukraińcy chcą „zrzucić na Donbas bombę atomową" oraz „zniszczyć dzieci, a także ich przyszłość". A za wszystkim – zdaniem przedstawicieli Wagner-Centre – stoi nie kto inny, tylko Unia Europejska i USA. Za słuchanie tych bredni nastolatki otrzymują jedzenie, a młodsi słodycze. Nic dziwnego, że potem do kamery powtarzają te propagandowe bzdety. Tak wygląda w tej mlekiem i miodem płynącej krainie wychowanie patriotyczne.

Zkolei Ukraińcy mniej gadają, a więcej robią. Członkowie ruchu oporu na Krymie z organizacji Atesz ogłosili kolejny sukces. W ostatnim czasie udało im się zlikwidować 30 rosyjskich żołnierzy i kolaborantów, którzy wcześniej zdradzili Ukrainę, przechodząc na stronę nieprzyjaciela. Partyzanci opublikowali pełną listę z personaliami zlikwidowanych przez siebie wrogów. Jak podkreślili, ich słowa łatwo zweryfikować, sprawdzając kostnice. Powstanie podziemnej organizacji Atesz zostało ogłoszone na początku października br. Działa ona w ramach struktur Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Celem partyzantów jest niszczenie okupacyjnej armii od środka. Co ciekawe, jak podaje ukraińskojęzyczny portal 24tv.ua, do ruchu są rekrutowani Tatarzy krymscy i Rosjanie o proukraińskich poglądach. Przypominają nam się nasi akowcy i wyklęci. Hasło te same: „Śmierć wrogom ojczyzny".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1fa3695ca6

Jedność

Marta Kaczyńska-Zielińska

Śmierć dwóch polskich obywateli w wyniku eksplozji rakiety na naszym terytorium – niezależnie od przyczyn tego zdarzenia, które w chwili pisania niniejszego tekstu nie zostały jeszcze zbadane – jest kolejnym sygnałem wskazującym na realność zagrożenia ze strony Rosji i Białorusi, wspierającej jej terrorystyczne działania.

Armia rosyjska, która poniosła już co najmniej trzy poważne porażki, ani na chwilę nie zatrzymuje swojej machiny zbrodni i godzi w filary Europy, a także współczesnej zachodniej cywilizacji rozwijającej się w pokoju, bezpieczeństwie i w duchu poszanowania godności każdego człowieka. Tak często przywoływane słowa śp. Lecha Kaczyńskiego wypowiedziane w Tbilisi w trakcie rosyjskiej inwazji na Gruzję sprawdzają się, a zasadność polityki dotyczącej szeroko pojętego bezpieczeństwa Polski prowadzonej przez tragiczne zmarłego prezydenta udowadnia nam każdy kolejny dzień wojny za naszą wschodnią granicą.

Świat zachodni miał osiem lat – od dokonanej w 2014 r. aneksji Krymu, by powstrzymać realizację zbrodniczej polityki Federacji Rosyjskiej. Tak się jednak nie stało. Uległość wobec Rosji, potwierdzana systematycznie kontraktami na dostawy surowców, utorowała drogę do rozpętania piekła na Ukrainie w lutym 2022 r. Polska od pierwszych dni wojny jest hubem wojskowym, humanitarnym, dostawcą sprzętu wojskowego i rzecznikiem Ukrainy na forum międzynarodowym. Polacy szczególnie cenią wolność i solidarność. Wiemy, co oznacza brak możliwości decydowania o sobie, i mamy w sobie ogromne pokłady empatii, która nie pozwoliła nam pozostawić sąsiadów w potrzebie.

Znajdujemy się tuż obok linii frontu. Wiemy doskonale, że pokonanie Ukrainy utoruje Rosji drogę do kolejnych inwazji. Pełna patriotyzmu, odwagi i męstwa postawa Ukraińców nie pozwoliła zrealizować Federacji Rosyjskiej planu zajęcia ich państwa.

Od 15 listopada br., z chwilą śmierci dwóch niewinnych, cywilnych obywateli naszego kraju, nasza zbiorowa reakcja i działanie organów państwa są poddawane testowi sprawności, siły i jedności. Pierwszym sprawdzianem były ataki hybrydowe na polską granicę przeprowadzone z terytorium Białorusi. Wtedy opozycja wpisała się w sprzyjającą wschodniej stronie narrację, usiłując wprowadzić chaos i deprecjonować działania polskich służb. Zupełnie odmiennie, niż miało to miejsce np. na Litwie, która w obliczu zagrożenia sztuczną falą imigrantów ponad podziałami politycznymi wykazała się spójnym stanowiskiem odnośnie do budowy zabezpieczeń na granicy z Białorusią.

W ostatnich tygodniach – mimo potwierdzanej przez Straż Graniczną skuteczności zapory na granicy z Białorusią – wieść o budowie zabezpieczenia na granicy z obwodem królewieckim, który zdaje się czynić przygotowania do otwarcia nowego szlaku migracyjnego, tj. nowej sceny działań hybrydowych wymierzonych w Polskę, wywołała po stronie opozycji komentarze kwestionujące zasadność tego przedsięwzięcia. W tak, wydawałoby się, oczywistej sprawie zabrakło jedności, powróciły szyderstwa.

Niezależnie od tego, czy zostaliśmy trafieni rykoszetem, czy było to zaplanowane działanie, przekonaliśmy się, że wojna może nas dosięgnąć. Historia toczy się na naszych oczach i w naszych rękach pozostaje powstrzymanie jej przed powtórzeniem się koszmarów z pierwszej połowy XX w. Odpowiedzialność za nasze wspólne bezpieczeństwo spoczywa na organach państwa i na każdym z nas.

Siła oddziaływania mediów społecznościowych i tempo rozpowszechniania informacji jest tak szybkie jak nigdy wcześniej w dziejach świata. Odpowiednio spreparowany news może wywołać reakcję na miarę tsunami. Zdając sobie z tego sprawę, musimy być ostrożni, powściągliwi i zaufać państwu, które dysponuje dostępem do zweryfikowanych informacji. W trakcie obchodów Święta Wojska Polskiego w 2008 r. śp. prezydent Lech Kaczyński powiedział: „Mamy świetnych sojuszników, ale bronić się musimy umieć także sami". Szybka i jednoznaczna reakcja członków NATO i państw zrzeszonych w Unii Europejskiej na tragiczne zdarzenie z 15 listopada ukazuje, że nasze sojusze są realne, ale by były skuteczne, musimy jako całe społeczeństwo postarać się utrwalić naszą jedność w sprawie bezpieczeństwa Polski i pozwolić naszym władzom spokojnie wykonywać swoje zadania służące zwiększaniu naszego potencjału obronnego.

REKLAMA

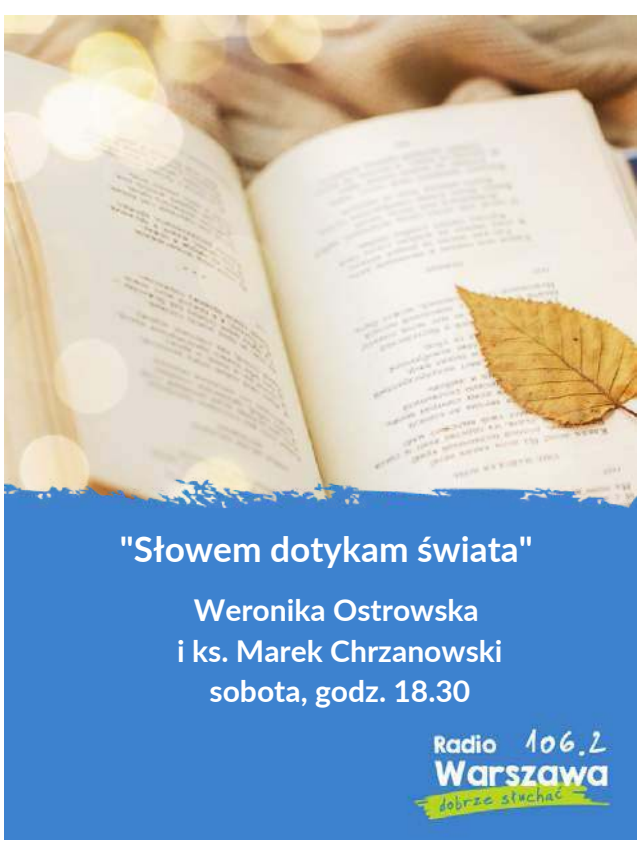

62/1022/F

eprasa.pl 1fa3695ca6

To może być punkt zwrotny

Samuel Pereira

Tragedia w Przewodowie, w której zginęło dwóch Polaków, pozwoliła choć na moment ponownie przywrócić proporcje w debacie publicznej. Nawet najzacieklejsi politycy opozycji musieli na chwilę przyhamować i ostudzić swoje emocje.

Najlepiej widać to było na koncie przewodniczącego Platformy Obywatelskiej na Twitterze. We wtorek rano w urbanowym, sokoburaczanym stylu żartował, że Jarosław Kaczyński nie zna się na seksie (podstarzały ekspert się znalazł, można by spuentować), żeby po kilku godzinach założyć maskę pojednania i ogłosić, że „w sytuacji zagrożenia, niezależnie od wewnętrznych sporów i różnic, wszyscy musimy być zjednoczeni i solidarni. W tej trudnej chwili będziemy razem". Abstrahując od szczerości tego typu deklaracji Donalda Tuska – szybko zweryfikowanej przez jego partyjnych towarzyszy, medialnych zagończyków i całej sekty spod znaku Silnych Razem i ośmiu gwiazdek – to właśnie takiej postawy od polityków należy oczekiwać w takiej sytuacji. Ona w znaczący sposób poruszyła każdego z nas.

Te kilka godzin, gdy nie było pewności, co dokładnie stało się na polskim terytorium przy wschodniej granicy, były tylko próbką niepokoju, w którym muszą żyć nasi sąsiedzi na Ukrainie, i to nie tylko w rejonach wojennych. Czy to była zabłąkana rakieta? Czy Rosja nie postanowiła przetestować reakcji Polski i NATO? Co będzie dalej? Te pytania kotłowały w głowach niejednego z nas i przy nich wszystkie dotychczasowe spory bledły. Co prawda pojawiły się głosy z obozu opozycyjnego uderzające w rząd za zbyt długie milczenie co do okoliczności zdarzenia, ale nie spotkały się one z akceptacją i szybko przycichły. To daje nadzieję.

Jeśli nauczymy się jako naród jednoczyć w istotnych dla naszego wspólnego interesu sprawach, to odzyskamy sprawczość i będzie to największy cios w tych, którzy w kraju i za granicą chcą nas w momencie kryzysowym, bo wojny u naszego sąsiada, podzielić. Nie miejmy złudzeń, takich prób dzielenia jeszcze wiele przed nami, ale faktem jest, że każdy moment jedności będzie je utrudniał. Tak nam dopomóż Bóg.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Po pierwsze: teatr

Z aktorem Andrzejem Mastalerzem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Piętka Mieszko/KPA

Reżyserowanie pana wciągnęło?

Andrzej Mastalerz: Miałem wcześniej przyjemność reżyserować w Teatrze Dramatycznym, również w teatrze radiowym. Na największej – telewizyjnej – scenie zadebiutowałem w tym roku spektaklem „Komedianci, czyli Konrad nie żyje". Okazało się to bardzo wciągające. Jeszcze coś postaram się zrealizować.

Teatr Telewizji jest medium wyjątkowym, łączącym pokolenia i artystyczne możliwości. Jak pan się w nim odnajduje?

Wychowałem się na Teatrze Telewizji. W mojej przestrzeni był on – mam wrażenie – od zawsze. Namiętnie oglądałem spektakle poniedziałkowe, czwartkowe kobry, a wcześniej spektakle dla dzieci. Obserwowałem rozwój tej sceny. W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy to jeszcze teatr, czy już film. Teraz, jak o tym myślę, nie bez powodu spektakle sprzed wielu lat – kiedy możliwości realizacyjne w stosunku do dzisiejszych były bardzo ograniczone – wciąż tak mocno na nas oddziałują. Choćby „Mazepa" Gustawa Holoubka (1969) czy „Parady" Krzysztofa Zaleskiego (1978). Te realizacje zupełnie się nie zestarzały.

Dlaczego?

Właśnie dlatego, że były znakomicie wyreżyserowane, świetnie zagrane, nie odrzucały autora i pozostały teatrem. Ja też na pierwszym miejscu stawiam teatr. Możliwości, które dają nowoczesne technologie, powinny go jedynie wspomagać. Wiem to także jako aktor, który zadebiutował na telewizyjnej scenie w drugiej połowie lat 80. Kawał życia... Dziś z pełną odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że od tamtego czasu przyjaźnię się z teatrem.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaIna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, JAKUB SZYMCZUK/KPRP, NAC, SHOPPING KING LOUIE/SHUTERSTOCK, MATERIAŁY PRASOWE

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

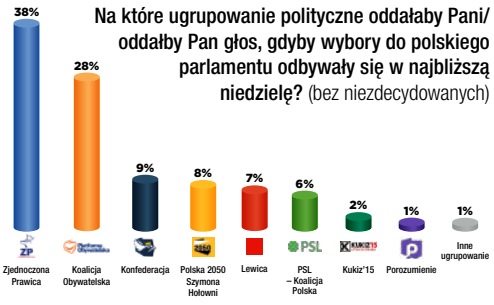

Jak się Pani/Panu wydaje, czy Komisja Europejska odblokuje środki dla Polski z Krajowego Planu Odbudowy, jeśli polski rząd spełni żądania KE dotyczące wycofania reform polskiego sądownictwa?

Czy popiera Pani/Pan pomysł, żeby inwestycje mające na celu budowę elektrowni jądrowych w Polsce były koordynowane przez jedną instytucję, która odpowiadałaby także za wdrażanie usprawnień procesu inwestycyjnego?

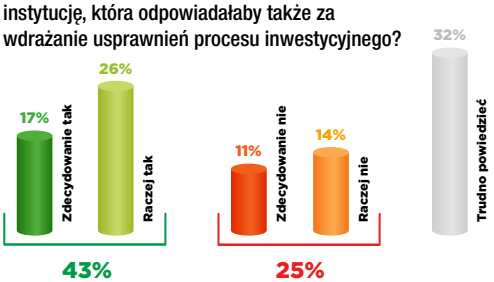

Która instytucja powinna koordynować inwestycje mające na celu budowę elektrowni jądrowych w Polsce, gdyby taki pomysł został zrealizowany?

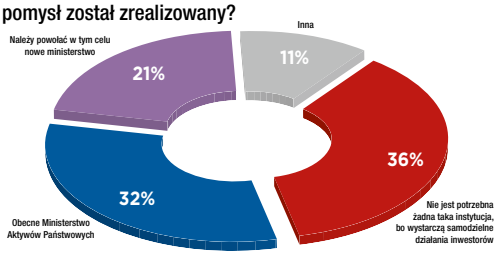

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1075.

Zakres czasowy badania 11–14 listopada 2022 r.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Cenzura w natarciu

Dziennikarze potężnego koncernu medialnego, mającego na sztandarach hasła o wolności słowa, sami próbują dławić krytykę prasową. Wytaczają całą serię pozwów, pierwszy wyrok już zapadł. Czy chodzi o to, by w Polsce obowiązywała zasada, iż materiałów TVN nie wolno recenzować? Czy sądy przyłożą do tego rękę?

MAREK PYZA

Ta historia pokazuje, w jak paskudnym miejscu może znaleźć się polska debata publiczna, jeśli spełnią się marzenia dziennikarskich książąt z Wiertniczej, a sądy wciąż będą skłonne wydawać kuriozalne wyroki. Tej debaty po prostu nie będzie. Pozostanie nam przyjmować wszystko, co poda TVN jako prawdę objawioną. A jeśli ktoś spróbuje ją podważyć, zostanie skarcony przez gorliwego sędziego – np. 50 tys. zł kary.

W minionym tygodniu przed Sądem Okręgowym w Warszawie zakończył się w pierwszej instancji proces wytoczony redaktorowi naczelnemu tygodnika „Sieci" Jackowi Karnowskiemu przez Bertolda Kittela, Piotra Wacowskiego i Annę Sobolewską, autorów reportażu „Polscy naziści" wyemitowanego w 2018 r. w programie „Superwizjer" w TVN. Poczuli się oni dotknięci okładką „Sieci" nr 46/2018 oraz tytułem zapowiadanego nią artykułu autorstwa Wojciecha Biedronia „Maskarada na zlecenie". I ruszyli z frontalnym atakiem na dziennikarzy wydawnictwa Fratria.

W różnych konfiguracjach (raz powodami są dziennikarze TVN, innym razem sama stacja) wytoczyli aż sześć procesów dziennikarzom Fratrii lub samemu wydawnictwu. Skupmy się na tym nieprawomocnie już zakończonym.

WAFEL SS

Sędzia Monika Dominiak (przejęła rozstrzyganie sprawy w końcówce, prowadziła dwie ostatnie rozprawy i wydała orzeczenie) ogłosiła wyrok, którego nie można określić inaczej niż oczywiście niesprawiedliwy. Żeby to zrozumieć, trzeba przypomnieć, czego dotyczył spór.

W styczniu 2018 r. TVN wyemitował materiał o „polskich neonazistach", składający się z kilku wątków. Pierwszym była manifestacja w Katowicach, zorganizowana przez Ruch Narodowy i Młodzież Wszechpolską, w czasie której na szubienicach powieszono portrety kilku europarlamentarzystów PO.

> To wszystko dlatego, że ośmieliliśmy się zepsuć dobry nastrój dziennikarzom z Wiertniczej i wskazaliśmy, że opis świata przez nich prezentowany niekoniecznie musi odpowiadać opisanym przez nas faktom

Drugim był festiwal muzyczny „Orle gniazdo", na którym występowały zespoły skinheadowskie, a wśród publiczności pojawili się ludzie o poglądach neofaszystowskich, z nazistowskimi tatuażami, wznoszący hitlerowskie okrzyki i wykonujący takowe gesty. To istotnie efekt dziennikarstwa śledczego i pewnego ryzyka, które podjęli żurnaliści TVN, zdobywając materiał. W takim miejscu i w takim gronie ich obecność pod przykrywką na pewno wiązała się z jakimś zagrożeniem. Nikt nie podważa tu ich zasług, a na sali sądowej podkreślają to dziennikarze Fratrii zeznający jako świadkowie.

Trzecim elementem były zorganizowane w maju 2017 r. w lesie pod Wodzisławiem Śląskim 128. urodziny Adolfa Hitlera. Wszystko łączyły osoby z władz nacjonalistycznego stowarzyszenia Duma i Nowoczesność. „Superwizjer" chwalił się, że jego dziennikarze przeniknęli do tego środowiska i udało im się ukrytą kamerą zarejestrować, jak polscy neonaziści czczą wodza III Rzeszy.

Opinia publiczna zobaczyła dziwaczne obrazy wielkich flag ze swastykami rozwieszonymi na drzewach, cudacznie defilującego mężczyznę przebranego w mundur Wehrmachtu, płonącą swastykę i urodzinowy tort, który zdobił ułożony z czekoladowych wafelków symbol NSDAP. Całość wyglądała bardziej jak słaby kabaret (karierę w mediach społecznościowych zrobiło wówczas określenie „wafel SS", oddające sceptyczne nastawienie części opinii publicznej do

eprasa.pl 1fa3695ca6

powagi urodzin Hitlera), a nie spontaniczne i autentyczne oddawanie hołdu zbrodniarzowi.

Materiał stał się niezwykle głośny nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Posłużył do wzmacniania hucpiarskiej tezy o rosnącym w siłę polskim antysemityzmie czy wręcz neonazizmie.

Po kilku miesiącach dziennikarz „Sieci" i portalu wPolityce.pl Wojciech Biedroń dotarł do wiarygodnej relacji, jakoby wydarzenia w śląskim lesie miały być inscenizacją, za którą jej autorowi po prostu zapłacono. 20 tys. zł miał otrzymać w reklamówce od nieznanych mu mężczyzn za zorganizowanie urodzin Hitlera według dość precyzyjnych wytycznych oraz pod warunkiem uczestnictwa w imprezie Anny Sokołowskiej (takim nazwiskiem na potrzeby reportażu posługiwała się Anna Sobolewska).

Tak zeznał jako świadek w jednym z postępowań sam Mateusz S. (prezes Dumy i Nowoczesności) pod rygorem odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań (a nie – jak twierdzą powodowie – w czasie wyjaśnień składanych jako podejrzany, gdy mógł dowolnie kłamać).

Biedroń dochował tu dziennikarskiej rzetelności i wcale nie oparł się (jak sugeruje strona powodowa) na jednym źródle. Poza wiedzą o zeznaniach innych osób dysponował również stanowiskiem samego prokuratora generalnego. Zbigniew Ziobro mówił wtedy wprost: „Zebrane materiały wskazują na możliwą wersję związaną z prokurowaniem tego wydarzenia za określoną sumę pieniędzy, bodajże 20 tys. zł".

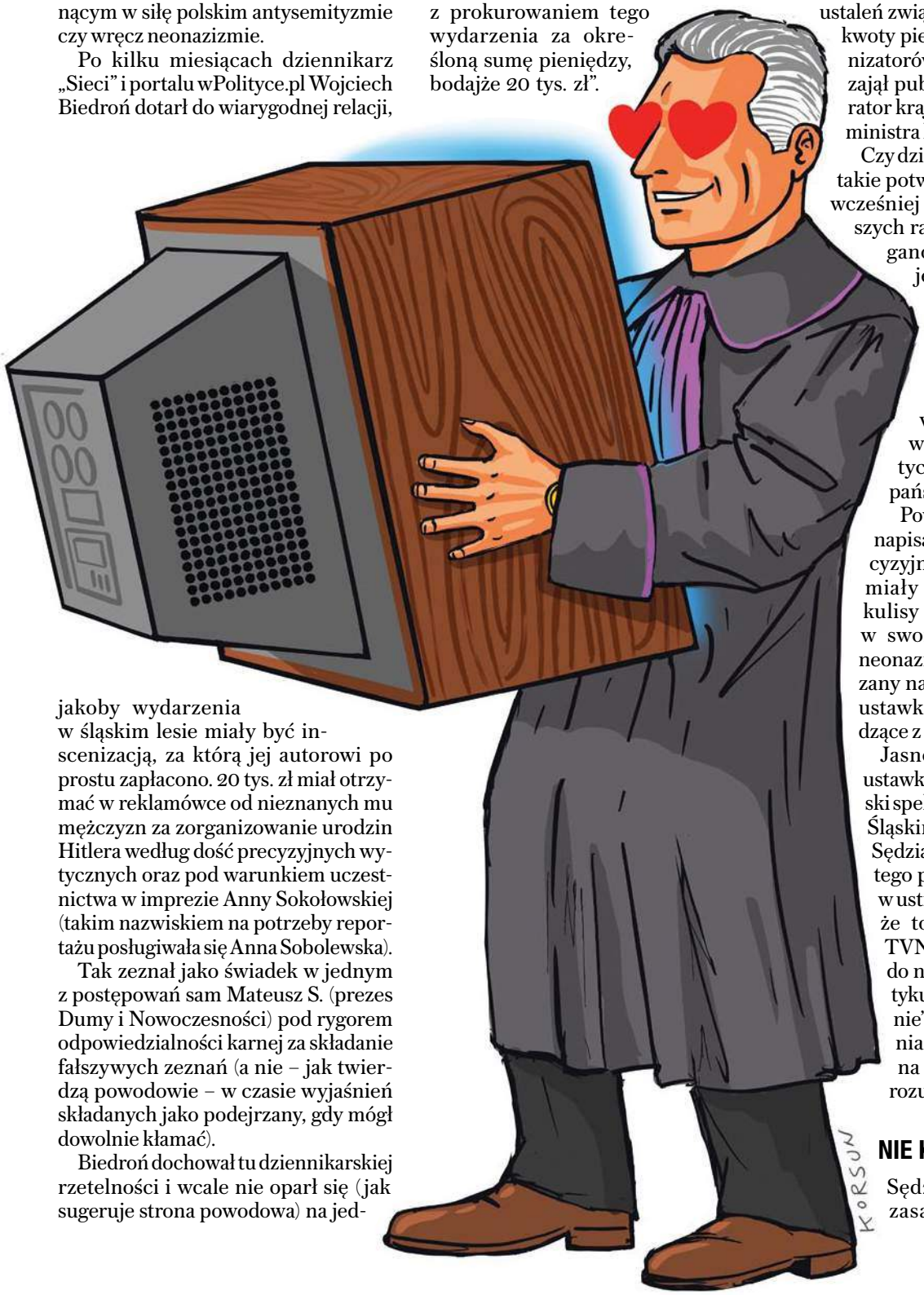

Drugim elementem związanym z opłaceniem tej sumy pieniędzy była obecność tam pani, która była dziennikarką TVN. Mogę powiedzieć, że czynności dowodowe w tym zakresie były przeprowadzone i przyniosły potwierdzenie ustaleń związanych z dostarczeniem kwoty pieniędzy jednemu z organizatorów". Podobne stanowisko zajął publicznie również prokurator krajowy oraz biuro prasowe ministra koordynatora specsłużb.

Czy dziennikarz, który uzyskuje takie potwierdzenie pozyskanych wcześniej informacji od najwyższych rangą przedstawicieli organów ścigania, powinien je ignorować, ukrywać przed opinią publiczną? W żadnym wypadku. Byłoby to sprzeniewierzenie się elementarnym zasadom zawodowym. Zwłaszcza w takiej sprawie – dotyczącej *de facto* interesu państwa polskiego.

Powstał chłodno i rzeczowo napisany artykuł, bardzo precyzyjnie wskazujący, na czym miały polegać „odsłaniane kulisy manipulacji". Biedroń w swoim tekście pyta: „Czy neonazistowski spektakl, pokazany nam przez TVN, był więc ustawką za pieniądze pochodzące z niewiadomego źródła?".

Jasno wskazywaliśmy, że ustawką mógł być neonazistowski spektakl pod Wodzisławiem Śląskim, a nie reportaż TVN. Sędzia nie wzięła, jak się zdaje, tego pod uwagę, stwierdzając w ustnych motywach wyroku, że to materiał telewizyjny TVN został tak nazwany i że do niego odnosił się tytuł artykułu „Maskarada na zlecenie". Choć w tekście Biedronia nie sposób znaleźć nic na potwierdzenie takiego rozumowania.

NIE KRYTYKUJ TVN

Sędzia Monika Dominiak zasądziła od redaktora

eprasa.pl 1fa3695ca6

naczelnego „Sieci" zapłatę z jego własnej kieszeni 50 tys. zł na cel społeczny w postaci Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, a także zamieszczenie na swój koszt zbędnie długich przeprosin na piątej stronie tygodnika oraz... zapowiedzi tych przeprosin na okładce. To wyrok rażąco niesprawiedliwy, i to z wielu powodów. Weźmy choćby wydawcę „Sieci", który w tym akurat procesie nie był stroną. Dlaczego zatem sędzia postanowiła *de facto* ukarać wydawnictwo finansowo, pozbawiając je możliwości publikacji całostronicowej reklamy zawsze ukazującej się w tygodniku na jego piątej stronie, a także narażając je na straty wynikające z pozbawienia okładki jej tradycyjnej funkcji marketingowej? Podkreślmy raz jeszcze: w tym procesie wydawca „Sieci" w ogóle nie występował.

Biorąc pod uwagę, że przed sądami zawisło jeszcze kilka innych spraw wytoczonych przez ludzi TVN lub sam TVN, jest teoretycznie możliwe (jeśli trafimy na sędziów o nastawieniu podobnym do prezentowanego przez sędziego orzekającego w opisanej sprawie), że suma kosztów, które będzie musiało ponieść wydawnictwo Fratria oraz jego dziennikarze, będzie szła co najmniej w setki tysięcy złotych. A wszystko dlatego, że ośmieliliśmy się zepsuć dobry nastrój dziennikarzom z Wiertniczej i wskazaliśmy, że opis świata przez nich prezentowany niekoniecznie musi odpowiadać opisanych przez nas faktom.

Kittel wprowadza w błąd opinię publiczną, twierdząc w mediach społecznościowych, że Karnowski musi przeprosić dziennikarzy TVN. Podobne nieprawdziwe informacje podawali autorzy notek w branżowych serwisach press.pl czy wirtualnemedia.pl. A przecież wszyscy oni świetnie znają elementarne zasady prawa procesowego i wiedzą, że wyrok I instancji do czasu uprawomocnienia się nie stanowi podstawy żadnego obowiązku po stronie pozwanego. Ten triumfalizm jest więc przedwczesny, i na razie zupełnie nieuzasadniony. Apelacja naturalnie zostanie złożona i głęboko wierzymy, że zakończy się ona zgodnym z prawem, sprawiedliwym i zgodnym z interesem społecznym wyrokiem, czyniąc zwycięzcą wolną debatę publiczną. Lecz zanim do tego dojdzie, nie możemy milczeć wobec triumfalnych anonsów pana Kittela i jego kolegów.

Piotr Wacowski twierdził przed sądem, że nie mieliśmy prawa pisać o nim pod nazwiskiem, bo... jest operatorem kamery, a nie dziennikarzem, a więc w jego mniemaniu nie jest też osobą publiczną. Chyba sam zainteresowany zapomniał, że dosłownie dwa dni po publikacji spornego numeru „Sieci" przyjmował jeden z najbardziej prestiżowych w pewnych kręgach laurów dziennikarskich – Nagrodę Radia Zet im. Andrzeja Woyciechowskiego. A nadto w samym pozwie pełnomocnik powodów przyznał: „Bertold Kittel i Piotr Wacowski są uznanymi dziennikarzami".

> Bertold Kittel wprowadza w błąd opinię publiczną, twierdząc w mediach społecznościowych, że Jacek Karnowski musi przeprosić dziennikarzy TVN. Podobne nieprawdziwe informacje podawali autorzy notek w branżowych serwisach press.pl czy wirtualnemedia.pl

A skoro już ustaliliśmy, że Wacowski dziennikarzem jest, przypomnijmy fragment artykułu Wojciecha Biedronia, który pokazuje, jak zachowywał się ów dziennikarz w czasie urodzin Hitlera:

„Piotr Wacowski nie jest początkowo zbyt rozmowny, ale to on staje w pewnym momencie przy drzewie i podnosi rękę w nazistowskim pozdrowieniu. Potem przy wspólnym ognisku zadaje mnóstwo pytań Adamowi B. (uczestnikowi imprezy, niedawno skazanemu za udział w neonazistowskich »urodzinach Hitlera«). Podpytuje o uchodźców i sugeruje Adamowi B., by ten aktywnie »walczył« z imigrantami. Piotr Wacowski ochoczo częstuje Adama B. alkoholem".

To oczywiste i rażące przekroczenie granic dziennikarstwa wcieleniowego. TVN jednak nie pokazał tego swoim widzom. Ujawniły to dopiero po wielu miesiącach publikacje „Sieci" i wPolityce.pl.

Dodatkowo swoją obecnością w tym wąskim gronie, w tajemnicy przed swoimi widzami, dziennikarze „Superwizjera" pełnili funkcję swoistego sztucznego tłumu wśród grupki osób „brzydko bawiących się" w wodzisławskim lesie. Czy na tej podstawie można stawiać tezę o współuczestnictwie dziennikarzy w kreowaniu rzeczywistości, którą następnie pokazują oni opinii publicznej w reportażu emitowanym przez TVN? „Sieci" nie podniosło takiego zarzutu w artykule „Maskarada na zlecenie". Podkreślmy jeszcze raz: wszystkie określenia użyte na naszej okładce oraz w treści artykułu sprzed czterech lat odnosiły się do samej organizacji imprezy znanej jako urodziny Hitlera, a nie do reportażu TVN. Sąd w ustnych motywach wyroku przyjął odmienną ocenę.

ZAGUBIONE TAŚMY

Powodowie utyskiwali też na osobiste nieprzyjemności w efekcie publikacji „Sieci" – m.in. nieprzychylne komentarze w internecie pod ich adresem. Przytaczali tu zupełnie niezwiązane z naszym artykułem publikacje na innych portalach i komentarze pod nimi. Jeden z powodów pytany o dotkliwe konsekwencje artykułu w naszym tygodniku stwierdził, że... jego mama i tata się martwili.

Pomijali za to konsekwencje swojego materiału, które doprowadziły do wielotygodniowej nagonki na nasz kraj, podczas której często słyszeliśmy, że rzekomo pozwala się w nim na nazistowskie ekscesy. Wpisywało się to w trwającą od lat próbę zamiany obrazu Polski i Polaków z ofiar II wojny światowej na współodpowiedzialnych za zbrodnie niemieckie.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Materiał „Superwizjera" w części dotyczącej urodzin Hitlera był skonstruowany tak, by maksymalnie wyolbrzymić problem neonazizmu w Polsce. Dlatego w jednym reportażu połączono leśną inscenizację kilku osób ze stanowiącym wydarzenie skrajnie marginalne (choć niedopuszczalne) koncertem skinheadów oraz polityczną manifestacją w Katowicach. Zdarzenia spod Wodzisławia dodatkowo ubarwiono – zaprezentowano jako tajemnicze wydarzenie, w pełnej konspiracji organizowane przez niebezpiecznych wyznawców Hitlera. Tymczasem oni sami w jawny sposób filmowali swoją imprezę. Nikt się z niczym nie krył, nie rozglądał wokoło, czy nie zostanie przyłapany.

Dziwi również, że skoro problem neonazizmu w Polsce miałby być tak wielki, dlaczego w ten oryginalny sposób celebrowane urodziny Hitlera zgromadziły tylko osiem osób? W dodatku dwie z nich to pracownicy TVN (1/4 wszystkich zgromadzonych!), a pozostałe to żona i znajomi organizatora Mateusza S. zachęceni możliwością spotkania towarzyskiego przy flaszce? Dlaczego gorliwi polscy naziści nie świętowali 20 kwietnia, gdy faktycznie przypadają urodziny wodza III Rzeszy, lecz dopiero 13 maja (w „Superwizjerze" wytłumaczeniem była... niesprzyjająca kwietniowa pogoda)? Nie godzi się! Dlaczego frekwencja nie dopisała, choć Mateusz S. wysłał kilkadziesiąt zaproszeń na imprezę do swoich znajomych (w domyśle: również neofaszystów). Czyżby niemal wszyscy wyczuli, że coś tu śmierdzi, że to prowokacja, jakaś manipulacja?

Również sam przebieg imprezy wskazuje, że nikt tam na poważnie nie traktował nazistowskiej celebry. Wszystko trąci sztucznością, zerową spontanicznością. Uczestnicy pozują do kamer (!) z hitlerowskim pozdrowieniem, operetkowo maszerują pośród drzew, na stoliku mają tort ze swastyką z wafelków. Czy ktokolwiek mógł to potraktować serio? Rzeczywisty przebieg imprezy uprawdopodabniał zatem hipotezę, że wszystko było tylko inscenizacją, którą dokumentowano, by Mateusz S. zasłużył na otrzymane 20 tys. zł.

W tej sprawie zagadek jest więcej. Dlaczego najlepsi (rzekomo) dziennikarze śledczy zatrudnieni w TVN czekali aż osiem miesięcy z publikacją materiału? Skoro już w maju zdobyli dowody na niebezpieczną neonazistowską działalność jakichś ludzi, dlaczego pozwolili im na beztroskę aż do stycznia? Zapewne pozostanie to ich słodką tajemnicą.

Podobnie jak losy tzw. surówki, czyli całości zarejestrowanego przez dziennikarzy TVN materiału filmowego. O wszystkie nagrania wystąpiła do stacji prokuratura. Chodziło o wyjaśnienie roli w leśnej imprezie Piotra Wacowskiego, o którym inni uczestnicy wydarzenia zeznawali, że był bardzo aktywny, garnął się do instalowania scenografii i podburzał przeciwko uchodźcom. Stacja najpierw odpowiedziała śledczym, że są trudności z odnalezieniem surówki ze względu na okres ferii zimowych, a po dwóch tygodniach zamknęła temat, oświadczając, że nie udało się odnaleźć nagrań.

To chyba przypadek bez precedensu, by tak uznani dziennikarze śledczy zagubili oryginalne taśmy z tak arcyważnym materiałem.

> Podkreślmy jeszcze raz: wszystkie określenia użyte na naszej okładce oraz w treści artykułu sprzed czterech lat odnosiły się do samej organizacji imprezy znanej jako urodziny Hitlera, a nie do reportażu TVN. Sąd w ustnych motywach wyroku przyjął odmienną ocenę

JAKA WOLNOŚĆ?

Jesteśmy w trakcie wojny o sądy, w której część środowiska sędziowskiego uzurpuje sobie prawo np. do podważania polskiego porządku prawnego i demonstracyjnie opowiada się politycznie.

Pani sędzia Monika Dominiak nie należy co prawda do stowarzyszenia Iustitia, jednak wspiera jego działalność i publicznie angażuje się w wystąpienia dalece wykraczające poza granice wypowiedzi orzeczniczej, do której są predestynowani sędziowie. Jej wyrok w omawianej sprawie będzie podlegać kontroli instancyjnej. Tymczasem w marcu 2021 r. podpisała „Oświadczenie Sędziów Rzeczpospolitej Polskiej w sprawie niezgodnych z prawem działań Izby Dyscyplinarnej SN i Prokuratury wobec sędziego Igora Tuleyi". Cztery miesiące później podpisała się pod apelem Iustitii wzywającym do pełnego wykonania niekonstytucyjnych orzeczeń TSUE.

Można więc domniemywać, że pani sędzia prywatnie docenia postawę stacji TVN na froncie walki o to, by w sądach było tak, jak było. Są po tej samej stronie jednego z najgorętszych sporów w Polsce ostatnich lat. Dalecy jesteśmy od sugerowania, że determinuje to wydawane przez nią wyroki.

Jeśli jednak pani sędzi leży na sercu stan polskiej demokracji, to trudno zrozumieć, dlaczego swoim orzeczeniem przykłada rękę do jej osłabiania, wydając wyrok wywołujący oczywisty efekt mrożący w stosunku do dziennikarza pozwanego w procesie. Pozwy z Wiertniczej wobec dziennikarzy Fratrii to nic innego niż próba tłumienia wolności mediów i blokowania ich krytycznej roli w społeczeństwie tam, gdzie zachodzi konieczność ochrony usprawiedliwionego interesu społecznego w postaci prawa publiczności do informacji. Media patrzące na ręce innym mediom to jeden z fundamentalnych elementów demokracji.

Narzędziem zaś każdego dziennikarza w debacie publicznej powinno być pióro, a nie knebel zakładany adwersarzom w postaci zmasowanych pozwów sądowych. I nie ma znaczenia, czy rzecz dotyczy małego, niezamożnego medium, czy jednego z największych graczy na rynku. Ten ostatni – a takim jest TVN i jego dziennikarze – ma zawsze nieograniczone możliwości w prezentowaniu swojego stanowiska opinii publicznej.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Wojna dosięga Polskę

Trzeba odpowiedzieć na to, co się stało w polskim Przewodowie. Najlepiej zwiększając potencjał Ukrainy i jej zdolności do niszczenia celów powietrznych

MAREK BUDZISZ

Prezydent Joe Biden, występując przed dziennikarzami następnego dnia po incydencie w Przewodowie nieopodal Hrubieszowa, powiedział: „Na podstawie wstępnych danych jest mało prawdopodobne, by rakieta została wystrzelona z Rosji". Powołał się przy tym na dane zwiadu powietrznego, co jest skądinąd zrozumiałe, bo w czasie eksplozji, która zabiła dwóch polskich obywateli, nad naszym krajem znajdował się bezzałogowy samolot zwiadowczy Global Hawk, który regularnie patroluje nasze wschodnie granice. Dodatkowo, co wiadomo nie od dzisiaj, nad nami latają amerykańskie samoloty wyposażone w system wczesnego ostrzegania AWACS.

Informacji na temat tego, co mogło się wydarzyć, były zatem dostępne – co należy założyć z dużą dozą pewności – już dość wcześnie, tym bardziej że w miejscowości Łabunie znajduje się 101. posterunek radiolokacyjny, w którym zamontowano pracujący w systemie ciągłym nowoczesny włoski radar Rat-31DL o zasięgu pracy 470 km. Z Łabuń do Przewodowa jest w linii prostej ok. 40 km, trudno zatem, by nie wiedziano, co wlatuje w naszą przestrzeń powietrzną i jaka jest trajektoria lotu śledzonego obiektu.

Wypowiadający się w tym samym czasie co Joe Biden prezydent Andrzej Duda oświadczył, że nie ma ostatecznych dowodów na to, kto wystrzelił rakietę w stronę

Fot. Twitter (2x)

eprasa.pl 1fa3695ca6

polskiego terytorium, ale z pewnością była ona konstrukcji rosyjskiej. Zapewne tego rodzaju ustalenie poczyniono na podstawie wstępnej analizy odłamków znalezionych w Przewodowie. Później prezydent Duda powiedział stacji telewizyjnej TVN, że była to najprawdopodobniej rakieta systemu S-300 wystrzelona przez ukraińskie siły obrony powietrznej, która spadła nieszczęśliwie w Polsce. Nie eksplodował jej ładunek, lecz jedynie resztki paliwa.

Strona polska w swoich oświadczeniach koncentrowała się też na podkreślaniu nieintencjonalnego charakteru tego, co się stało i podkreślaniu, że mieliśmy do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem.

Co intrygujące, w ciągu jednego dnia – bo wstępne informacje o przyczynach wybuchu podano w kilkanaście godzin po wydarzeniu – które miało miejsce 15 listopada, zniknęła jedna z podstawowych i kluczowych kwestii, a mianowicie – z iloma detonacjami mieliśmy do czynienia? Świadkowie mówili o dwóch, a minister Agnieszka Ścigaj, relacjonując wieczorne posiedzenie rządu, w którym uczestniczyła, mówiła, że omawiano te, jak powiedziała, niepotwierdzone relacje. Co nie mniej intrygujące, przed północą w dzień, kiedy incydent miał miejsce, minister Zbigniew Rau wezwał ambasadora Rosji i wręczył mu naszą notę dyplomatyczną, która – jak powiedział rzecznik resortu – „opisała sytuację i nasze spojrzenie na sprawę". Należy zatem założyć, że już wówczas mieliśmy skonkretyzowaną opinię na temat tego, co się stało.

TO NIE NASZA RAKIETA

Sprawa znacznie się skomplikowała, kiedy dzień później prezydent Zełenski, po spotkaniu tzw. stawki, czyli kierownictwa państwa w czasie wojny, oświadczył: „Nie mam wątpliwości, że to nie była nasza rakieta ani nasz atak rakietowy. Jestem pewien, że powinniśmy i będziemy [uczestniczyć w śledztwie – M.B.]. Chcę, żebyśmy byli uczciwi i jeśli to było użycie naszej obrony przeciwlotniczej, to chcę tego dowodów. Najpierw śledztwo i dostęp do danych, które posiadacie".

Ołeksij Daniłow, szef ukraińskiej Rady Bezpieczeństwa i Obrony, ujawnił w wywiadzie, a nie jest on częstym gościem mediów, że Zełenski sformułował swoją opinię na podstawie raportów gen. Wałerija Załużnego, dowódcy sił zbrojnych, i gen. Nikołaja Oleszczuka, dowodzącego siłami powietrznymi i obrony przeciwlotniczej. W wypowiedzi Daniłowa zabrzmiały i twardsze nuty, bo powołał się na polsko-ukraińską porozumienie jeszcze z 1983 r., mówiąc, że na jego podstawie przedstawiciele Kijowa mają prawo uczestniczyć w dochodzeniu, dlatego że incydent miał miejsce w rejonie nadgranicznym, a sytuacji kryzysowych w pobliżu granicy dotyczy ta właśnie umowa.

Sprawa zrobiła się zatem polityczna, tym bardziej że Joe Biden, pytany o komentarze prezydenta Ukrainy, powiedział, że nie są one dowodem. Zełenski jednak nie ustępuje i w rozmowie z Bloombergiem oświadczył, że na podstawie analizy zdjęć szczątków i odłamków ukraińscy specjaliści wykluczyli, by w Przewodowie upadła tylko rakieta systemu S-300 i jego zdaniem były tam jeszcze inne.

> Jeśli na Kremlu uznają, że następują podziały na linii Warszawa–Kijów lub nasza reakcja świadczy o słabości czy niepewności, to uderzą ponownie

Mamy zatem dość oczywiste sugestie strony ukraińskiej, iż Polska i Stany Zjednoczone chcą przedstawić wersję wydarzeń, która nie odpowiada rzeczywistości, a na dodatek prowadzone śledztwo nie budzi zaufania przynajmniej w Kijowie. Dziennik „The Washington Post", powołując się na anonimowe źródła w amerykańskim wywiadzie, napisał, że najprawdopodobniej był to wypadek. Jedna wystrzelona przez stronę ukraińską rakieta systemu S-300 – ale niewykluczone, że były dwie – zboczyła z kursu i uderzyła w Przewodowie.

Ta informacja nawet bez specjalistycznej wiedzy wojskowej musi budzić wątpliwości, bo trzeba zaiste nadzwyczajnego zbiegu okoliczności, by dwie rakiety w tym samym czasie zboczyły z kursu i podążały niemal wspólną trajektorią, uderzając w jedno miejsce. Polscy eksperci, z którymi rozmawiałem, zastanawiają się, dlaczego nie działały systemy samolikwidacji zamontowane na każdej z nich albo z jakiego powodu nie zniszczono rakiet, naciskając stosowny przycisk w stacji, z której zostały one odpalone. Ale nawet jeśli założyć, że przedstawiony przez nasze władze opis sytuacji jest precyzyjny, to trzeba postawić pytanie, dlaczego nikt z Ukrainy przez kilkanaście godzin nie zadzwonił do Warszawy, informując o tym, że rakieta zboczyła z kursu? Czy należy założyć, że kanały komunikacji nie działają?

Eksperci ukraińscy też stawiają ważne pytania. Iwan Kiriczewski z portalu Defence Express przypomina rosyjskie ataki na Mikołajów z końca września, kiedy użyto systemów S-300. Wówczas też były wypadki, kiedy znajdujący się w nich materiał wybuchowy nie eksplodował. Jak mówi, „rakieta kompleksu S-300 jest wyposażona nie tyle w materiały wybuchowe, ile w wybuchowe kostki o wymiarach 1 na 1 cm. Być może pamiętacie, były filmy z Mikołajowa, w których pracownicy służb użyteczności publicznej dosłownie garściami zbierali takie kostki, kiedy rakieta nie eksplodowała. Tutaj, w miejscu wybuchu naszej rakiety, powinny być takie kostki, a ich nie ma". Kiriczewski zastanawia się też, gdzie podziała się rosyjska rakieta, którą Ukraińcy mieli przechwycić?

NIE DAĆ SIĘ PORÓŻNIĆ

Na wszystkie te pytania trzeba będzie znaleźć zadowalającą odpowiedź nie tylko dlatego, że pozostawienie nierozstrzygniętych kontrowersji nie służy relacjom Warszawy i Kijowa. To ważna okoliczność, ale jeszcze bardziej istotne jest rozstrzygnięcie tego, co dalej. Jeśli bowiem mieliśmy do czynienia z intencjonalnym atakiem Rosjan, co zdaje się sugerować strona ukraińska, lub choćby moskiewską prowokacją, o czym w Sejmie mówił premier Morawiecki, to należy założyć, iż takie sytuacje mogą się powtarzać. Wynika to bowiem z rosyjskiego podejścia do zarządzania eskalacją. Jeśli bowiem w Moskwie uznają, że odpowiedź Polski i NATO na to,

eprasa.pl 1fa3695ca6

co się wydarzyło, nie będzie adekwatna, to mogą chcieć powtórzyć operację, tylko tym razem w sposób bardziej dolegliwy dla nas. Farida Rustamova, rosyjska niezależna dziennikarka zajmująca się analizowaniem sytuacji na szczytach rosyjskiej władzy, napisała pod koniec września, że Putin zawsze eskaluje, zwłaszcza jeśli uważa, iż przeciwnicy wykazują oznaki słabości, zwątpienia czy pojawiają się różnice zdań, które można chcieć pogłębić.

A zatem jeśli na Kremlu uznają, że następują podziały na linii Warszawa–Kijów lub nasza reakcja świadczy o słabości czy niepewności, to uderzą ponownie. W tym sensie wspólne, spójne stanowisko prezentowane przez Warszawę i Waszyngton jest działaniem korzystnym dla naszych interesów. Trzeba jeszcze zadbać o to, by Kijów nie kontestował tego, co mówimy o wydarzeniu w Przewodowie.

Jeśli jednak mówimy tak jak premier Morawiecki o rosyjskiej prowokacji, to musimy odnotować kilka faktów. Z pewnością najsilniejszy – biorąc pod uwagę skalę – atak rakietowy Moskali przeciw Ukrainie po 24 lutego jest działaniem eskalacyjnym. Tym bardziej że zaatakowane cele, takie jak węzeł energetyczny w miejscowości Dobrotwirska, znajdują się w bezpośredniej bliskości polskich granic. To, co się stało 15 listopada, ma też znaczenie w kontekście wydarzeń na indonezyjskiej wyspie Bali, gdzie zebrali się reprezentanci G20. Przemówił do nich wówczas prezydent Zełenski, przedstawiając ukraiński 10-punktowy plan zakończenia wojny. Jednym z jego elementów jest żądanie wycofania się Rosjan i poszanowania integralności terytorialnej zaatakowanego sąsiada. Putin na Bali nie pojechał, nie przemawiał też do zgromadzonych, a dodatkowo musiał przełknąć gorzką pigułkę, którą dla Moskwy stało się przedstawione bez ogródek stanowisko Pekinu o niedopuszczalności wojny atomowej w Europie, co w praktyce odbiera Rosjanom jeden z ważnych środków nacisku, którym jest nuklearny szantaż. Symbolem izolacji Rosji stało się to, że Ławrow, z którym nikt nie chciał rozmawiać, skrócił swój pobyt i wrócił do Moskwy.

JAK NA TO ZAREAGOWAĆ?

Potem nastąpiło uderzenie rakietowe, które – jak należy się domyślać – było odpowiedzią rosyjską na stanowisko Kijowa. Istota tej odpowiedzi jest jasna – jeśli nie usiądziecie do rozmów już teraz, akceptując straty terytorialne na południu kraju, to nastąpi eskalacja wojny. Gergely Gulyás, szef kancelarii premiera Węgier, które zablokowały ostatnie unijne sankcje wobec Rosji, jest przekonany, że właśnie wypadek w Przewodowie potwierdza słuszność linii zakładającej konieczność natychmiastowego rozpoczęcia negocjacji pokojowych Ukrainy i Rosji. Stanowisko Budapesztu, prezentującego w gruncie rzeczy w Unii Europejskiej rosyjski punkt widzenia, jest w tym przypadku symptomatyczne. Podobnie jak wypowiedź Erdoğana, który z kolei oświadczył, że nie wierzy, by to mogła być rosyjska rakieta. Liderzy obydwu państw obawiają się eskalacji wojny i w tych kategoriach odbierają ostatnie wydarzenia.

Warto też zwrócić uwagę na to, że Biden wykluczył, by rakieta, która upadła w Przewodowie, została wystrzelona z Rosji, a jeśli atak nastąpił z Białorusi? Kreml już od dłuższego czasu bezskutecznie stara się wciągnąć reżim Łukaszenki do wojny, być może – puszczając wodze fantazji – można napisać, że prowokacja, o której mówił premier Morawiecki, była związana z tymi działaniami, tym bardziej jeśli byśmy na nią odpowiedzieli.

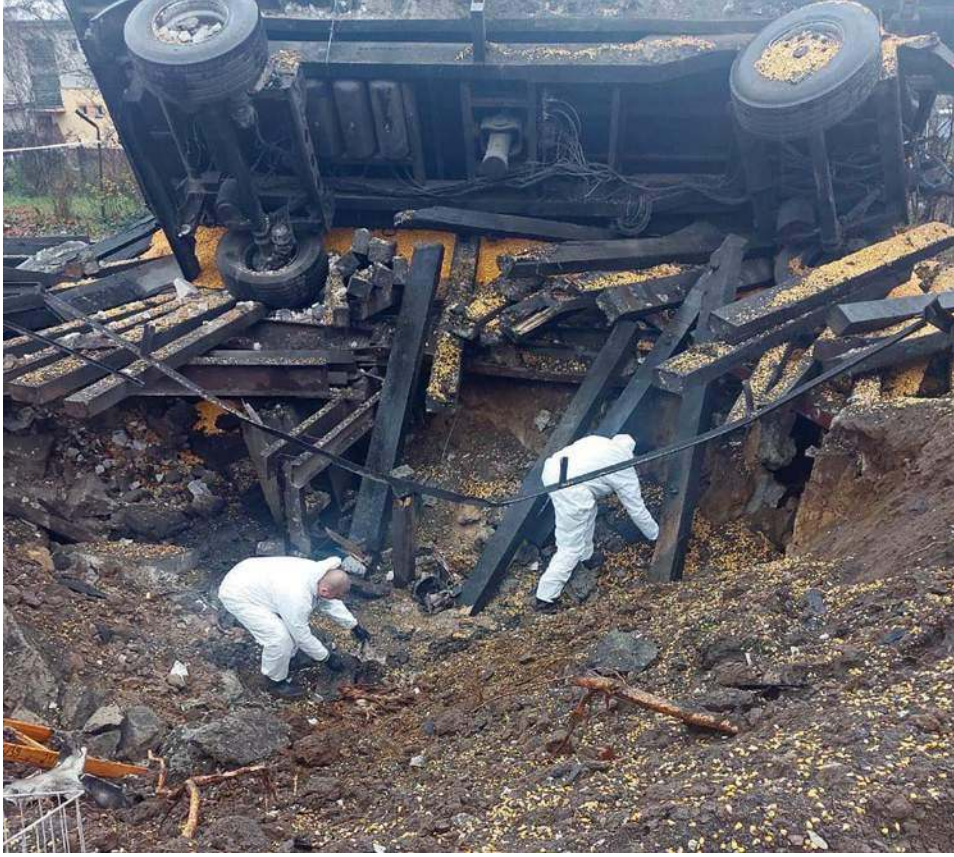
Fot. Polska Policja / Twitter

Jak zatem odpowiedzieć na to, co się stało? Strona ukraińska apeluje o dostawy sprzętu mogącego umocnić obronę przeciwlotniczą kraju. Wypowiadający się w mediach eksperci wojskowi są wręcz zdania, że dzięki kilkumiesięcznemu doświadczeniu – z punktu widzenia kompetencji i wyszkolenia – siły zbrojne Ukrainy dysponują obecnie lepszym od NATO-wskiego personelem obrony przeciwlotniczej. Minister Daniłow otwarcie mówi, że Ukraina strzeże wschodniej flanki NATO i dlatego powinna zostać zaopatrzona w odpowiedni do tego sprzęt. W trakcie spotkania w formacie Ramstein, które miało miejsce dzień po incydencie w Przewodowie, zdecydowano o nowych dostawach, ale minister Kułeba wprost apeluje o to, by Ukrainie udostępnić myśliwce F-16 i F-15. Na to jest jeszcze zapewne zbyt wcześnie, ale Rosja musi otrzymać czytelny sygnał, że powtarzające się incydenty, ataki na cele położone przy polskiej granicy, doprowadzą do takiego skutku. Rację ma bowiem kanclerz Scholz, który powiedział, że niezależnie od tego, co się stało, czy w Polsce upadła rakieta wystrzelona przez Rosjan, czy broniących się Ukraińców, to całą winę w sposób jednoznaczny należy przypisać Moskwie. Trzeba zatem odpowiedzieć na to, co się stało w Przewodowie. Najlepiej zwiększając potencjał Ukrainy i jej zdolności do niszczenia celów powietrznych.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Ukraiński fatalny wtorek

Po 15 listopada Ukraina jest słabsza, niż była poprzednio. Prezydent Zełenski musi dotkliwie odczuwać, jak zaciska mu się na szyi negocjacyjna pętla, której efekt może być tylko jeden – częściowy rozbiór lewobrzeżnej Ukrainy

JAN ROKITA

Fot. Ukrainian president press

Wtorek 15 listopada był dniem zaiste fatalnym dla prezydenta Zełenskiego. Najpierw na Ukrainę uderzyły dziesiątki wrogich rakiet i bomb, po raz pierwszy doprowadzając system energetyczny całego kraju do granicy katastrofy. Był to ponoć najsilniejszy jednorazowy ostrzał całego państwa, jaki Moskwa przeprowadziła od początku wojny. Na razie jeszcze pogoda – Bogu dzięki – jako tako sprzyja Zełenskiemu, ale na drugą połowę grudnia wszystkie długoterminowe prognozy spodziewają się siarczystych mrozów zarówno w Kijowie, Charkowie, jak i we Lwowie. Niewykluczone, że na Kremlu zakładają, iż jeśli za niedługi czas przeprowadzić jeszcze jeden nalot tej skali na ukraińską energetykę, to jeszcze przed początkiem siarczystych mrozów Zełenski siądzie do bezpośrednich negocjacji z Moskalami. Zwłaszcza jeśli przycisną go trochę mocniej w tę stronę Amerykanie. Nacisk ze strony ekipy Bidena i druzgocący ostrzał ukraińskiej energetyki mają popychać opornego Zełenskiego w tym samym kierunku: by porzucił mrzonki o dymisji Putina i odejściu armii rosyjskiej z Ukrainy

eprasa.pl 1fa3695ca6

jako warunkach wstępnych przystąpienia do rozmów z Moskalami na temat rozejmu.

OCZEKIWANIA I ROZCZAROWANIE

A we wtorek po południu jakaś rakieta (rakiety?) spadła w Polsce koło Hrubieszowa, zabijając dwóch ludzi pracujących przy suszeniu ziarna. Zełenski pospieszył z emocjonalnymi słowami współczucia dla nas, Polaków, dodając, iż zawsze wiedział, że „Polska będzie następna". A przy okazji wezwał do natychmiastowego zwołania szczytu NATO w formule online, na którym zostałby omówiony sposób ukarania Rosji za tę akcję oraz zablokowania dalszych rosyjskich nalotów przez nałożenie na niebo nad całą Ukrainą sojuszniczej „no-fly zone".

Zełenski powtórzył te dwa żądania następnego dnia, gdyż między wtorkiem a środą odzew na nie na Zachodzie był zgoła żaden. Odezwał się, chyba jako jedyny, rzecznik rządu Niemiec, który odrzucił oczekiwania Ukrainy, dodając przy okazji, że owszem, Berlin zaproponuje Polsce natychmiastowe wzmocnienie polskiej obrony powietrznej. Nawiasem mówiąc, to już druga taka oferta składana naszemu krajowi przez rząd niemiecki – pierwsza pojawiła się w głośnej, sierpniowej mowie kanclerza Scholza na praskim Uniwersytecie Karola i została przez Polskę (niezbyt roztropnie) zignorowana.

We wtorkowe popołudnie odezwał się jeszcze szef ukraińskiej dyplomacji Kuleba, wyrażając oczekiwanie, że teraz, po ataku na Polskę, NATO nie ma już chyba wątpliwości, że trzeba niezwłocznie udostępnić Ukrainie nowoczesne samoloty bojowe.

Nie ma dwóch zdań, że w ten koszmarny wtorek wybuch rakiety na terytorium Polski musiał się wydać Zełenskiemu istnym darem z nieba. Jeśli byłaby to rakieta wystrzelona przez Moskali, to bez względu na to, czy leciałaby po swojej celowej trajektorii, czy też zboczyłaby do Polski tylko na skutek błędu albo awarii, sam fakt rosyjskiego ataku na terytorium Polski dałby Zełenskiemu szansę na chwilowe uwolnienie się od coraz silniejszej presji na negocjacje z Putinem. Skoro wojna prowadzona przez władcę z Kremla stwarza tak widome zagrożenie dla ludzi w krajach NATO, to i Biden winien pojąć, że Ameryka musi dać silniejszy niż dotąd odpór Rosji, a nie nakłaniać Ukraińców do zawarcia rozejmu.

„No-fly zone" i dostawa bojowych samolotów – to były oczekiwania zgłoszone przez Zełenskiego jeszcze wiosną, na samym początku wojny, i już wtedy kategorycznie przez Bidena odrzucone, mimo że w Ameryce poważni ludzie (np. były ambasador w Polsce Daniel Fried) pisali do Białego Domu petycje z poparciem dla tych ukraińskich postulatów. Atak na terytorium Polski miał stać się tym rozstrzygającym argumentem i może ostatnią nadzieją na to, że uda się skłonić Amerykę (może wespół z zagrożonymi teraz Polakami) do zmiany dotychczasowej strategii politycznej. I takiego zaangażowania wojennego, które by na serio dało Ukrainie nadzieję na rozbicie Moskali i wypchnięcie okupanta ze swojej ojczyzny.

Nie wiemy, kiedy dokładnie Zełenski uprzytomnił sobie, że jego nadzieje są płonne, a sam wpadł w pułapkę. Ale musiało to nastąpić jeszcze we wtorkowy wieczór, najpóźniej w rozczarowujących rozmowach z prezydentem Dudą. Musiał wtedy pojąć, że Waszyngton za chwilę wystąpi z wersją o zabłąkanej nad Polskę rakiecie... ukraińskiej, a Warszawa, czy to pod wpływem danych z amerykańskiego samolotu szpiegowskiego, czy też pod naciskiem politycznym Bidena, przyjmie i publicznie potwierdzi wersję amerykańską. To wszystko faktycznie wydarzy się następnego dnia, w środowe przedpołudnie. Prawdę mówiąc, to – czy to rosyjska, czy ukraińska rakieta zabłąkała się w sposób niezamierzony na terytorium Polski – samo w sobie jako akt przypadku nie miałoby aż tak wielkiego znaczenia. Rzecz jed-

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Ubezpieczenie na Życie
SALTUS – Moje ŻYCIE

Chroń życie Swoje i Swojej rodziny.

Oferta dostępna dla Członków Spółdzielczych Kas

NOWOŚĆ

saltus.pl

Na szczęście są Ubezpieczenia!

eprasa.pl 1fa3695ca6

nak w tym, że we wtorek Zełenski uchwycił się tej wersji o rosyjskiej rakiecie, jakby ona teraz miała być jakąś jego nową polityczną wunderwaffe.

W środę został sam, z Bidenem i Dudą otwarcie zaprzeczającymi jego wersji zdarzeń, wydany na łup rechocącej z radości, plugawej moskiewskiej propagandy. Ów ponury dzień chciał mu chyba trochę osłodzić premier Morawiecki, mówiąc w polskim Sejmie, iż on sam nie jest wcale pewien, czy nie była to jednak jakaś moskiewska prowokacja.

PRESJA NA ROZEJM

Jak było z tą rakietą (rakietami?) naprawdę, może za jakiś czas się dowiemy. Niewątpliwie wersja amerykańska, wedle której rozpoznana trajektoria rakiety ma wskazywać na wystrzelenie jej z terytorium Ukrainy, jest najbardziej prawdopodobna. Trzeba przyznać, że inaczej niż zwykle rosyjski komunikat na temat pokazanych w mediach resztek pocisku był szybki, jasny i przekonujący. Moskale podali dokładnie, co to za broń (jeszcze sowieckiej produkcji) i na czyim mogła być wyposażeniu. Ale co ważniejsze, od dobrych dwóch tygodni polityczna sytuacja wokół wojny jest taka, iż Moskale mają powody, by bardzo uważać, żeby nie zdarzyła się jakaś prowokacja mogąca skłonić Amerykę do antyrosyjskiego zwrotu.

Bowiem mimo kolejnych porażek na froncie i decydującego dla losów Ukrainy odstąpienia z prawego brzegu Dniepru, wojenna polityka zaczęła się układać Putinowi dużo lepiej. Sam Biden nie krył, że po tym, jak Ukraińcy odzyskali Chersoń, powinni być bardziej skłonni do zawarcia rozejmu, akceptującego (przynajmniej w sposób dorozumiały) częściowy rozbiór kraju. Po raz pierwszy ekipa Bidena podjęła niesłychanie intensywne konsultacje z Rosjanami, zarówno między prezydenckimi doradcami ds. bezpieczeństwa (Sullivan–Patruszew), jak i szefami służb wywiadowczych (Burns–Naryszkin). Co prawda Biały Dom dementował pogłoski, jakoby ci dwaj ostatni negocjowali warunki zakończenia wojny, ale przecież wiadomo, że nie o żadne zakończenie wojny szło na spotkaniu szefów CIA i SWR w Ankarze, ale co najwyżej o doprowadzenie do tego, by Putin z Zełenskim zaczęli rozmawiać o tym, jak wojnę można by w ogóle zakończyć.

W chwili gdy piszę ten tekst, Zełenski idzie w zaparte przeciw amerykańskiej wersji zdarzeń w Przewodowie. I powołuje się na wiarogodność raportów swoich dowódców wojskowych, którzy mają być pewni, iż jedyna ukraińska przeciwrakieta, którą Ukraińcy we wtorek po południu wystrzelili w okolicach Hrubieszowa, trafiła w swój cel nad terytorium Ukrainy. Nie było więc żadnego innego zbłąkanego ukraińskiego pocisku.

> Sam Biden nie krył, że po tym, jak Ukraińcy odzyskali Chersoń, powinni być bardziej skłonni do zawarcia rozejmu, akceptującego częściowy rozbiór kraju

Zełenski domaga się też, by Ukraińcy dostali amerykańskie dane z rozpoznania lotu pocisku, a także mogli sami zbadać miejsce wybuchu w Polsce. Jeśli amerykańskie dane są faktycznie w pełni przekonujące, to nie ma powodu, by Zełenskiemu nie zaofiarować tej ścieżki wyjścia z twarzą i zmiany poglądu po wnikliwym zbadaniu sprawy. Ale jeśli nie są, tylko Biden po prostu nie chciał teraz za żadną cenę mieć na głowie „rosyjskiego ataku na Polskę", to postulaty Ukrainy zapewne zostaną odrzucone.

W całej sprawie nie do końca jasna jest rola Polski. We wtorek rzecznik polskiego rządu ze szczególnym naciskiem mówił, iż w napiętej sytuacji konieczna jest wyjątkowa precyzja i jednoznaczność wszelkich oświadczeń. Następnego dnia zaś mieliśmy daleko idącą rozbieżność między zdecydowanie proamerykańskim oświadczeniem Dudy a sejmową mową Morawieckiego, pozostawiającą celowo niepewność co do faktów.

WOJNA DO PEŁNEGO WYZWOLENIA KRAJU?

Ogólnie po tym fatalnym wtorku Ukraina jest słabsza, niż była poprzednio. Wersja zdarzeń Zełenskiego jest odrzucana przez Zachód, a nawet przez Polskę jako fałszywa. Jego polityczne postulaty: szczyt NATO, „no-fly zone", samoloty – są ostentacyjnie ignorowane. Prezydent Ukrainy musi dotkliwie odczuwać, jak zaciska mu się na szyi negocjacyjna pętla, której efekt może być tylko jeden – częściowy rozbiór lewobrzeżnej Ukrainy. Zapewne sam sobie zadaje pytanie, ile jeszcze zimowych ataków na ukraińską energetykę o skali porównywalnej z ubiegłym wtorkiem jego rodacy będą w stanie przetrwać. I musi czuć na plecach oddech coraz bardziej poirytowanego na niego Bidena, który ewidentnie dąży ostatnio do zakończenia wojny. Być może nie natychmiast i nie za każdą cenę, ale w stosunkowo nieodległej perspektywie i nawet za dość wysoką cenę, oczywiście dla Ukrainy. Deklaracja Zełenskiego, iż skoro sojusznicy tak napierają na negocjacje, to niech negocjacje z Putinem będą toczone publicznie, sprawia wrażenie żartu albo swoistego aktu rozpaczy, wskazującego na brak w Kijowie jasnej strategii postępowania w nowej, bardzo trudnej, choć przecież po odbiciu prawobrzeżnej Ukrainy wcale nie beznadziejnej sytuacji.

Pozostaje pytanie, na ile Zełenski na serio mentalnie zaklinował się na wizji wojny aż do pełnego wyzwolenia kraju, co może go czynić coraz bardziej bezradnym wobec presji Moskwy i Waszyngtonu. Na ile zaś zachował trzeźwą zdolność twardego stawiania politycznych warunków. Takich, które nawet okrojonej Ukrainie byłyby w stanie zapewnić na przyszłość bezpieczeństwo, polityczną potęgę na miarę europejską i odbudowę obecnej ekonomicznej ruiny. Przyjęcie do NATO i dostęp do europejskiego rynku wysuwają się na czoło takich warunków.

14/0622/F

eprasa.pl 1fa3695ca6

Nie sondaże głosują, ale wyborcy

Do zwycięstwa potrzeba świeżej wizji, jak chcemy rządzić przez kolejne cztery lata. Wyborcy nie dadzą nam kolejnej kadencji za największe nawet zasługi z przeszłości, konieczna jest przekonująca, atrakcyjna oferta na przyszłość

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Adamem Bielanem, posłem do Parlamentu Europejskiego, prezesem Partii Republikańskiej, która współtworzy Zjednoczoną Prawicę

Media opozycyjne głoszą, że nigdy opozycja nie była bliżej władzy, że jest ona dla niej na wyciągnięcie ręki. Czy to propagandowe trąby, czy ta diagnoza jest w pana ocenie prawdziwa?

Adam Bielan: To jest rzeczywiście najtrudniejszy dla Zjednoczonej Prawicy moment od 2015 r., od przejęcia władzy. Obecnie sondaże rzeczywiście pokazują, że Zjednoczona Prawica nie miałaby samodzielnej większości. Nasz obóz boryka się z naturalnym zmęczeniem niektórych ludzi. Wielu z nich od siedmiu już lat jest na pierwszej linii, mierząc się od trzech z przychodzącymi z zewnątrz poważnymi kryzysami: pandemią, wojną na Ukrainie, spowolnieniem gospodarczym na świecie. Żaden rząd nie miał tak trudno, każda z tych spraw mogłaby odebrać władzę, w wielu krajach tak się stało, a tu mamy ich kumulację. Na tym tle nieponoszący żadnej odpowiedzialności Donald Tusk, który zdominował jednoznacznie i Platformę, i całą scenę opozycyjną, stara się stworzyć wrażenie, że idzie po władzę.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Tylko wrażenie?

To fakt, że jesteśmy na poważnym zakręcie. Nie jest prawdą, że jest pewne, iż z niego nie wyjdziemy. Do wyborów jest rok, to w polityce ogromnie długi czas, dużo się jeszcze zmieni. Ale co dzisiaj najważniejsze: Polacy nie podjęli decyzji, że chcą przekazać władzę opozycji. I na to się nie zanosi, opozycja – zwłaszcza Tusk – dochodzi do własnych granic.

W jakim sensie?

Ten polityk ma pewne cechy charakteru, które pozwoliły mu dość szybko wyprowadzić Platformę z potężnego kryzysu. Był moment, że groził jej rozpad, rozdrapanie przez inne formacje, zniknięcie ze sceny. Duże doświadczenie polityczne Tuska plus jego brutalność zapobiegły temu. Paradoks polega jednak na tym, że w dłuższej perspektywie te same czynniki działają i jeszcze mocniej zadziałają przeciw opozycji. Gdyby liderem opozycji, potencjalnym kandydatem na premiera był ktoś inny, bardziej miękki, o mniejszym elektoracie negatywnym, byłby dla nas trudniejszym przeciwnikiem. Z dwóch powodów: nie mobilizowałby tak bardzo milionów Polaków, którzy jego rządy pamiętają bardzo źle, i miałby większe możliwości pozyskania wyborców poza twardym zasobem PO.

Opozycja pozostanie tak podzielona, jak jest?

Wszystko na to wskazuje. Jest podzielona znacznie bardziej niż przed 2007 i 2011 r., gdy mogła tworzyć rządy dwupartyjne. Dziś, gdyby nawet zdobyła większość, będą to koalicje słabe, skłócone, skazane na ciągłe konflikty. Tusk nie ma szans na zdobycie pozycji, którą miał wtedy. To oznaczałoby niestabilność, którą niektórzy pamiętają z lat 90. Co jeszcze ważniejsze, Tusk jako premier natychmiast rozpocząłby straszliwą polityczną wojnę domową nie tylko z naszym obozem, ale i z prezydentem Andrzejem Dudą. W czasie tak trudnym byłaby to dla Polski katastrofa, tragedia. W najbliższych wyborach Polacy będą musieli sobie odpowiedzieć także na pytanie, czy tego chcą.

A obóz rządzący nie jest skłócony w stopniu osłabiającym skuteczność?

Nie, to nieprawdziwy obraz. Poziom sporów i konfliktów jest normalny jak na tak ogromne i różnorodne środowisko. Denerwują mnie zwłaszcza wszelkie porównania do AWS, bo ja pamiętam tamten czas i panowie też pamiętacie. Dziś mamy jednoznaczne przywództwo prezesa Jarosława Kaczyńskiego i determinację, by nie zaprzepaścić kłótniami szans, które stoją przed Polską.

Znaczne różnice w poglądach między np. premierem Mateuszem Morawickim a ministrem Zbigniewem Ziobro są jednak faktem.

Zgoda, ale ważne, by ta naturalna dyskusja o tym, jaką prowadzić politykę w kluczowych sprawach, nie przeradzała się w zapiekły, wymykający się spod kontroli spór polityczny. Zdarzało się w ostatnich miesiącach, ale mówię to, nie odnosząc się do żadnych nazwisk, że zbliżaliśmy się do takiego niebezpiecznego momentu. Prezes Jarosław Kaczyński umiał jednak szybko przywołać takich polityków do porządku. Część tego, co media przedstawiają jako kłótnie, to realne spory polityczne, to dyskusje

eprasa.pl 1fa3695ca6

o ważnych sprawach, jak relacje z Unią Europejską, tempo i zakres reform wewnętrznych. Co do strategii jest zgoda, różnice dotyczą taktyki. One są nie do uniknięcia, gdy buduje się obóz na ponad 40 proc. głosów. To w najnowszej historii politycznej ewenement i wielki sukces.

Wielki namiot – jak mówił Ronald Reagan.

Tak, ale to ma swoje konsekwencje. Mieszczą się pod nim przecież politycy odwołujący się do tradycji chadeckiej, narodowej, konserwatywno-liberalnej, związkowej.

Jarosław Gowin też długo się w nim mieścił, ale potem uznał, że już się nie mieści. Patrząc z perspektywy czasu, lepiej rozumie pan dziś, dlaczego zdecydował się przejść na stronę opozycji?

Był czas, gdy ostro polemizowaliśmy. Ale teraz, ze względu na znane problemy zdrowotne pana Gowina, niechętnie o nim mówię. Ogólnie można powiedzieć, że nie potrafił docenić tego, co miał. Był jednym z liderów obozu rządzącego Polską, wicepremierem, z odpowiedzialnością za cztery ważne działy administracji. Uznał jednak, że chce jeszcze więcej – premierostwa, może stanowiska marszałka Sejmu. Dlatego wszedł w grę z opozycją, grę na obalenie rządu. Dziwi mnie tylko, że założył, iż ludzie tacy jak ja, całe życie po stronie patriotycznej, teraz tam z nim pójdą. Nie mogliśmy tego zrobić i stąd teraz ten nurt polityczny reprezentuje w ramach Zjednoczonej Prawicy nasza Partia Republikańska.

Dlaczego opozycja zaczęła tę grę z Gowinem? Dziś nikt go już tam nie chce?

On był atrakcyjny jako element, który pozwalał na zmianę rządu jeszcze przed wyborami. O tym publicznie mówił kilka razy Michał Kamiński. Podkreślał, że z punktu widzenia opozycji wybory muszą się odbywać w sytuacji, gdy Zjednoczona Prawica nie rządzi, gdy funkcjonuje jakiś gabinet techniczny. Po to potrzebowali Gowina i realizację tego planu zaczęto wiosną 2020 r.

Gowin zakładał też chyba, że dwie kadencje Zjednoczonej Prawicy to maksimum możliwości tego obozu. I to pytanie jest aktualne: czy jest jeszcze wola walki, chęć dalszej zmiany Polski, gotowość do poświęceń? Władza przecież jednych zużywa, innych usypia.

Mają panowie rację, że to jedno z najważniejszych pytań. I moja odpowiedź jest jasna: gdy spotykamy się z działaczami w terenie, to 95 proc. z tych tysięcy kobiet i mężczyzn zaangażowanych w Zjednoczoną Prawicę jest gotowych do ciężkiej pracy i twardej walki na rzecz kolejnego zwycięstwa. Kilka procent jest jednak zmęczonych, wypalonych. Zadaniem przywódców jest, żeby – jak robi trener drużyny sportowej – posadzili ich na chwilę na ławce rezerwowych, a wprowadzili na boisko zawodników głodnych sukcesu, ze świeżymi siłami i pomysłami. Musimy stawiać na polityków, którzy przez najbliższe 12 miesięcy są w stanie dać z siebie wszystko.

> Tusk jako premier natychmiast rozpocząłby straszliwą polityczną wojnę domową nie tylko z naszym obozem, ale i z prezydentem Andrzejem Dudą. W czasie tak trudnym byłaby to dla Polski katastrofa, tragedia. W najbliższych wyborach Polacy będą musieli sobie odpowiedzieć także na pytanie, czy tego chcą

Spodziewa się pan w tym kontekście zmian w rządzie?

Zmiany są naturalne, nie chcę uruchamiać kolejnej fali plotek i tekstów o rekonstrukcji. Jest oczywiste, że przed wyborami nastąpi pewne odświeżenie personalne, a przede wszystkim programowe. Musimy dotrzeć do wyborców z podsumowaniem tego, co udało nam się zrobić przez osiem lat, musimy też prostować kłamstwa Tuska na temat naszych rządów. To konieczne, żeby wygrać, ale to nie wystarczy. Do zwycięstwa potrzeba świeżej wizji, jak chcemy rządzić przez kolejne cztery lata. Wyborcy nie dadzą nam kolejnej kadencji za największe nawet zasługi z przeszłości, konieczna jest przekonująca, atrakcyjna oferta na przyszłość.

Taki program powstaje?

Tak, takie prace się toczą, ale nic więcej powiedzieć nie mogę. W tym czasie mierzymy się też z dużymi kryzysami wywołanymi skutkami pandemii i rosyjskiej napaści na Ukrainę, to nie jest dobry moment na przedstawianie takich planów. Zrobimy to wiosną, zapewne łącząc z pewnymi roszadami personalnymi, z wprowadzeniem świeżych ludzi, którzy wniosą nową energię.

Kampania znowu będzie nie tylko walką z opozycją, ale i jej potężnymi mediami. Mówił o tym ostatnio prezes Jarosław Kaczyński: „Proszę otworzyć TVN i zobaczyć, co tam jest przekazywane. Tam w ogóle w Polsce jest jedno wielkie nieszczęście: władza jest jakąś szajką oszalałą, która rabuje kraj itd.". Pytanie, czy przez ostatnie siedem lat nie dało się wprowadzić jeszcze więcej pluralizmu? Sporo zmieniono, ale wciąż ogromną przewagę ma obóz III RP.

Na pewno można było zrobić więcej, sam kilka razy odczuwałem poczucie frustracji z powodu zmarnowanych szans. W każdym razie musimy wszyscy pamiętać o punkcie startu. Obóz patriotyczny rządzi już siedem lat, choć z powodów historycznych ma wielokrotnie mniejsze zasoby medialne, biznesowe, establishmentowe. To wielki sukces. A czy znowu w tej

eprasa.pl 1fa3695ca6

kampanii zetkniemy się z brutalną grą części mediów? Nie mam wątpliwości. Część mediów komercyjnych już weszła w tryb wyborczy, już maksymalnie nakręca antypisowskie emocje, prowadzi kampanie. Są programy publicystyczne, do których nie zaprasza się ludzi Zjednoczonej Prawicy.

Jak sobie z tym trybem wojennym poradzicie?

W gruncie rzeczy żadne wybory od 2015 r. nie odbywały się przy neutralności mediów wobec naszego obozu, a jednak umiemy wygrywać. Pod warunkiem, że dotrzemy bezpośrednio do Polaków z prawdą o tym, że żaden rząd nie mierzył się nigdy z tak potężnymi wyzwaniami i żaden nie zrobił dla Polaków tak dużo, nie był aż tak skuteczny. Dotrzymaliśmy słowa, zrealizowaliśmy nasz program. To ogromny kontrast z dwiema kadencjami Tuska, z jego bezradnością wobec kryzysów. On umywał ręce, my działamy, jesteśmy aktywni, dowozimy cele. Ostatni dowód: wygrana bitwa o węgiel.

Tusk przyłącza się do każdej złej emocji w Polsce, od inflacji po strach przed wojną. Jak do tego podejść?

Każdy, kto nie jest oderwany od życia, wie, że inflacja, wzrost cen są bardzo dolegliwym problemem dla polskich rodzin. Musimy z jednej strony nadal robić wszystko, by ją zmniejszyć, choć nie kosztem wzrostu bezrobocia. Z drugiej pokazywać jej przyczyny – szantaże gazowe Kremla i wieloletnią politykę Angeli Merkel, wspierającej Putina, ślepej na ostrzeżenia płynące z Polski. W tym dziele wspierał ją latami Donald Tusk, po niemiecku wysławiał jej zasługi. Takich błędów Tusk popełnił wiele: wspierał błędną politykę migracyjną Merkel, nie zrobił nic, by powstrzymać ataki swojego zaplecza na obrońców polskiej granicy, gdy Łukaszenka próbował przebić przez nią korytarz.

Dziś widać, że celem było sparaliżowanie naszej zdolności pomocy prawdziwym migrantom, tym z Ukrainy.

Tak, to było preludium do rosyjskiego ataku na Ukrainę. Tusk albo nie rozpoznał tego zagrożenia, albo się tym nie przejął, wybierając sojusz z wpływowymi środowiskami celebrytów. Wcześniej wybrał reset z Rosją, który zaczął tuż po objęciu władzy jesienią 2007 r. Wtedy mówił w exposé o współpracy z Rosją taką, jaka ona jest. Już wtedy była zbrodnicza. Dziś próbuje się tłumaczyć, że robił to pod presją prezydenta Baracka Obamy. Ale to nieprawda, Obama został prezydentem 13 miesięcy po objęciu stanowiska przez Tuska. Ten człowiek mylił się i szkodził we wszystkich najważniejszych dla Polaków sprawach. Zrezygnował choćby z tarczy antyrakietowej.

Teraz wrócił. Jak go pan odbiera?

Jest bardzo spięty. Wygląda, jakby musiał wrócić, jakby mu kazano. Jedno jest niezmienne: Tusk płynie z prądem, nie ma własnych poglądów, dostosowuje się do trendów. Prezes Kaczyński ma ambicję, by zmieniać rzeczywistość, kształtować pewne postawy.

Dopytam jeszcze raz: opozycja pójdzie razem czy osobno? Co lepsze dla was?

Jestem przekonany, że możemy wygrać w każdym układzie. Wygraliśmy z Koalicją Europejską. W trudnych dla nas wyborach europejskich zdobyliśmy największe poparcie w historii

REKLAMA

#Mazurek
symetrysta i bufon

#Szczuka
upadła gwiazda lewackich mediów

#Terlikowski
katooszołom

Trolle swoje...
...a my swoje!
Radio RMF24 – jedno studio, różne poglądy!

RADIO RMF 24
rmf24.pl/radio

48/1022/F

eprasa.pl 1fa3695ca6

– ponad 45 proc. Wygrywaliśmy z opozycją idącą oddzielnie. Osobiście uważam, że jednej listy opozycji nie będzie.

Dlaczego?

Zdecydują interesy partyjne. Np. dla projektu Szymona Hołowni start ze wspólnej listy oznacza zredukowanie stanu posiadania do kilku mandatów, jego kandydaci, szerzej nieznani, utoną po prostu w morzu popularnych nazwisk. Samodzielnie zaś ma możliwość zdobycia nawet kilkudziesięciu mandatów.

Jest pan zwolennikiem wyrazistej kampanii, zdecydowanie kreślącej różnice czy spokojniejszej, unikającej zwarcia? Premier Kaczyński przestrzegał ostatnio przed zbytnim radykalizmem.

Nie rozumiem tych słów prezesa jako wezwania do obłej kampanii, ona musi być wyrazista, muszą też być jasno nakreślone wybory, przed którymi stoją Polacy. A nadmiernego radykalizmu należy oczywiście unikać.

Media wyraźnie wzięły wypowiedzi prezesa w trakcie objazdu Polski na celownik, polują na coś, co mogą opisać jako kontrowersyjne. A może te wypowiedzi są kontrowersyjne?

Ostatnio włączyłem jedną ze stacji komercyjnych. Zaczęto atakiem na prezesa za jego wypowiedź o problemie alkoholizmu wśród młodych kobiet. Potępiono ją rytualnie, wszechstronnie, a potem zaproszono eksperta, który wszystko to, co powiedział Jarosław Kaczyński, powtórzył. I tyle zostaje z tych ataków: nakręcane medialnie emocje. Wiele tez, które głosił w latach 90. i później, o patologiach transformacji, konieczności dekomunizacji, konieczności walki z mafiami i przestępczością, z początku było odrzucanych, wyszydzanych, a z czasem zostało przyjętych i uznanych za oczywistości.

Sprawa alkoholizmu kobiet została tak rozdmuchana, bo opozycja i jej media wiedzą, że szczególnie zaciekła bitwa będzie się toczyła o głosy kobiet. Czy pana formacja ma jakiś pomysł, jak o nie zawalczyć?

Zdjęcia Andrzej Wiktor

Stratedzy budujący kampanie wyborcze wiedzą, że statystyczny mężczyzna jest dość stały w swoich wyborach politycznych. Kobiety polityką przeciętnie interesują się mniej – na kilka lub kilkanaście tygodni przed wyborami, częściej zmieniają swoje sympatie, włączają się w obserwację kampanii zwykle na trzy miesiące przed wyborami. A decyzję, na kogo głosować, opierają często na ocenie, kto i co zapewni lepszą przyszłość ich dzieciom, kto lepiej odpowie na potrzebę bezpieczeństwa. Zjednoczona Prawica ma w tych obszarach ogromne osiągnięcia, programy społeczne i prorodzinne, obniżenie drastycznie podwyższonego przez Tuska wieku emerytalnego. Plus – o czym mówimy w mojej ocenie za mało – budowę silnej armii, zwijanej celowo za PO-PSL. To ważny argument zwłaszcza w czasie, gdy przekonujemy się, że rosyjska okupacja oznacza mordy, gwałty, zniszczenia i katownie, wywózki i porwania dzieci. To powinien być jeden z głównych tematów kampanii.

Temat pieniędzy z KPO będzie się liczył?

Tak, bo w kryzysowym czasie powstaje przekonanie, że one by nam ulżyły w codziennym życiu. To nie jest do końca prawda, ale taka zbitka będzie w głowach wielu wyborców.

Dotrą przed wyborami?

Jest na to szansa. Jest też pewność, że dotrą po wyborach bez względu na to, kto wygra. Dłużej tym tematem Komisja Europejska nie będzie mogła grać.

Bo gra?

Tak, to oczywiste. Ale najgorsze, że tam są różne frakcje. Jedne z nami się porozumiały, inne to zerwały, to bardzo utrudnia negocjacje. Mimo wszystko próbujemy.

Z uwagą świat polskiej polityki obserwował częściowe wybory w Stanach Zjednoczonych. Czy można wyciągnąć z ich wyniku jakieś wnioski dla Polski?

Prostych analogii nie da się oczywiście budować. Ale na pewno zobaczyliśmy, że można wygrać wybory mimo dużej inflacji. Prosty populizm, którego próbowali tam republikanie, a u nas próbuje Tusk, może nie być skuteczny. Co ważne, nie sondaże głosują, ale wyborcy. Demokraci długo przegrywali w badaniach, nie poddali się jednak, walczyli do końca i to przyniosło im wygraną w Senacie, mniejsze, niż się spodziewali straty w Kongresie.

Jak na kampanię wyborczą będzie wpływała wojna?

To na pewno źródło niepokoju, obaw, także inflacji. Jednocześnie fundamentalna sprawa, w której mój obóz miał rację, przestrzegając przed Rosją, nawołując do budowy silnego państwa, wzmacniania armii. Co robili nasi przeciwnicy? Co mówili? Polacy pamiętają te różne postawy.

Będzie zatem ta trzecia kadencja?

Żyjemy w demokracji, na rok przed wyborami nikt nie może przesądzić, jaki będzie ich wynik. Głęboko wierzę, że wygramy. I powtarzam: aktywność tysięcy polskich patriotów w całej Polsce jest naszą największą rezerwą, musimy ją uruchomić.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Nowy standard w taksówkach Bolt

Zero tolerancji dla sprawców napaści to jedna z najważniejszych zasad, które pomagają tworzyć bezpieczne otoczenie wokół nas. W idealnym świecie umielibyśmy przewidzieć wykroczenia i je wyeliminować. Bolt to europejska aplikacja, której misją jest uczynienie mobilności miejskiej bardziej przystępną i bezpieczną. Dlatego spółka wciąż wprowadza zmiany, inwestując środki w utworzenie nowego standardu jakości i bezpieczeństwa w przewozach taksówkowych w Polsce. Ten standard to nie tylko brak tolerancji dla łamania prawa, ale i praca nad tym, by do naruszeń nie dopuścić

Po roku pracy nad systemami informatycznymi Bolt wdrożył weryfikację kierowców w czasie rzeczywistym przy wykorzystaniu sztucznej inteligencji. Kierowca wyrywkowo jest proszony o wykonanie zdjęcia, które przechodzi autoryzację systemu. W razie wątpliwości ostateczną decyzję podejmuje pracownik odpowiedniego zespołu. W przypadku potwierdzenia nieprawidłowości, konto kierowcy zostaje permanentnie zablokowane.

Ten system zostanie niedługo zaostrzony przez dodatkowe procedury weryfikacji każdego kierowcy chcącego współpracować z Boltem. Firma inwestuje 10 mln zł w utworzenie 12 Punktów Obsługi Kierowców w całej Polsce. Pierwszy z nich zostanie otwarty już na początku przyszłego roku w Warszawie. Kolejnych 11 powstanie w największych polskich miastach. W punktach obsługi kierowcy będą musieli przedstawić konieczne dokumenty, a specjalnie przeszkolony zespół Bolt będzie je szczegółowo weryfikował przed dodaniem do bazy platformy. Tutaj również następuje zaostrzenie wymogów: wśród dokumentów składanych do weryfikacji musi znaleźć się kopia identyfikatora kierowcy taksówki – tego samego, który należy umieścić w widocznym miejscu w aucie wykonującym przejazd z aplikacją Bolt. Pracownicy firmy będą również sprawdzać, czy partnerski kierowca przeszedł odpowiednie badania psychologiczne i medyczne.

Kolejną zmianą wynikającą z nowych standardów jest konieczność oznakowania samochodów, która będzie weryfikowana przez obowiązkowe dostarczenie zdjęcia pojazdu. Wszystkie pojazdy na platformie Bolt będą oznakowane jako taksówki, by zapewnić użytkownikom komfort i poczucie bezpieczeństwa.

Współpracujący z Bolt kierowcy oraz floty mają czas na dostarczenie dokumentów do końca br. Usługi na platformie będą mogli świadczyć tylko kierowcy, którzy zaakceptują nowe zasady działania. W ten sposób Bolt wyznacza nowy standard dla branży w Polsce.

– Rola lidera na rynku przewozu osób zobowiązuje. Bezpieczeństwo i komfort naszych użytkowniczek i użytkowników od zawsze były naszym priorytetem. Z uwagą dostosowaliśmy naszą codzienną pracę do wymogów centralnych i lokalnych administracji oraz dokonaliśmy znaczących inwestycji w obszarze bezpieczeństwa, regularnie wprowadzając nowe rozwiązania. Postanowiliśmy jednak pójść krok dalej, strategiczna inwestycja pozwoli nam wprowadzić prawdziwą zmianę – wyznaczyć nowy standard dla wszystkich firm z obszaru usług transportu taxi – mówił podczas specjalnie zwołanej konferencji prasowej na temat bezpieczeństwa Paweł Kuncicki, country manager Bolt w Polsce.

(AR)

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 31/1122/F

eprasa.pl 1fa3695ca6

Walka o kobiety to jedna z ważniejszych bitew, jakie Prawo i Sprawiedliwość stoczy w zbliżającej się kampanii wyborczej. Choć zwolenniczki lewicy są głośne i widoczne, wcale nie jest powiedziane, że PiS przegra tę bitwę

Czy PiS może wygrać walkę o kobiety?

DOROTA ŁOSIEWICZ

Elektorat kobiecy to na pewno niełatwy orzech do zgryzienia dla partii konserwatywnej. Choćby dlatego, że Polki w swoich preferencjach wyborczych mocno przesunęły się w lewą stronę. To mężczyźni są bardziej prawicowi. W 2020 r. odsetek młodych Polek, które deklarowały lewicowe sympatie, wzrósł ponaddwukrotnie w porównaniu z badaniami z poprzedniego roku. Z badania CBOS opublikowanego w ub.r. wynika, że w ciągu ostatnich pięciu lat odsetek młodych kobiet, które deklarują lewicowe poglądy, wzrósł z 9 do 40 proc. Wśród mężczyzn w wieku 18–24 takie sympatie deklaruje 22 proc. badanych. Jednak nawet kobiety o lewicowych poglądach potrafią zauważyć prokobiece rozwiązania wprowadzane przez prawicowy rząd.

CO RZĄD DAŁ KOBIETOM?

„Powiem coś, co zabrzmi szokująco. Rząd PiS przynajmniej na poziomie legislacyjnym przez ostatnie dwa lata zrobił więcej dla kobiet – ofiar przemocy w rodzinie niż Komisja Europejska. Pani komisarko, państwa bierność w tej sprawie to także łamanie praworządności – mówiła rok temu w Parlamencie Europejskim Sylwia Spurek, zwracając się do szefowej KE Ursuli von der Leyen. – Sama wielokrotnie z tego miejsca zdecydowanie krytykowałam rząd i potępiałam jego antydemokratyczne działania. Ale w 2020 r. ten rząd zmienił prawo. Wprowadził policyjny nakaz opuszczenia domu przez sprawcę przemocy. Umożliwił natychmiastową izolację sprawcy od ofiary. To konkret. A co zrobiła państwa komisja?” – pytała eurodeputowana o lewicowych poglądach.

„Dzięki ustawie antyprzemocowej uwolniliśmy od przemocy ponad 3,2 tys.

eprasa.pl 1fa3695ca6

rodzin (w rok!) i na tym nie koniec. Jako Ministerstwo Sprawiedliwości mamy już gotowe kolejne rozwiązania, które wzmocnią bezpieczeństwo ofiar przemocy" – pisał na Twitterze po tych słowach Sylwii Spurek wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski.

Znacznie wcześniej, bo już w 2018 r., rząd wypowiedział wojnę alimenciarzom, przyjmując projekt ustawy, której celem było usprawnienie ściągania długów alimentacyjnych. Z perspektywy kobiet, szczególnie matek, nie do przecenienia są programy społeczne, które uruchomił rząd Zjednoczonej Prawicy. Docenia je nawet opozycja. „400 tys. dzieci nie dojadało, a po wprowadzeniu tego programu ta liczba się zmniejszyła o 95 proc. Bronię tego" – mówił współprzewodniczący Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty o programie 500+ w programie Wirtualnej Polski „Kto nami rządzi".

W 2022 r. na działania związane ze wsparciem rodzin, a więc także ułatwiające życie kobietom, w ramach różnego rodzaju programów wydatki budżetu państwa zamkną się kwotą blisko 86 mld zł. Od uruchomienia programu 500+ w kwietniu 2016 r. na wsparcie wydano już 202,3 mld zł. Ten program poza charakterem socjalnym ma dla kobiet, które często finansowo zależą od mężczyzn, znaczenie emancypacyjne. Poza tym wreszcie doceniono wysiłek kobiet, który wkładają w wychowanie dzieci. Podobnie rzecz się ma w przypadku emerytury 4+. Od lutego 2019 r. o specjalną emeryturę mogą się starać kobiety, które urodziły i wychowały minimum czworo dzieci. Rząd wprowadził także rodzinny kapitał opiekuńczy, czyli dofinansowanie w kwocie nawet 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko w wieku od ukończenia 12. do 35. miesiąca życia. W 2022 r. z tej formy wsparcia skorzysta ok. 615 tys. dzieci, a kwota pomocy wyniesie ok. 3,1 mld zł. Na te dzieci, które nie są objęte rodzinnym kapitałem opiekuńczym, przysługuje dofinansowanie do pobytu w żłobku, klubie dziecięcym lub u dziennego opiekuna. W 2022 r. ze wsparcia ma skorzystać ok. 110 tys. dzieci. Maluch+ to wsparcie w tworzeniu nowych miejsc opieki nad dziećmi, tak by mamy mogły wrócić do pracy. Dobry Start to zaś dotacja na zakup szkolnej wyprawki. Są jeszcze bezpłatne leki dla kobiet w ciąży. Na liście leków refundowanych jest obecnie 397 specyfików, najczęściej stosowanych przez kobiety spodziewające się dziecka.

Eksperci wskazują jeszcze inne sukcesy rządu ważne z perspektywy kobiet. – Trzeba przyznać, że w różnych dziedzinach rządowi wyszło całkiem sporo. Polska jest np. na piątym miejscu wśród 27 krajów Unii Europejskiej, jeśli chodzi o równość wynagrodzeń kobiet i mężczyzn. Przeskoczyliśmy wiele krajów starej UE. Jeśli chodzi o odsetek kobiet w zarządach spółek giełdowych, to też jest on wyższy niż w wielu krajach Unii – wskazuje Marcin Rosołowski, ekspert ds. wizerunku. – Równouprawnienie i szanse zawodowe rosną. Udało się skutecznie ograniczyć śmieciówki, które dotyczyły przecież głównie kobiet. Taki obrazek: kobieta pracująca za 1 tys. zł na czarno w sklepie, która musi zajmować się dziećmi, uzależniona od pracodawcy, to się już skończyło – dodaje Rosołowski.

> Eksperci, z którymi rozmawiałam, są zgodni, że jeśli chodzi o programy socjalne, rząd zrobił już tyle, że trudno sobie wyobrazić kolejną spektakularną ofertę. Trzeba będzie więc szukać innych sposobów pozyskania kobiecego wyborcy

No i wreszcie, gdy politycy partii opozycyjnych zapowiadają równouprawnienie, np. w polityce, partia konserwatywna obsadza najwyższe stanowiska kobietami. Beata Szydło była premierem i szefową kampanii prezydenta Andrzeja Dudy. Szefem Kancelarii Prezydenta RP jest kobieta – Grażyna Ignaczak-Bandych. Druga osoba w państwie, czyli marszałek Sejmu Elżbieta Witek, pochodzi z nominacji PiS. Sztandarowy program rządu Zjednoczonej Prawicy Rodzina 500+ wprowadzała kobieta – Elżbieta Rafalska, dziś także kobieta – Marlena Maląg – tę pracę kontynuuje, a jeszcze inna kobieta – Barbara Socha – przygotowała strategię demograficzną dla Polski. Ministrem finansów była Teresa Czerwińska, a jest Magdalena Rzeczkowska. Szefową BGK jest kobieta – Beata Daszyńska-Muzyczka, z kolei ZUS kieruje Gertruda Uścińska, a ARiMR Halina Szymańska.

– PiS jest o tyle wiarygodne, że realizuje obietnice, zwłaszcza te socjalne, i ma się czym pochwalić. Konkurenci mają tylko wątłe obietnice, a partia rządząca ma konkretne osiągnięcia. Ale potrzebne jest nowe otwarcie – nie ma wątpliwości Marcin Rosołowski.

KOLEJNE TRANSFERY NIE CHWYCĄ

Eksperci, z którymi rozmawiałam, są zgodni, że jeśli chodzi o programy socjalne, rząd zrobił już tyle, że trudno sobie wyobrazić kolejną spektakularną ofertę. Trzeba będzie więc szukać innych sposobów pozyskania kobiecego wyborcy.

– Programy socjalne i wszelkie tego typu benefity na wyborców i obdarowanych działają dość krótko. Na początku jest zachwyt. Ludzie doceniają, ale potem się przyzwyczajają. Zaczynają się narzekania, że inflacja, dewaluacja itd. PiS musi więc znaleźć inny klucz i inne obszary, w których można pozyskać kobiecy elektorat – mówi Marcin Rosołowski. Dodaje, że przydałby się też nowy pomysł na komunikację, bo komunikowanie tego samego od lat już nie przynosi efektu i nie budzi emocji. – Trzeba znaleźć nowy język na pokazanie zmian, które się dokonały. Tak jak nie gra przypominanie rzeczy niewygodnych dla opozycji, tak samo nie zagra powtarzanie od lat tego samego przekazu – uważa ekspert ds. wizerunku.

– Do tej pory, jeśli chodzi o miejsce kobiety w programie PiS, dominowała matka, której pomagamy łączyć obowiązki zawodowe z życiem rodzinnym. I to jest bardzo ważne, wiele udało się zrobić. Trzeba jednak widzieć model społeczeństwa. Jest więcej par czy małżeństw, które nie chcą lub nie mogą mieć dzieci, jest coraz więcej kobiet, które stawiają na

Fot. Shopping King Louie / Shutterstock

eprasa.pl 1fa3695ca6

pierwszym miejscu karierę zawodową, a nie rodzinę, a już na pewno nie rodzinę wielodzietną, i również dla tych osób musi być oferta. Nie można stosować manichejskiego podziału na dobre kobiety, które opiekują się dziećmi, i te złe, które nie chcą ich mieć, nie chcą się wiązać. Do tych osób PiS musi znaleźć klucz i na pewno nie będzie nim socjal. Te kobiety dobrze radzą sobie zawodowo, finansowo, więc socjal, na który zresztą budżetu państwa już nie stać, nie będzie dla nich kuszący. Ważne, żeby wobec tych osób była jednolita linia, a o to dość trudno przy dzisiejszych podziałach w obozie władzy – uważa Rosołowski.

O konieczności przygotowania szerokiego paktu na rzecz kobiet mówiła mi jakiś czas temu w wywiadzie opublikowanym na łamach tygodnika „Sieci" była wicepremier Jadwiga Emilewicz. Ów pakt i oferta programowa powinny jej zdaniem dotyczyć kilku obszarów – pracy, zdrowia, kultury. „W obszarze prawa pracy powinniśmy jako rozwiązanie stałe wpisać pracę zdalną, która ułatwia kobietom łączenie ról, wcześniejszą aktywizację zawodową po urodzeniu dziecka. Kobiety w Polsce coraz częściej decydują się na własną działalność gospodarczą, ale i w tym obszarze mogłyby liczyć na programy wsparcia finansowego dla tych, które zakładają firmę po raz pierwszy. Wsparciem zatrudnienia młodych kobiet, na które dziś nie zawsze decydują się pracodawcy w obawie przed długoterminową nieobecnością spowodowaną urlopami okołoporodowymi, byłby podział odpowiedzialności między państwo a pracodawcę w obowiązkach ubezpieczeniowych. Sprawa, którą powinniśmy także przygotować, to wprowadzenie regulacji dotyczącej równości płac i uruchomienie Inspekcji Pracy do jej weryfikacji – wyliczała Emilewicz. – Przeciętna emerytura kobiety to ok. 2,1 tys. zł, u panów jest ona o blisko 30 proc. wyższa i wynosi 3,2 tys. zł. Dzieje się tak dlatego, że kobiety mają niższy staż pracy wynikający z opieki nad dziećmi. Powinniśmy zatem rozważyć wliczanie okresu zajmowania się rodziną do aktywności za-

> PiS nie może się ścigać z lewicą o wyborczynie, dla których ważne są kwestie światopoglądowe. Taki zwrot w przypadku partii konserwatywnej byłby sztuczny i nie przyniósłby nic dobrego – podkreśla Marcin Rosołowski, ekspert ds. wizerunku

REKLAMA

eprasa.pl 1fa3695ca6

wodowej, bo ta społecznie ważna rola powinna znaleźć odbicie w stażu emerytalnym. Kolejna sprawa to pakiet związany ze zdrowiem. I tu przede wszystkim profilaktyka onkologiczna. Pewne badania powinny zostać powiązane z medycyną pracy i być wpisane w cykl zatrudnienia, w pakiet obowiązkowych badań okresowych" – uważa była wicepremier.

„Znakiem rozpoznawczym prawicy powinno być dostrzeżenie różnorodności potrzeb, pragnień i aspiracji wśród kobiet. Odpowiedzią na wyzwania demograficzne nie może być wyłącznie postulat zwiększenia liczby żłobków. Żłobki są potrzebne, ale np. w Czechach wzrosła dzietność dzięki temu, że umożliwiono organizację opieki domowej kobietom, które tego chciały. Kobiety są różne i oferta do kobiet powinna być zróżnicowana. Elastyczność rynku pracy i różne formy wsparcia w wychowaniu to elementy tej oferty" – podkreślała Emilewicz.

Marcin Rosołowski zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt nadciągającej kampanii. – Nie ulega wątpliwości, że przyszłoroczna kampania będzie toczyła się w najtrudniejszych po 1989 r. warunkach. Tak więc chwalenie się, że jest dobrze i wszystko się udało, może nie zagrać i spowodować efekt odwrotny. Rząd musi przyznać, że jest trudna sytuacja i zaproponować realne, także dla kobiet, pomysły na wyjście z tej sytuacji. Na razie mamy rekordowo niskie bezrobocie, ale jeśli dojdzie do recesji, to pierwszymi ofiarami będą osoby niewykwalifikowane i kobiety. Trzeba o tym pamiętać, konstruując kampanijny przekaz – podkreśla ekspert ds. wizerunku.

CO Z TĄ ABORCJĄ?

Nie ulega wątpliwości, że opozycja i środowiska kobiece jednym z tematów kampanii uczynią wyrok Trybunału Konstytucyjnego i likwidację przesłanki eugenicznej jako tej umożliwiającej legalną aborcję. Jednak zdaniem moich rozmówców aborcja nie jest tematem kluczowym z punktu widzenia przeciętnej Polki.

– Kobiety w Polsce mają realne problemy, które należy definiować i dla których trzeba szukać rozwiązań. Bynajmniej nie jest nimi dostęp do aborcji na życzenie, bezpłatnej antykoncepcji czy in vitro. To zideologizowany przekaz, który nie dotyczy większości kobiet – nie ma wątpliwości Dorota Bojemska, szefowa Rady Rodziny działającej przy Ministerstwie Rodziny i Polityki Społecznej. – Prawdziwym problemem dla dzisiejszej kobiety jest łączenie aspiracji rodzicielskich z zawodowymi. Pogłębione badania pokazują, jak newralgicznym okresem jest organizacja codzienności w trzech pierwszych latach życia dziecka. Czy ten czas jest dla kobiety dobrym doświadczeniem? Czy wieczną szarpaniną i wyrzutami sumienia: „Czy jestem dobrą mamą i profesjonalną pracownicą"? Elastyczność to słowo klucz, jeśli chodzi o obszary ważne dla kobiet, takie jak praca. Kwestia możliwości pracy na część etatu oraz pracy zdalnej, a także opieka – wybór formy najlepszej z punktu widzenia rodzica. Znaczny procent kobiet preferuje opiekę własną, członka rodziny lub niani nad dzieckiem – chcą mieć wybór w tym względzie i taka idea stoi za rodzinnym kapitałem opiekuńczym.

> Prawdziwym problemem dla dzisiejszej kobiety jest łączenie aspiracji rodzicielskich z zawodowymi – mówi Dorota Bojemska, szefowa Rady Rodziny działającej przy Ministerstwie Rodziny i Polityki Społecznej

Zdaniem Doroty Bojemskiej kolejnym tematem istotnym dla kobiet jest szeroko pojęte zdrowie. W tym również opieka okołoporodowa. – Mamy opracowane (od 2016 r., czyli to także zasługa tego rządu) bardzo dobre standardy okołoporodowe. Ale należałoby wdrożyć odpowiednie narzędzia monitoringu.

– Tematem trochę wypieranym jest samotność kobiet w dużych miastach. Ich napływ do ośrodków wielkomiejskich jest znaczący, są tu oderwane od swoich bliskich. Często ich szanse na udany związek są stosunkowo niskie, ponieważ mamy znaczną nadreprezentację kobiet w tych ośrodkach. To rodzi lęki o przyszłość, stany depresyjne i pogłębia poczucie samotności – zauważa szefowa Rady Rodziny.

Marcin Rosołowski dodaje: – PiS nie może się ścigać z lewicą o wyborczynie, dla których ważne są kwestie światopoglądowe. Taki zwrot w przypadku partii konserwatywnej byłby sztuczny i nie przyniósłby nic dobrego. Zdecydowane wyborczynie PO czy Lewicy zostaną przy tych partiach, nawet gdyby Prawo i Sprawiedliwość przejęło ich hasła. Potrzeba czegoś nowego.

O tym, że kwestie ideologiczne nie będą tematem kampanii, zapewnia mnie polityk, która współtworzy strategię partii rządzącej na wybory, ale prosi, by nie ujawniać jej personaliów. – W kampanii pójdziemy w konkret – słyszę z jej ust. – Bez ideologii, bo kobiet o poglądach lewicowych nie da się pozyskać, trzeba powalczyć o tę milczącą większość. Nie będziemy patrzeć na problemy kobiet przez ich znaczenie i obecność w polityce. Zajmiemy się problemami życiowymi kobiet, jak programy społeczne, pomoc psychologiczna czy zwiększenie elastyczności pracy – słyszę. – I w taką stronę będą szły działania programowe. Nie będziemy na pewno działać w sposób reaktywny, nie będziemy próbowali przekonać do nas osób o poglądach lewicowych, bo tego nie da się zrobić. Spróbujemy dotrzeć do milczącej większości kobiet, które mają problemy życiowe, pokażemy je i damy odpowiedź. Milcząca większość jest ważna, a o niej się zapomina, bo nie budzi silnych emocji – zdradza mi przedstawicielka obozu władzy.

O tym, że tak jest, przekonałam się podczas tzw. Strajku Kobiet. Dostałam wówczas tysiące mejli od pań, które pisały, że protest odbywa się nie w ich imieniu, a nazwa jest myląca. Bez wątpienia nadciągająca kampania wyborcza będzie wielką grą na emocjach, także tych kobiecych, bo to z powodu emocji wyborcy mobilizują się, by pójść do urn.

4/1122/F

eprasa.pl 1fa3695ca6

Tusk jak Gomułka

Przyklejając do Jarosława Kaczyńskiego określenie „Żyd", Donald Tusk zachowuje się tak, jakby inspirowały go „Protokoły mędrców Syjonu"

STANISŁAW JANECKI

Gdy polityk definiujący siebie jako Europejczyka i zwolennika, a wręcz wyznawcę postępu oraz tolerancjonizmu jako zasady moralnej, a nie tylko praktycznego stanowiska, używa określenia „Żyd" wobec politycznego przeciwnika, to wchodzi na bardzo niebezpieczne, przede wszystkim dla siebie tory. Taki polityk nie powinien przecież nigdy używać określenia „Żyd" jako negatywnego i stygmatyzującego.

A jednak podczas spotkania z wyborcami, 10 listopada 2022 r. w Sępólnie Krajeńskim, Donald Tusk powiedział: „Jeśli my przywrócimy normalną rolę telewizji publicznej, nie, żeby mówili: »Tusk jest geniusz, a Kaczyński – Żyd«, tylko żeby była znowu normalna telewizja publiczna, ludzie o różnych poglądach, debata, zobaczycie, jak szybko istotna grupa dziś zaczadzonych propagandą wróci do rozumnego, spokojnego myślenia". Pomijając składniową i semantyczną niezborność wypowiedzi przewodniczącego Platformy Obywatelskiej, jego słowa nie tylko nie oznaczają powrotu do rozumnego, spokojnego myślenia, lecz są otwartym zaproszeniem do debat jeszcze bardziej zaczadzonych propagandą. I są argumentem jednoznacznie antysemickim, budzącym jak najgorsze skojarzenia, co m.in. stwierdził (14 listopada 2022 r. w Polskim Radiu 24) prof. Michał Kleiber, były prezes Polskiej Akademii Nauk. Kiedy antysemickiego argumentu używa polityk bardzo doświadczony, trudno mówić o wpadce wywołanej emocjami. Tusk przygotowuje się do swoich publicznych występów, ćwiczy argumenty i chwyty, więc nie sposób mówić o przypadku. Nie sposób też bagatelizować tego, że w jakimś celu robi oko do antysemitów, a nawet rasistów. Tusk, z wykształcenia historyk, nie może nie zdawać sobie sprawy z tego, jakie demony wskrzesza. Przecież mógł wymienić kogokolwiek, gdy chodzi o narodowość czy państwową przynależność, ale wybrał akurat Żyda.

Określenie „Żyd", mające negatywnie określać najważniejszego politycznego przeciwnika, nie pojawiało się w poważnej debacie w Polsce od czasu pierwszych wyborów prezydenckich, gdy taki argument wysuwano wobec Tadeusza Mazowieckiego. Nie pojawiło się też w Telewizji Polskiej, do której odnosił je w swojej projekcji Donald Tusk. W 1990 r. Donald Tusk był zapewne święcie oburzony „argumentem z Żyda", 33 lata później sam sięgnął po taki argument.

Czym jest wrzucenie nieistniejącej w 2022 r. kwestii żydowskiej do polskiej debaty publicznej? Czy są w tym jakieś analogie do Władysława Gomułki, I sekretarza KC PZPR, który w latach 1967–1968 (ale też wcześniejszych) pozwolił, by na dużą skalę używano „argumentu z Żyda"?

SZUKANIE OBCEGO

Władysław Gomułka otworzył w tamtych latach puszkę Pandory, gdyż dał przyzwolenie na „szukanie obcego". Zrobił to, bo uważał, że musi być politycznie skuteczny. Donald Tusk też chyba uznał, że jeśli do innych oskarżeń wobec Jarosława Kaczyńskiego doda insynuację, że jest Żydem, będzie skuteczny, uruchamiając najgorsze, antysemickie resentymenty.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Co ciekawe, Gomułka tak jak Tusk nie miał uprzedzeń rasowych (miał żonę żydowskiego pochodzenia), ale uważał, że jeśli odwoła się do resentymentu antysemickiego, uda mu się wygrać z frakcją w PZPR, w której dominowali komuniści żydowskiego pochodzenia. Jeśli ich rozliczy, sam na tym zyska. Gomułka, mimo iż komunista, już w 1948 r. uznał, że jeśli wpisze się w powszechną wtedy narrację, że krajem rządzą Ruscy i Żydzi, to mu się to opłaci. A nawet będzie to akceptowane w Moskwie, gdyż Stalin wspierał legendę, że komuniści są polską siłą, co miało skłonić Polaków, by nie traktowali ich jako przysłanych z Moskwy. Ta taktyka obróciła się zresztą przeciw samemu Gomułce, gdy na przełomie sierpnia i września 1948 r., z inicjatywy Bolesława Bieruta i Jakuba Bermana, na plenum PPR przyjęto uchwałę o odchyleniu prawicowym i nacjonalistycznym w kierownictwie partii.

Donald Tusk też zaczął od oskarżania PiS i jego lidera o prorosyjskość, a kiedy to nie zadziałało, skorzystał z argumentu antysemickiego. Tak jak Gomułka Tusk mógł założyć, że jeśli użyje antysemickiego schematu, roznieci wątpliwości o lojalność lidera PiS wobec Polski. Sam Tusk ma kłopoty z przekonaniem opinii publicznej, że jest bardziej lojalny wobec Polski niż wobec Niemiec, więc postanowił to zneutralizować ustawieniem swojego najważniejszego rywala w roli Żyda.

Tusk – chyba podobnie jak kiedyś Gomułka – założył, że użycie antysemickiego argumentu będzie szeroko komentowane i mimo iż obecnie absurdalne (przed laty odwoływało się do dość powszechnego przekonania, że Żydzi zajęli większość ważnych stanowisk w państwie), wywoła negatywne skojarzenia, mimo że sięga do bardzo niskich instynktów. Ale najwidoczniej cel uświęca środki. W latach 1967–1968 Gomułka uznał, że bycie komunistą i nawet Ruskim jest znacznie mniejszym problemem niż bycie Żydem. Tusk mógł uznać, że jego wizerunek jako reprezentanta niemieckich interesów może przykryć tylko zrobienie Żydem tego, kto może po raz trzeci wygrać wybory i doprowadzić przewodniczącego PO do klęski, a nawet zakończenia jego politycznej kariery.

Doraźny interes Gomułki sprawił, że wszystko wymknęło się spod kontroli i rozpoczęła się antyżydowska nagonka, ewoluująca w nagonkę antyinteligencką. Tusk może też zakładać, że jeśli przylepi Kaczyńskiemu łatę „Żyd", to może to przejść także na intelektualne zaplecze prezesa PiS. Skoro za Gomułki starano się żydowskich komunistów obciążyć całą odpowiedzialnością za zbrodnie okresu stalinowskiego, a także np. za afery gospodarcze, to Tusk mógł uznać, że ten schemat zadziała również obecnie, bo przecież on też oskarża PiS o kradzież i korupcję. I temu wszystkiemu miałby patronować „obcy".

> Kiedy antysemickiego argumentu używa polityk bardzo doświadczony, trudno mówić o wpadce wywołanej emocjami. Tusk przygotowuje się do swoich publicznych występów, ćwiczy argumenty i chwyty, więc nie sposób mówić o przypadku

PROTOKOŁY MĘDRCÓW SYJONU

Wprawdzie trudno się spodziewać, że Donald Tusk zdoła uzasadnić „wyprowadzanie" ważnych postaci obecnej władzy argumentem antysemickim, a nawet chyba nie będzie próbował, ale może się spodziewać, że część społeczeństwa uzna, iż tylko polityczna poprawność nie pozwala mu powiedzieć prawdy, lecz i tak „wszyscy wszystko wiedzą". Gomułka osiągnął to, że młodzi w partii komunistycznej parli do rozliczeń i przejmowania stanowisk po „starych żydowskich stalinistach". Tusk swoim antysemickim chwytem mógł liczyć na mobilizację po swojej stronie jakiejś grupy podobnie zmotywowanej, uważającej, że są bardzo utalentowani i wiele im się należy, tylko wszystko blokuje stary układ, i to wiadomo jakiego pochodzenia.

Za tym stałby oczywiście bezgraniczny cynizm samego Tuska, bo choć sam nie wierzyłby w to, co mówi, nie miałby żadnych oporów przed używaniem takiej obrzydliwej i niebezpiecznej strategii. W czasach schyłkowego Gomułki wszystko można było powiedzieć wprost, w czasach Tuska trzeba się uciekać do insynuacji. A przecież insynuacje to także projekcje – jak ta, że odzyskana telewizja nie przedstawia Tuska tylko jako geniusza, a Kaczyńskiego tylko jako Żyda. Ale „wicie, rozumicie" – za tym musi się kryć coś specjalnego, bo przecież Tusk i PO nie mogliby tak po prostu przegrać wyborów, i to kilka razy z rzędu. Musi się za tym coś kryć, a „argument z Żyda" pasuje do spiskowej teorii. Tak jak w różnych miejscach był odpowiedni przez dekady, a wręcz stulecia. Biorąc to pod uwagę, nasuwa się podejrzenie, że Donald Tusk zachowuje się tak, jakby inspirowały go „Protokoły mędrców Syjonu", choć przecież jako historyk musi wiedzieć, że było to dzieło rosyjskich tajnych służb, czyli ochrany, które miało celowo nakręcać społeczeństwo (nie tylko rosyjskie zresztą) i odwracać uwagę od realnych problemów.

Pozornie to, co zrobił Tusk, wydaje się samobójcze. Tym bardziej że argument antysemicki bardzo łatwo przechodzi w rasistowski. I o ile po Gomułce niczego specjalnego nie można było oczekiwać, o tyle po Tusku przynajmniej podporządkowania się kanonom politycznej poprawności. Ale nawet Gomułka początkowo bronił się przed rozpętaniem antysemickiej nagonki, chyba słusznie obawiając się fali, która zmiecie także jego. Jednak w trakcie antysemickiej kampanii Gomułka uległ złudzeniom, że to go umocni, pomoże wygrać walkę frakcyjną w partii i pozwoli dalej rządzić. Okazało się, że dwa lata później nadszedł jego koniec.

Donald Tusk też może się łudzić, że użycie desperackiego chwytu da mu władzę, a po jej zdobyciu jakoś wytłumaczy, że chodziło mu o coś wręcz przeciwnego, bo antysemityzmu, a tym bardziej rasizmu się brzydzi. Gdyby faktycznie tak myślał, wystąpiłby już teraz i przeprosił. Ale tego raczej trudno oczekiwać, bo Tusk z zasady nie przeprasza. I nie rezygnuje z okazji, żeby pognębić politycznego przeciwnika. Tyle że w 2022 r. antysemicki chwyt może go ostatecznie władzy pozbawić, jak stało się w 1970 r. z Gomułką.

Fot. Maciej Schulz / Shutterstock, NAC

eprasa.pl 1fa3695ca6

To, co niektórzy stale mi wypominają, jest moją siłą

O konieczności zbudowania multienergetycznego koncernu w Polsce, o cenach paliw i cenie, którą trzeba zapłacić za determinację w biznesie, o europejskiej i polskiej gospodarce w momencie kryzysowego przełomu z *Danielem Obajtkiem*, prezesem PKN Orlen, rozmawiają Jacek Karnowski i Maciej Wośko („Gazeta Bankowa")

Panie prezesie, to koniec walki o budowę multienergetycznego koncernu w Polsce? Energa, Lotos, PGNiG są już w Grupie Orlen. Co dalej?

Daniel Obajtek: Stworzyliśmy największą firmę w regionie, mocno osadzoną w polskiej gospodarce. Ten projekt był ogromnym wyzwaniem – zarówno pod kątem nakładu pracy, jak i napiętych harmonogramów. Tylko w przypadku połączenia z Lotosem mieliśmy ponad 30 kamieni milowych,

eprasa.pl 1fa3695ca6

Fot. Andrzej Wiktor

istotnych zadań w harmonogramie, które musieliśmy zrealizować. Większość z nich nie była atrakcyjna medialnie, a wymagała ciężkiej pracy setek zaangażowanych osób. Chodzi np. o pozyskanie zgód urzędów antymonopolowych, obszernej dokumentacji wymagającej przygotowania, do tego dochodziły uzgodnienia międzynarodowe i krajowe. Teraz największym wyzwaniem jest realizacja synergii wynikających z potencjału połączonych spółek. Zidentyfikowaliśmy ich wiele, ale szukamy kolejnych. Tak więc przed nami kolejne ważne zadania.

Ten podział kompetencji między spółkami w grupie już wywołuje sporo emocji. Kto zajmie się wodorem, kto OZE, a kto petrochemią...

Tak, jak zapowiadaliśmy, budujemy centra kompetencyjne. Lotos jest silny w obszarze produkcji olejów, więc to Gdańsk będzie specjalizować się w tym obszarze. Spółka kolejowa Lotosu będzie łączyć kompetencje transportu kolejowego w całej Grupie Orlen. Kompetencje związane z nowymi technologiami rafineryjnymi i petrochemicznymi będą skupione w zbudowanym niedawno Centrum Badawczo-Rozwojowym w Płocku. Z kolei projekty badawczo-rozwojowe w dziedzinie technologii energetycznych to znów Gdańsk i Energa. Naturalne jest też, że kompetencje dotyczące poszukiwań i wydobycia ropy i gazu skupimy wokół PGNiG.

A kiedy rebranding stacji Lotosu?

Te stacje, które pozostają w grupie Orlen, przejdą rebranding do końca stycznia przyszłego roku. Będą funkcjonowały pod marką Orlen.

To zewnętrzny, widoczny znak połączenia, o tyle zasadniczy, że w wielu przypadkach fuzje na tym się kończyły. Do wewnętrznej reorganizacji nigdy nie dochodziło.

Faktycznie, wiele spółek łączono i zmieniano szyldy, ale od wewnątrz ich nie optymalizowano. To nie było biznesowe podejście do procesu fuzji – tak próbowano ratować niewypłacalne albo słabe spółki, osłabiając w ten sposób kolejne firmy. Fuzje, które my przeprowadziliśmy, wynikały z potrzeby zbudowania silnego multienergetycznego koncernu i wykorzystania logiki związanych z tym synergii. Dlatego mamy plan, jak przebudować nasze firmy, i te działania systematycznie wdrażamy i będziemy dalej wdrażać.

Wielu nie wierzyło, że to się panu uda. Wielu próbowało, planowało przeprowadzić zwłaszcza połączenie Orlenu z Lotosem, ale do tej pory brakowało... no właśnie, czego? Determinacji? Lotos to jedno, ale PGNiG – no, tego już trochę za dużo jak dla wójta z Pcimia.

To, co niektórzy stale mi wypominają, jest moją siłą. Wypominano mi, że nie byłem z tej branży, że nie urodziłem się w Warszawie. W ten sposób mnie deprecjonowano i wszystkie mniejsze miejscowości w Polsce, jakby ci, którzy to mówili, urodzili się w garniturach, na prezesowskich i ministerialnych stanowiskach. Nie docenili mnie. Tymczasem to nie oni, ale właśnie ja i zespół Orlenu skutecznie przeprowadziliśmy transakcje kluczowe dla bezpieczeństwa energetycznego Polski. Nikomu wcześniej się to nie udało, bo przez lata ograniczeniem były różne układy, zależności, znajomości. Ten beton był nie do ruszenia, bo zaraz ktoś stukał do drzwi i protestował, że niszczone są jego interesy. Ja byłem poza tym, nie uczestniczyłem w działaniach paliwowej mafii, nie brałem udziału w dzikiej prywatyzacji. Powtórzę – to, co wykorzystywano przeciwko mnie, okazało się moją siłą.

Ale atak wciąż trwa...

...a ja skupiam się na zadaniach, które są do zrealizowania. Orlen pod moim kierownictwem inwestuje najwięcej w historii, zwiększa się stabilność dostaw energii nie tylko do Polski, ale też w Europie Środkowej. Tylko w pierwszym półroczu tego roku Grupa Orlen zrealizowała inwestycje na poziomie 6,3 mld zł. To skala inwestycji w rozwój firmy, ale i polskiej gospodarki, o której przed 2015 r. nie było mowy. Wtedy takie kwoty inwestowano w ciągu dwóch lat, a nie pół roku jak obecnie. Proszę porównać wyniki Orlenu w latach 2008–2015 z okresem 2015–2022. To prawie tak samo długie okresy. A my w efekcie przeprowadzonych fuzji doprowadziliśmy do tego, że polski Orlen pod względem przychodów plasuje się wśród 150 największych firm na świecie. Dzięki temu mamy lepszą pozycję do rozmów z dostawcami surowców oraz partnerami biznesowymi i technologicznymi. To wpływa na postrzeganie Grupy Orlen przez agencje ratingowe. Ostatnio Fitch i Moody's podwyższyły nasze ratingi do poziomu najwyższego w historii koncernu. Realizując zadania biznesowe pamiętamy również o działaniach, jakich od narodowego koncernu oczekują Polacy. Dzisiaj na sponsoring sportu, kultury i zadań społecznych wydajemy o 120 proc. więcej niż jeszcze w 2018 r. To są fakty, których moi oponenci nie mogą podważyć.

Oponenci, czyli kto?

Ci, którym nie jest na rękę, że Orlen się wzmacnia, że jest silną, liczącą się firmą

eprasa.pl 1fa3695ca6

w Europie. Ci, dla których problemem jest moja skuteczność i to, że decyzje i działania, które podejmuję, przynoszą Orlenowi i polskiej gospodarce wymierne korzyści. Połączyliśmy cztery spółki energetyczne, jesteśmy obecni w Polsce, Niemczech, Czechach, na Litwie, Słowacji, a wkrótce także na Węgrzech. Około połowa osiąganych przychodów pochodzi z rynków zagranicznych. To jest ważne i to pokazuje naszą siłę i zdolność do budowy konkurencyjnej pozycji na międzynarodowych rynkach.

Przypomnę tylko, że po 2016 r. rząd Prawa i Sprawiedliwości skutecznie wyeliminował mafie paliwowe. Dzięki wprowadzonym wtedy przez pana premiera Mateusza Morawieckiego i rząd przepisom zyski, które konsumowała szara strefa, dzisiaj są przeznaczane na inwestycje i dalszy rozwój naszej gospodarki. M.in. dzięki ograniczeniu szarej strefy w 2021 r. Orlen wpłacił do budżetu państwa z tytułu różnych podatków ponad 35 mld zł, podczas gdy w 2015 r., kiedy pakiet paliwowy jeszcze nie obowiązywał, było to ok. 10 mld zł mniej.

A detal?

Chcę wyraźnie podkreślić, że Orlen nie zarabia kroci na sprzedaży paliw w Polsce. Wręcz przeciwnie, tylko 8 proc. zysku operacyjnego koncernu pochodzi ze sprzedaży na stacjach Orlen w Polsce. A mówimy tu nie tylko o sprzedaży paliw, ale też produktów pozapaliwowych, czyli np. kawy i tak popularnych hot dogów. Zdecydowanie wyższe zyski osiągane są w innych segmentach naszej działalności – np. w energetyce i petrochemii, czyli przetwarzaniu ropy na tworzywa sztuczne wykorzystywane m.in. w branży spożywczej, odzieżowej czy medycznej, które są naszymi strategicznymi kierunkami rozwoju.

Zdaję sobie sprawę, że sytuacja polskich kierowców jest trudna, ale pamiętajmy, że ceny paliw w Polsce są niezmiennie jednymi z najniższych w Unii Europejskiej. Przy wsparciu rządu robimy wszystko, żeby zapewnić stabilne dostawy energii: paliwa, gazu i energii elektrycznej Polkom i Polakom. I to nam się udaje.

Dzisiaj wszyscy, a już politycy opozycji szczególnie, są ekspertami od rynku paliw. Ale dane mówią same za siebie. Od 2012 r. widzimy duże wzrosty czynników przekładających się na poziom cen paliw, np. pensja minimalna wzrosła o 100 proc., a kurs dolara zwiększył się o ponad 50 proc. W tym samym czasie cena litra popularnej 95 wzrosła tylko o 13 proc. I to mimo pandemii, kryzysu energetycznego, a następnie wojny na Ukrainie, które mają niebagatelny wpływ na całą Europę. Tymczasem w 2012 r. Polak mógł za najniższą krajową pensję kupić 263 litry paliwa, a dziś – 450 litrów. To prawie 200 litrów więcej! Dlatego jeszcze raz podkreślę – dzięki staraniom rządu i Orlenu mamy jedne z najtańszych paliw w Unii Europejskiej i – co najważniejsze –paliwo mamy dostępne, w przeciwieństwie np. do Węgrów czy Francuzów.

Zdaję sobie sprawę, że sytuacja polskich kierowców jest trudna, ale pamiętajmy, że ceny paliw w Polsce są niezmiennie jednymi z najniższych w UE. W 2012 r. Polak mógł za najniższą krajową pensję kupić 263 litry paliwa, a dziś – 450 litrów

To jak pan reaguje na pomysły o zakazie sprzedaży samochodów spalinowych w 2035 r.?

Wątpię, żeby to była realna perspektywa. Ale jako firma musimy być na taki scenariusz przygotowani. Są pewne tendencje, trendy, których nie zmienimy, bo Polska nie leży na dalekiej wyspie, lecz w sercu Europy.

Europa zazdrości nam Saudi Aramco?

Panowie redaktorzy, relacje w biznesie nie budują się same. To my mamy wpływ na to, jak wyglądają. A my nie budujemy tych relacji, by ktoś nam zazdrościł, tylko by dalej się rozwijać. Chcieliśmy zdywersyfikować dostawy ropy do Polski – i proszę spojrzeć – udało się. Jesteśmy największym odbiorcą saudyjskiej ropy w Europie. Uwiarygadnialiśmy tę współpracę przez ostatnie pięć lat. Zaczynaliśmy od małych wolumenów, gdy wszyscy namawiali nas na rosyjską ropę. I opozycja dzisiaj nie przyzna, że nie wykorzystała wszystkich możliwości, żeby zapewnić różne kierunki dostaw surowców. My z kolei jesteśmy w tym skuteczni, ale w życiu nie przyznają, że mieliśmy rację.

To jak już jesteśmy przy perspektywie w podejmowaniu decyzji kolejne pytanie. Ustawa o zasadach zarządzania mieniem państwowym miała dać prezesom spółek skarbu państwa perspektywę działania dłuższą niż kadencja?

To nie jest pytanie do mnie. Nie ja tworzę w Polsce prawo, ale jedynie mu podlegam, jak zresztą każdy obywatel. Nie zajmowałem się tym tematem, bo nie jestem legislatorem. Jednak chcę zwrócić uwagę, że w Orlenie udało się zrobić tak wiele m.in. dlatego, że od ponad pięciu lat strategia kierująca działaniami zarządów jest spójna i przemyślana. Ciągłość wizji rozwoju koncernu jest bardzo ważna. Tak funkcjonują też duże spółki w Europie czy na świecie – od strategii do realizacji. Dlatego nasi partnerzy cenią sobie współpracę z nami, bo jesteśmy firmą stabilnie zarządzaną. Wypracowane przez wiele lat relacje biznesowe mają duże znaczenie, gdy mówimy o zakupach, kontraktach, czyli finalnie o bezpieczeństwie energetycznym Polski.

Ale lider opozycji wychodzi na konferencję i mówi, że wszystkie stoliki powywraca, że wstrzyma

Autopromocja

eprasa.pl 1fa3695ca6

inwestycje, wyhamuje procesy gospodarcze, że będzie je kontrolował po swojemu, jeśli tylko wygra wybory.

Liderów opozycji jest kilku i każdy z nich twierdzi, że jest Europejczykiem, że szanuje wartości europejskie, że jest za wolnorynkową gospodarką. Ale za słowami nie idą czyny. To czysta polityka. Widać, że oni nie rozumieją – w przeciwieństwie do np. niemieckich czy francuskich polityków – na czym polega patriotyzm gospodarczy. Zachęcam do przyjrzenia się hiszpańskiemu Repsolowi, włoskiemu Eni czy norweskiemu Equinorowi. Niech się ścierają na swoje polityczne wizje, ale niech sprawdzą najpierw, jak robią to inni w Europie. W Polsce politycy opozycji promują się, fotografując ze sportowcami wspieranymi przez Orlen, by za chwilę namawiać Polaków do omijania stacji narodowego koncernu, który zasila budżet państwa prawie 40 mld zł. W innych europejskich krajach jest to nie do pomyślenia.

> Wypominano mi, że nie byłem z tej branży, że nie urodziłem się w Warszawie. W ten sposób mnie deprecjonowano. Tymczasem to nie oni, ale właśnie ja i zespół Orlenu przeprowadziliśmy transakcje kluczowe dla bezpieczeństwa energetycznego Polski

To wróćmy jeszcze do fuzji, bo warto wyjaśnić pewne stale powtarzane zaklęcie. Wciąż pojawiają się głosy, że to połączenie może być zagrożeniem dla polskiego kapitału, dla skarbu państwa, w końcu dla obywateli. Jak pan odpowiada na takie wątpliwości?

To kłamstwa. Po pierwsze, bezpośredni udział skarbu państwa w połączonym koncernie wzrósł do blisko 50 proc. To oznacza, że kontrola państwa nad Grupą Orlen została dodatkowo wzmocniona. Bo przed fuzją z Lotosem i PGNiG skarb państwa miał w Orlenie ok. 27,5 proc. Po drugie – takie multienergetyczne koncerny działają w całej Europie od 20 lat. Jak mieliśmy z nimi konkurować, jak myśleć o gospodarczych sojuszach, gdy skalą nie mogliśmy im wcześniej za wiele zaoferować. My, łącząc aktywa Orlenu, Energi, Lotosu i PGNiG, po prostu dogoniliśmy Europę. Więc gdzie tu widzimy zagrożenie? I dalej

– kwestia zabezpieczenia finansowego przed nagłymi zmianami cen na rynku. Kilka filarów działalności pozwala stabilizować budżet, kapitał obrotowy i ostatecznie wyniki spółek. Połączyliśmy wydobycie z przetwarzaniem surowców. Te dwa rodzaje działalności funkcjonują w przeciwnych cyklach, co pozwala nam stabilizować wyniki. Czy ktoś z krytyków fuzji zastanawiał się w ogóle, dlaczego fundusze, właściciele instytucjonalni zagłosowali za połączeniem? Akcjonariusze obecni na obu walnych zgromadzeniach Lotosu i PGNiG podjęli decyzję niemal jednogłośnie. Nasze działania zarówno w zakresie fuzji, jak i prowadzonych inwestycji doceniły największe na świecie agencje ratingowe, podnosząc w efekcie fuzji ocenę Orlenu do rekordowych poziomów. Nie zwalniamy tempa. Jesteśmy na najbardziej zaawansowanym etapie przygotowań do budowy morskiej farmy wiatrowej. Budujemy najnowocześniejszy port serwisowy i instalacyjny dla morskich farm wiatrowych. Przygotowujemy się do inwestycji w nowoczesną technologię jądrową. Inwestujemy w OZE, ale potrzebujemy źródeł bilansujących system energetyczny. Dziś to jeszcze jest gaz ziemny i jednostki tego typu są potrzebne, ale lokalne SMR-y będą docelowo doskonałym stabilizatorem systemu. Rozwijamy się, wzmacniamy, zapewniając Polsce bezpieczeństwo energetyczne.

Cena gazu ma już za sobą wzrosty?

Uważam, że potrzeba jeszcze 2–3 miesięcy, by cena się ustabilizowała. Wiele zależy jednak od wspólnej polityki Unii Europejskiej, ponieważ nie jest możliwe zamrożenie cen gazu czy energii w pojedynkę, co pokazał przykład Hiszpanii. Europa musi działać solidarnie. Tak samo jak w przypadku sankcji – Europa wygra, jeśli będzie zjednoczona.

Ale rozmowy dotyczące korytarza cenowego dla gazu trwają w Brukseli piąty tydzień.

Cieszę się, że trwają, to dobry znak. Teraz jednak czas na decyzje, bo przedłużanie tych rozmów będzie powodować straty dla całej gospodarki europejskiej. Doradzam zatem pośpiech i uniesienie się ponad lokalne i krajowe interesy.

Fot. Andrzej Wiktor

> Uważam, że potrzeba jeszcze 2–3 miesięcy, by cena gazu się ustabilizowała. Wiele zależy jednak od wspólnej polityki UE, ponieważ nie jest możliwe zamrożenie cen gazu czy energii w pojedynkę, co pokazał przykład Hiszpanii

Zostawmy korytarz cenowy w Brukseli i zajrzyjmy na korytarz radiowy w Warszawie. Niektóre media niezwykle pasjonują się pana działkami. Jest pan zaczepiany przez dziennikarzy na korytarzu w radiu, tuż po audycji, w której tłumaczy pan te transakcje. To trochę jak wielkie łowy, a – jak wiadomo – wobec zwierzyny łownej nie obowiązują reguły cywilizacji.

Niestety, nadal zdarza się, że nie obowiązują żadne reguły. Ani prawo do prywatności, ani prawo do spokojnej wypowiedzi, ani minimalne standardy dziennikarskie.

Na razie musi pan wyjaśniać, skąd ta działka przy elektrowni.

Nie dam się wciągnąć w tę dyskusję, bo ona ma jeden cel – zdeprecjonować mnie, odsunąć uwagę od skutecznych działań biznesowych, które realizujemy wraz z zespołem w Orlenie, a które służą też polskiej gospodarce i rozwojowi całego regionu. Zdaję sobie sprawę, że naraziłem się potężnym interesom, zmieniając wiele umów nieruszanych od czasów transformacji. Jestem przekonany, że kiedyś wyjdzie, kto inspirował te ataki. A jeśli chodzi o działki, o które panowie pytacie, to zapewniam, że te tereny zostały nabyte na zasadach rynkowych, w sposób transparentny i w pełni zgodny z przepisami prawa. Część to powiększenie terenu, który kupiłem sześć lat temu, jeszcze w 2017 r., kiedy obecna lokalizacja elektrowni nie była nawet brana pod uwagę. Te sprawy nie mają żadnego związku, a ich łączenie to zwykła próba manipulacji. Nie pierwsza i pewnie nie ostatnia.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Izrael jest zdziwiony, że Polska nie popiera jego polityki na forum międzynarodowym. Ale co nam to dało przez ostatnie 30 lat? Nagonki, konflikty, bezpodstawne oskarżenia. Po prostu Polska wyciągnęła dzisiaj wnioski z dotychczasowej postawy Izraela

Fot. Shutterstock

Owoce błędnej polityki

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Ambasador Izraela w Warszawie Jakow Liwne poskarżył się na Polskę. Poszło o głosowanie w ONZ nad projektem rezolucji potępiającej aneksję terytoriów palestyńskich przez Izrael. 98 państw, wśród nich Polska, opowiedziało się za dalszym procedowaniem tego projektu i skierowaniem go do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości. „Poparcie tej antyizraelskiej rezolucji jest bardzo rozczarowującą decyzją" – napisał o postawie Polski ambasador Liwne.

NISKA CENA

W Jerozolimie uznano najwyraźniej, że nasze wieloletnie poparcie dla polityki Izraela jest bezwarunkowe. I przez długi czas tak rzeczywiście było. Polska zmodyfikowała swoją politykę dopiero po ostrym konflikcie wokół nowelizacji ustawy o IPN w 2018 r. Odtąd zamiast poparcia dla Izraela coraz częściej przyjmowaliśmy postawę neutralną, czego nie potraktowano chyba w Jerozolimie wystarczająco poważnie, widząc w tym raczej przejściowego focha ze strony urażonej Polski, którego trzeba po prostu przeczekać.

Zmiana polskiej polityki okazała się jednak głębsza, niż sądzono, na co ogromny wpływ miało nieszczere i instrumentalne podejście Izraela do kwestii naszych wzajemnych relacji. Spór wokół ustawy o IPN i kończąca go międzyrządowa deklaracja zrównująca antysemityzm z antypolonizmem nie stały się, niestety, impulsem do odbudowy stosunków. Przeciwnie, dochodziło do kolejnych sporów. Zwykle wywoływali je politycy izraelscy, którzy swoimi antypolskimi deklaracjami zabiegali podczas kampanii wyborczych o głosy najbardziej nacjonalistycznego i ekstremistycznego elektoratu. Skoro więc dobre stosunki z Polską miały dla Izraela tak niską cenę, to w Warszawie również nie było sensu dalej w nie inwestować. Do dziś zresztą nie mamy w Izraelu swojego ambasadora, po tym jak Jair Lapid – wówczas szef izraelskiej dyplomacji – ponad rok temu zalecił Markowi Magierowskiemu, by już nie wracał do Tel Awiwu.

Ostatecznie 11 listopada Polska podczas głosowania w ONZ wysłała sygnał, że w obecnej sytuacji Izrael nie jest już dla nas państwem uprzywilejowanym. Tamtejsi politycy powinni za to winić przede wszystkim samych siebie.

PRZYPADEK UKRAINY

Głosowanie w ONZ, w którym Polska po raz pierwszy od wielu lat opowiedziała się przeciwko stanowisku Izraela, miało jeszcze jedno polityczne tło. Chodziło o postawę władz izraelskich wobec wojny na Ukrainie, które choć nie pochwalały rosyjskiej agresji, to jej też nigdy nie potępiły.

Jerozolima podtrzymywała kontakty z Moskwą i zarazem dystansowała się wobec Kijowa, odmawiając Ukrainie nie tylko pomocy wojskowej, ale również

eprasa.pl 1fa3695ca6

przyjmowania uchodźców wojennych, o ile nie byli oni w stanie udowodnić swojego żydowskiego pochodzenia. Gdyby podobne kryteria stosowano w jakimkolwiek kraju europejskim, zostałoby to uznane za niedopuszczalny przejaw rasizmu i nacjonalizmu. Jednak w przypadku Izraela nic takiego nie miało miejsca, przyjęto, że po prostu taka jest specyfika tego kraju.

Na tym tle dochodziło do licznych zatargów między Izraelem i Ukrainą. Prezydent Wołodymyr Zełenski wielokrotnie prosił Izrael o wsparcie, ale zawsze spotykał się z odmową. „Nie mogę tego zrozumieć, a ja jestem Żydem i moja rodzina przeszła przez straszną tragedię Holokaustu. Nie rozumiem, jak Izrael może stać z boku i patrzeć z zewnątrz, jak w tym roku pojawiła się kolejna fala nazizmu. Może inne kraje mogą to robić – ale jak wy możecie to robić?" – pytał dramatycznie Zełenski podczas wywiadu dla izraelskiej telewizji w ostatnim dniu października. Jednak ten apel podobnie jak poprzednie niewiele pomógł.

Zełenski próbował odwołać się do poczucia żydowskiej solidarności, ale także do wrażliwości historycznej kraju, którego współczesna tożsamość jest osadzona na doświadczeniu Zagłady i na walce z nazizmem. Zrozumienia nie znalazł, obnażył za to hipokryzję drugiej strony, która w sporach z innymi sama chętnie sięga po te argumenty, ale tylko wówczas, gdy leży to w jej interesie, i wtedy, gdy może sobie na to pozwolić.

Gdy w połowie października po wypowiedzi izraelskiego ministra ds. diaspory Nachmana Szaja na chwilę pojawiła się szansa na zmianę nieugiętej polityki Izraela w kwestii pomocy wojskowej dla Ukrainy, zaraz odezwał się Dmitrij Miedwiediew, który zagroził, że „zniszczy to wszystkie międzypaństwowe stosunki" między Izraelem i Rosją. Natychmiast – jak wezwany do raportu – odpowiedział mu minister obrony Beni Ganc, który zapewnił, że polityka Izraela wobec Ukrainy się nie zmieni. „Nadal będziemy ją wspierać i stać po stronie Zachodu, ale nie dostarczymy jej żadnej broni" – podkreślił.

Ukraina doświadczyła gorzkiego rozczarowania polityką Izraela, który potraktował ją tak jak od dawna odnosi się do całej Europy Wschodniej – z protekcjonalną wyższością i lekceważeniem. Kijów przerabia dziś to, co my w Polsce poznaliśmy już wcześniej.

Ukraina odpowiedziała Izraelowi podczas głosowania w ONZ nad palestyńską rezolucją. Podobnie jak Polska oddała głos przeciwko Izraelowi. I wiele wskazuje na to, że Warszawa – sama mając złe doświadczenia z Izraelem – uzgodniła w geście solidarności swoje stanowisko z Kijowem. W zemście Izrael – jako jedyny kraj Zachodu – kilka dni później wstrzymał się od głosu podczas głosowania nad rezolucją w sprawie rosyjskich reparacji dla Ukrainy.

> Polska podczas głosowania w ONZ wysłała sygnał, że Izrael nie jest już dla nas państwem uprzywilejowanym. Tamtejsi politycy powinni za to winić przede wszystkim samych siebie

Z ROSJĄ W TLE

Oczywiście taka polityka Izraela ma swoje wytłumaczenie. Podczas ostatnich trzech dekad Izrael został wręcz zalany żydowskimi przesiedleńcami z krajów byłego ZSRS. Łącznie przybyło ich tutaj ok. 1 mln, co jest sporą liczbą, jak na kraj liczący ponad 9 mln mieszkańców. Ci ludzie stanowią dziś dość zintegrowaną wspólnotę, która ma swoich polityków, media i własne obyczaje. Rosyjskojęzyczna diaspora w Izraelu jest bodaj pierwszą grupą w historii tego państwa, która odmówiła zerwania z kulturą i językiem swojego kraju pochodzenia. Widać to także na przykładzie tożsamości historycznej tych ludzi, którzy przybywając do Izraela, przewieźli z sobą sowieckie święta i zwyczaje. Hucznie obchodzi się tutaj sowiecki Dzień Zwycięstwa przypadający 9 maja (od 2017 r. święto państwowe w Izraelu), stawia się pomniki Armii Czerwonej, która – co uchodzi za niepodważalny dogmat – bohatersko niosła wolność narodom zniewolonym przez nazizm. Są również organizowane podobnie jak w Rosji tzw. marsze nieśmiertelnego pułku, których uczestnicy uformowani w kolumny maszerują, niosąc portrety żołnierzy sowieckich okresu II wojny światowej.

Związki z przeszłością chętnie kultywuje i wykorzystuje Rosja. Milion żydowskich przesiedleńców z byłego ZSRS to potencjalny as w rękawie Moskwy, dźwignia, dzięki której można wpływać na kształt izraelskiej polityki. A ta polityka rzeczywiście się zmienia. W ciągu ostatnich 30 lat właśnie za sprawą rosyjskojęzycznej diaspory izraelska scena polityczna wyraźnie przesunęła się na prawo – w stronę ugrupowań nacjonalistycznych. Ugrupowania powiązane z diasporą, takie jak skrajnie nacjonalistyczny Nasz Dom Izrael (nazwa przywodząca na myśl partię Nasz Dom Rosja) pod wodzą urodzonego w sowieckiej Mołdawii Awigdora Liebermana, stanowiły języczek u wagi wielu rządów koalicyjnych w Izraelu. Jak stwierdził w 1996 r. deputowany do Knesetu Juri Stern: „My, rosyjscy Żydzi, stworzyliśmy państwo Izrael. A teraz wróciliśmy, żeby je naprawić".

Wśród łączników między Rosją a Izraelem poczesne miejsce zajmuje oligarcha Wiaczesław Mosze Kantor – potentat na rynku nawozów, który kiedyś chciał przejąć kontrolę nad polskimi Azotami. Kantor stanął na czele Europejskiego Kongresu Żydów – do niedawna mało znaczącej organizacji, którą postawił na nogi dzięki pieniądzom zarobionym w Rosji. Kongres stał się ośrodkiem rozpowszechniania kremlowskiej propagandy historycznej, a sam Kantor odegrał ponurą rolę podczas polsko-izraelskich sporów, zręcznie podsycając antypolską retorykę. Było to oczywiste działanie na rzecz Kremla, któremu zawsze zależało na osłabianiu Polski i przedstawianiu jej jako rezerwatu nazistów mordujących Żydów.

Izraelscy politycy nie odcinali się od takiej retoryki. Przeciwnie, kokietując rozgrzaną, nacjonalistyczną tłuszczę, chętnie podchwytywali antypolskie

eprasa.pl 1fa3695ca6

hasła. To niewiele kosztowało, z Polską nikt się przecież nie liczył, podczas gdy każdy głos wyborców był na wagę złota. Dlatego Jair Lapid opowiadał kłamstwa o swojej rzekomo zamordowanej przez Polaków babce (obie jego babki przeżyły wojnę: jedna na Węgrzech, a druga w Palestynie), a Jisrael Kac, minister spraw zagranicznych w rządzie Binjamina Netanjahu, przytaczał haniebne słowa Icchaka Szamira o Polakach, którzy „wyssali antysemityzm z mlekiem matki".

Gdy więc spojrzeć na antypolskie emocje w Izraelu, to można tu dostrzec ślad moskiewskich intryg. Wpływ Moskwy nie był oczywiście jedynym czynnikiem kształtującym nasze wzajemne relacje, ale z pewnością odegrał ważną rolę, zwłaszcza że rosła ona wraz ze wzrostem znaczenia Rosji w polityce Izraela.

NIERÓWNOŚĆ

Rosja jest obecna w polityce Izraela nie tylko za sprawą diaspory. Dużą rolę odgrywa także jej militarna obecność w Syrii. Moskwa chętnie wypełniła próżnię po Amerykanach, którzy wskutek decyzji Baracka Obamy mocno ograniczyli swoje zaangażowanie na Bliskim Wschodzie. W rezultacie to operujący z Syrii i sprzymierzeni z Iranem Rosjanie stali się czynnikiem wpływającym na bezpieczeństwo Izraela. Nic dziwnego, że zagrożony atakami rakietowymi Izrael stał się do pewnego stopnia zakładnikiem Moskwy.

To dlatego w Izraelu z taką łatwością atakowano Polskę i dlatego dzisiaj Izrael nie ma najmniejszego zamiaru stanąć po stronie Ukrainy. Oczywiście Izrael ma prawo do twardej obrony własnego bezpieczeństwa i nie musi się na nikogo oglądać, w tym także na Polskę. Ale zasada ta działa w obie strony. Nie mamy żadnych zobowiązań wobec Izraela, które kazałyby nam bezwarunkowo popierać jego politykę.

Nasze wzajemne relacje opierały się przez lata na głębokim nieporozumieniu. Polskie rządy uważały, że wspierając Izrael, zasypujemy wykopane w przeszłości rowy, z kolei Izrael interpretował polską gotowość do współpracy jako dowód na nieczyste sumienie Polaków, którzy przymilną kurtuazją chcą uzyskać dyspensę z odpowiedzialności za rzeczywiste i urojone grzechy z przeszłości. Dopiero szok, którym była wspomniana wcześniej nowelizacja ustawy o IPN, uzmysłowił obu stronom błąd w ocenie sytuacji. Warszawa dość naiwnie sądziła, że zmagający się z przejawami wrogości i antysemityzmu Izrael właściwie zrozumie nasze intencje, tymczasem Izrael nie tylko ich nie zrozumiał, ale uznał nowelizację za przejaw wyjątkowej bezczelności ze strony polskich władz, które – korzystając z ocieplenia wzajemnych relacji – postanowiły chytrze pozbyć się konsekwencji swoich „oczywistych win".

Głównym problemem w stosunkach polsko-izraelskich jest ich nierównoprawność. Wynika ona nie tylko z przewagi, którą daje Izraelowi istnienie silnej i wpływowej diaspory żydowskiej, ale również z głębokiego przekonania, podzielanego dość powszechnie zarówno w Izraelu, jak i w diasporze, że Polacy są współwinni Holokaustu. Dlatego cokolwiek złego dzieje się w naszych relacjach, zawsze okazuje się, że koniec końców winna jest Polska.

> Rosjanie stali się czynnikiem wpływającym na bezpieczeństwo Izraela. Nic dziwnego, że zagrożony atakami rakietowymi Izrael stał się do pewnego stopnia zakładnikiem polityki Moskwy

To prawda, byli w Polsce szmalcownicy, łajdacy mordujący Żydów. Prawdą jest też stwierdzenie, że większość Żydów zginęła w Polsce, ale między stwierdzeniem tego oczywistego i przez nikogo niekwestionowanego faktu a sugestią, że ginęli oni masowo z rąk Polaków, jest przepaść.

Trudno jest budować normalne relacje z kimkolwiek na złych emocjach. A już jest to zupełnie niemożliwe, jeśli te emocje są ciągle podgrzewane. Polska nie chce wybielać przeszłości, ale nie chce dopuścić, by o tym, jak czytać naszą historię, decydowali ludzie pełni złych emocji.

Czy w Polsce istnieje antysemityzm? Owszem, istnieje, choć na znacznie mniejszą skalę, niż uważa się w Izraelu. I z pewnością ma mniejszy rezonans społeczny niż antypolonizm w Izraelu.

Niechęć do Polski – przechodząca niekiedy w nienawiść lub w pogardę – jest stałym elementem izraelskiej polityki tożsamościowej. W tle jest oczywiście Holokaust i próba przypisywania Polsce współodpowiedzialności za zagładę Żydów. Ta niechęć nie znika z biegiem czasu, przeciwnie – ona narasta, świadomie podtrzymywana w kolejnych pokoleniach przez programy szkolne oraz słynne wycieczki do Auschwitz i innych obozów zagłady. Nic dziwnego, że Polska sprzeciwia się izraelskim pomysłom, by przywrócić te wycieczki bez dokonania zmian w ich programie.

ZBAWIENNY CHŁÓD

W tej chwili po ponadrocznej przerwie do władzy w Izraelu wraca prawica pod wodzą Binajmina Netanjahu, polityka cynicznego i w odróżnieniu od swojego poprzednika Jaira Lapida bardzo sprawnego.

Netanjahu zaraz po zwycięstwie postanowił odnowić stare znajomości i obdzwonił szefów różnych rządów, w tym Mateusza Morawieckiego. Bibi – jak powszechnie Netanjahu jest nazywany – potrafi być otwarty, jeśli mu na czymś zależy. Nie jest jednak zbyt lojalny, co zresztą brutalnie wypomniał mu kiedyś Donald Trump, gdy po jego porażce wyborczej Netanjahu popędził z gorącymi gratulacjami do Joe Bidena. Zresztą to właśnie za rządów Bibiego doszło do najbardziej ostrych konfliktów między Polską a Izraelem. Szczególnie teraz warto mieć to na uwadze.

Na razie chłód w naszych relacjach okazuje się dla Polski zbawienny. Nie mamy więc żadnego powodu, by to zmieniać. Przynajmniej do czasu, gdy Izrael sam w końcu zrozumie, że pielęgnowanie negatywnego wizerunku Polski politycznie mu się nie opłaca.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Gdy w 2016 r. przy ulicy Wiejskiej poseł Arkadiusz Mularczyk otwierał pierwsze posiedzenie przedstawicieli instytucji państwowych mających stworzyć raport o stratach wojennych Polski, mało kto wierzył, że projekt – zaniedbany przez ponad pół wieku PRL i III RP – uda się dokończyć. Dziś też mało kto wierzy w sukces uzyskania od Niemców reparacji, ale w tej mozolnej grze nasz kraj ma swoje szanse

Odświeżenie pamięci Niemcom

eprasa.pl 1fa3695ca6

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Co kilka lat któryś z wysokich urzędników Berlina oddaje pokłon miejscu pamięci obrazującym niemieckie zbrodnie po napaści na Polskę w 1939 r. Media podchwytują to z zadowoleniem, laicy komentują i wszystko idzie zgodnie z niemiecką koncepcją pustych gestów. Ten chwyt propagandowy jako pierwszy zastosował lewicowy kanclerz RFN Willy Brandt 7 grudnia 1970 r., schylając głowę przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie. Wydarzenie szybko otrzymało status historycznego, gdy tymczasem pomogło zatuszować dwie sprawy: agresor z 1 września nie wypłacił reparacji wojennych, Niemcy zaś – a wtedy żyły jeszcze miliony wyborców Adolfa Hitlera – nadal nie poczuwali się do odpowiedzialności za Holokaust. Co więcej, jeszcze w latach 60. XX w. u steru władzy w Niemczech stali politycy mający w przeszłości mocne epizody nazistowskie (kanclerz – członkostwo w NSDAP, prezydent – oficer Wehrmachtu). A to za sprawą dziurawej denazyfikacji. Po 1945 r. została ona ucięta postawą Konrada Adenauera, który postawił Zachodowi warunek: albo nas przyjmujecie jako część wspólnoty i pomagamy wam przeciwko Sowietom, albo niewiadomo, jak będzie. Bieżąca polityka i komunistyczne zagrożenie przeważyły. Warto podkreślić ten głęboki opór w przyjmowaniu przez Niemców swojej winy. Podobnie jest teraz, gdy Polska chce sąsiadowi zza Odry nie tylko przypomnieć zbrodnie, ale i uzyskać zadośćuczynienie.

Żeby naszą politykę było stać na przeprowadzenie wielkiej kampanii informacyjnej, trzeba też przyjrzeć się tym zwrotom w społecznej świadomości, które ludności nad Renem faktycznie co nieco uświadomiły z ich niedawnej, mrocznej przeszłości.

SERIAL, ZAMACH I WOJNA

Szanowany przez nowoczesny mainstream brytyjski historyk Tony Judt (1948–2010) twierdził, że niemieckie kłopoty z pamięcią pomogły przełamać trzy wydarzenia: wojna izrealsko-arabska w 1967 r., atak terrorystyczny na izraelskich sportowców podczas olimpiady w Monachium w 1972 r., a następnie serial telewizyjny, ale o tym ostatnim za chwilę. Trzeba tu jednak podkreślić wyraźnie – o gigantycznej zbrodni ludobójstwa rodacy Hitlera przypomnieli sobie dopiero przez dużo mniej złowieszcze, ale jednak współczesne wydarzenia: śmierć Żydów w nowych czasach. Jeśli to miałby być klucz do zwalczenia niemieckiej ignorancji i niechęci do rozmowy o przeszłości, to strona polska nie ma tu narzędzi oddziaływania, nie ma – i oby nie było – tragedii polskich, które by skłoniły elity do debaty nad zniszczeniami i ofiarami II wojny światowej.

> Kino i telewizja nadal pozostają kluczowym narzędziem społecznego oddziaływania. Powraca tu więc stara i nieuleczalna bolączka polskiej polityki historycznej – brak dobrej i spektakularnej kinematografii i artystyczne elity, które wolą wymyślać polski antysemityzm, niż opisać antysemityzm niemiecki

Z filmem jednak sprawa jest inna. Dość banalny, czteroodcinkowy serial „Holokaust" Geralda Greena i Marvina Chomsky'ego, z Meryl Streep w jednej z głównych ról, bił w Niemczech rekordy popularności, a ckliwa historia dość luźno powiązana z realiami II wojny światowej wstrząsnęła sumieniami Niemców – miało to miejsce w 1979 r. Jak twierdził Judt, liczba wycieczek szkolnych do muzeum obozu koncentracyjnego w Dachau wzrosła wówczas 10-krotnie. Serial jako narzędzie do otwierania oczu przysłużył się Niemcom do przekłamywania historii 34 lata później. Polacy mogli nawet w TVP doby Platformy Obywatelskiej obejrzeć produkcję „Nasze matki, nasi ojcowie", gdzie bohaterowie w nazistowskich mundurach cierpieli ze swoimi dylematami, a Polacy jawili się jako barbarzyńcy i patologia.

Kino i telewizja nadal pozostają kluczowym narzędziem społecznego oddziaływania. Powraca tu więc stara i nieuleczalna bolączka polskiej polityki historycznej – brak dobrej i spektakularnej kinematografii i artystyczne elity, które wolą wymyślać polski antysemityzm, niż opisać antysemityzm niemiecki. Pole dialogu ze społeczeństwem w Niemczech nie znika, ale zawęża się coraz bardziej, zwłaszcza ze względu na świadomą taktykę niemieckich intelektualistów wobec pamięci o nazizmie i zbrodniach III Rzeszy.

UŻALANIE SIĘ NIEMCÓW

Sprawę kompleksowo opisał w 125 numerze dwumiesięcznika „Arcana" Andrzej Madela („Trzecia Rzesza w niemieckiej (nie)pamięci 1978–2013") w 2015 r. Nieprzypadkowo pojawia się tutaj cezura 1978 r., czyli momentu, w którym świat nieco mocniej zakołatał do Niemiec z ich odpowiedzialnością za Holokaust. Jak jednak przeanalizował znawca Niemiec, okazało się, że tamtejsi historycy i publicyści szybko potrafili przekierować uwagę swojego społeczeństwa ze zbrodni III Rzeszy na cierpienia jej obywateli. Jak pisał Madela, „liberalni historycy (wśród nich zaś wielkości tej miary jak Hans-Ulrich Wehler, Karl Dietrich Bracher, Hans Mommsen, Wolfgang Mommsen, Eberhard Jäckel, Jürgen Kocka i Martin Broszat) odrzucili też zdecydowanie ofertę adwersarzy, by właśnie z niemieckiego cierpienia, z bombardowań, ucieczek, wypędzeń i gwałtów zbiorowych, stworzyć nową narodową perspektywę narracji o wspólnocie losowej Niemców połowy XX w.".

Fot. Everett Collection/Shutterstock.com

eprasa.pl 1fa3695ca6

Liberalni intelektualiści odrzucili to, ale narodowo-konserwatywni i lewicowi już nie. Tak zaczęła rodzić się opowieść o niemieckich ofiarach nazizmu i o III Rzeszy jako koniecznej odpowiedzi na bolszewizm. Punktem kulminacyjnym tych starań był 5 maja 1985 r., kiedy to kanclerz Helmut Kohl wraz z prezydentem USA Ronaldem Reaganem wizytował cmentarz z grobami żołnierzy Wehrmachtu i Waffen-SS. Niemiecka niepamięć połączyła już zatem świadomą promocję kulturalną (serial „Nasze matki, nasi ojcowie"), debaty intelektualistów w obrębie współczesnej historiografii oraz spektakularne uroczystości polityczne (celebra z prezydentem USA).

Przeciwko tak skonsolidowanej sile doszedł kolejny problem – polscy naukowcy sugerujący, że to Polacy są odpowiedzialni za część zjawisk Holokaustu. Czy można uznać za przypadek, że prof. Jan Grabowski, słynący z oskarżania Polaków o mordowanie (!) setek tysięcy (!) Żydów, niedawno dostał niemieckie stypendium z Institut für Zeitgeschichte?

SĄDOWY BLIETZKIEG PROFESORA

Historyk, znawca Niemiec i Sowietów prof. Bogdan Musiał ma pomysł bardziej precyzyjny, jeśli chodzi o niemieckie lekceważenie zbrodni na Polakach. Uczony, zasłużony w zwalczaniu kłamstw prof. Jana Grabowskiego i prof. Barbary Engelking na temat Holokaustu, uważa, że państwo niemieckie, tak szczycące się praworządnością, trzeba poddać specyficznemu testowi. – Niemcom należy wytoczyć procesy rehabilitacyjne o zamordowanych Polaków – mówi tygodnikowi „Sieci" profesor, informując o niesłychanym skandalu prawnym. – Większość ofiar III Rzeszy rehabilitowano ryczałtowo, czyli całymi grupami, np. Żydów jako ofiary Holokaustu. Podobnie było z Cyganami czy homoseksualistami, a także dezerterami z Wehrmachtu – oni wszyscy zostali uznani za ofiary nazizmu – tłumaczy historyk i przedstawia szokujący stan prawny co do Polaków. Pseudowyroki na naszych rodaków, wydawane *de facto* automatycznie w ciągu półtoraminutowych „posiedzeń", nie zostały unieważnione „ryczałtowo". Polacy więc byli mordowani zgodnie z niemieckim prawem, niezakwestionowanym do dziś! A skoro tak, warto by było pójść z tym do sądu i sprawdzić, czy współczesny system sprawiedliwości potwierdzi, że owszem, rozstrzelanie np. rodziny Ulmów było zgodne z przepisami (wówczas, w czasie okupacji, było), czy jednak ofiary trzeba rehabilitować. – A jeśli rehabilitować, to i zadośćuczynić – tłumaczy profesor.

W 2022 r. wygląda to więc tak, że „Rozporządzenie o prawie karnym dla Polaków i Żydów na wschodnich ziemiach wcielonych" z 4 grudnia 1941 r. wobec naszego narodu nie zostało anulowane, bo jej ofiary nie są zrehabilitowane i nie dostały zadośćuczynienia. „Praworządne" Niemcy musiałyby się mocno nagłowić, by zdecydować, czy zabijanie Polaków było zgodne z prawem (czyli zadośćuczynienia nie będzie) czy jednak było zbrodnią i coś na kształt reparacji trzeba wypłacić. Każdy wyrok byłby tu dla Niemców kompromitujący.

Na razie pomysł profesora Musiała nie został podchwycony przez polskie instytucje, więc wciąż czeka na swój moment.

SZOK JAKO NARZĘDZIE

Niemcy potrafili przejść więc drogę od początkowego wyparcia zbrodni (po wojnie), przez uświadomienie sobie ich istnienia (koniec lat 70.), aż do zrobienia z siebie ofiar – jak to było w przypadku Związku Wypędzonych czy słynnej wypowiedzi Angeli Merkel o amerykańskim „wyzwoleniu Niemiec od nazistów".

Polityka jednak nigdy nie jest grą z góry skazaną na jakikolwiek wynik. Błyskotliwe sukcesy w takich zmaganiach ma na swoim koncie np. Instytut Pamięci Narodowej. W marcu 2015 r. kierownictwo IPN opublikowało w rosyjskiej prasie płatne ogłoszenie o poszukiwaniu zaginionych polskich urzędników. Chodziło jednak nie o współczesnych obywateli RP, ale o przywódców Polskiego Państwa Podziemnego uwięzionych przez tajne służby ZSRS. Akcja „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie" poskutkowała całostronicową informacją w putinowskiej gazecie o nakładzie ponad pół miliona egzemplarzy. IPN wykorzystał słabości zarządzania rosyjskimi instytucjami, by w autorytarnym państwie przekazać głośny, antykremlowski, ale przede wszystkim prawdziwy komunikat. Skoro udało się w putinowskim reżimie, to znaczy, że może udać się i w demokratycznych Niemczech. Zwłaszcza że wrześniowa konferencja prasowa poświęcona publikacji „Raportu o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej 1939–1945" została odnotowana i skomentowana w mediach właściwie na wszystkich kontynentach świata. Nośny news o kwocie, której będzie domagać się Polska – ponad 6 bln zł – wygenerowała zainteresowanie światowej opinii publicznej i pytanie: cóż też Niemcy musiały zrobić Polsce, że ta oczekuje takiego zadośćuczynienia? Bo właśnie w sprawie reparacji mamy jednego mocnego sojusznika – prawdę.

Fot. NAC

eprasa.pl 1fa3695ca6

Trzy razy przegrać

Były prezydent USA Donald Trump stał się obciążeniem dla republikanów. Podczas gdy oni się zastanawiają, jak się go pozbyć, by na tym nie stracić, on już myśli o wyborach prezydenckich w 2024 r.

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Powrót Ameryki zaczyna się właśnie teraz" – oświadczył w minionym tygodniu były prezydent USA Donald Trump podczas wystąpienia w swojej posiadłości Mar-a-Lago w Miami na Florydzie. Były gospodarz Białego Domu przedstawił osiągnięcia swojej pierwszej prezydenckiej kadencji oraz wady swojego dawnego rywala Joe Bidena. Z nim Trump zamierza zmierzyć się zresztą po raz kolejny. Na wiecu ogłosił swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich za dwa lata.

Nie wszyscy chcą go jednak ponownie widzieć w Białym Domu. Podczas gdy Trump przemawiał do zebranego w Palm Beach tłumu, nad jego głową krążyły samoloty z banerami: „Znowu przegrałeś, Donaldzie!, #DeSantis2024" oraz „Trzykrotny przegrany!". Po mieście jeździła także ciężarówka z napisem: „Amerykanie odrzucają program MAGA (Make America Great Again)". Nie, to nie demokraci kryli się za krytycznymi i miejscami złośliwymi banerami. Tylko rozczarowani wyborcy republikanów, którzy uważają, podobnie jak część Partii Republikańskiej (Grand Old Party – GOP) i mediów należących do Ruperta Murdocha, że Trump to przeszłość. Konserwatywny „New York Post" nazwał go „Humpty Trumpty", a „The Wall Street Journal" określił mianem największego przegrywa. Część darczyńców Partii Republikańskiej zamiast w Mar-a-Lago zebrała się w sąsiednim Miami, by dyskutować o przyszłości bez byłego prezydenta.

Co takiego się wydarzyło, że Trump, który wydawał się trzymać partię, darczyńców i wyborców w żelaznym uchwycie, nagle przestał być traktowany jako przeszła, a zarazem przyszła nadzieja konserwatyzmu?

ZMĘCZENI WEWNĘTRZNYM KONFLIKTEM

Ano wydarzyły się wybory uzupełniające do Kongresu. I nie zaowocowały one „czerwoną", republikańską falą, tylko co najwyżej cienkim strumykiem. Mimo że urzędujący prezydent Joe Biden jest wysoce niepopularny – negatywnie ocenia go 70 proc. Amerykanów, inflacja wynosi 8 proc., przestępczość rośnie, a granica z Meksykiem tonie w chaosie, kandydaci republikanów do Kongresu nie przekonali wyborców. Republikanie będą mieli tylko dość nieznaczącą większość w Izbie Reprezentantów, a walka o Senat pozostaje nierozstrzygnięta (obecnie demokraci mają w nim 50, a republikanie 49 mandatów), bo w Georgii nikt nie zdobył 50 proc. wymaganych do zwycięstwa w pierwszej turze. Dogrywka odbędzie się w grudniu. Winą za słabą kampanię wielu obarcza właśnie Trumpa. Były prezydent był wysoce aktywny podczas prawyborów, wręcz je zdominował i – jak zauważa złośliwie „New York Post" – głównym kryterium przy „namaszczeniu" przez niego kandydatów do obu izb Kongresu było to, czy popierają jego tezę o „skradzionych" wyborach w 2020 r. Pod tym hasłem wielu z nich robiło kampanię. Tyle że dwa lata po ostatnich wyborach prezydenckich, w dobie kryzysu, mało kogo to interesowało. Republikanie mieli wystarczająco dużo czasu, by udowodnić, że doszło wówczas do fałszerstw. Skoro tego nie zrobili, ich przekaz trafił w próżnię.

Nie docenili także kwestii aborcji, czyli uchylenia przez Sąd Najwyższy orzeczenia w sprawie Roe vs. Wade. Jak się okazało, jest to rzecz istotna dla milionów, szczególnie samotnych kobiet z przedmieść, które masowo udały się do urn. Demokraci zręcznie grzali tym tematem, podczas gdy republikanom nie udało się w przekonujący sposób bronić prawa do życia. Na ogół nawet nie próbowali. Byli przekonani, że rozczarowanie Amerykanów Bidenem wystarczy do zwycięstwa. Mało który z kandydatów miał pozytywny program, zawierający realne propozycje. Zamiast tego sprzeciwiali się

eprasa.pl 1fa3695ca6

Fot. AP Photo/Andrew Harnik/East News

pomocy Ukrainie, bo to kraj „zblatowany z Bidenami". To także zostało źle odebrane: większość Amerykanów popiera pomoc dla Ukrainy szczególnie po ujawnieniu masakr w Buczy i innych ukraińskich miastach. Po 30 latach wymiany jednej większości w Kongresie na drugą oraz wojny kulturowej, która nie poprawia w żaden sposób ich bytu, są też zwyczajnie zmęczeni wewnątrzpolitycznym konfliktem. Demokraci to najwyraźniej lepiej zrozumieli od republikanów, bo ich darczyńcy wpompowali ponad 50 mln dol. w najbardziej radykalnych kandydatów GOP w czasie republikańskich prawyborów, by to oni ostatecznie startowali zamiast ci bardziej umiarkowani, mogący przekonać do siebie niezdecydowanych wyborców, jednocześnie cynicznie określając ich jako zagrożenie dla demokracji. W każdym razie znakomicie poradzili sobie w tych wyborach republikanie, którzy konsekwentnie bronili wartości i występowali przeciwko nielegalnej migracji oraz gender, jak senator Rick Scott na Florydzie, gubernator tego stanu Ron DeSantis, Greg Abbott w Teksasie, J.D. Vance w Ohio czy Brian Kemp w Georgii. Tyle że nie byli oni namaszczeni przez Trumpa.

MAŁY RON

Były prezydent oczywiście nie dopatruje się w tych wyborach porażki. Przeciwnie. Podkreśla, że z 232 wybranych przez niego kandydatów zaledwie 22 przegrało swoje wyścigi. A republikanie otrzymali na poziomie federalnym o 5 mln głosów więcej niż demokraci. Tyle że te porażki były znaczące i bolesne.

Kandydat Trumpa na gubernatora Pensylwanii, stanu potrzebnego republikanom, jeśli chcą za dwa lata zdobyć Biały Dom, otrzymał tylko 42 proc. głosów – ok. 750 tys. mniej niż zwycięzca, demokrata Josh Shapiro. W Ohio kandydat Trumpa na senatora dr Mehmet Öz przegrał o 4 pp. z demo-

eprasa.pl 1fa3695ca6

kratycznym rywalem Johnem Fettermanem. Mimo silnego wsparcia od Trumpa, który chętnie i często pojawiał się na wiecach byłego chirurga i osobistości telewizyjnej (był stałym gościem u Oprah Winfrey).

Trump, który zdobył dla republikanów Biały Dom w 2016 r., jest dla nich teraz obciążeniem. Przegrali wybory do Kongresu w 2018 r., wybory prezydenckie w 2020 r., a teraz uzyskali mimo sprzyjających okoliczności zaledwie letnie zwycięstwo. Mogą blokować inicjatywy legislacyjne demokratów w Izbie Reprezentantów, ale nie przepchną własnych. Dylemat, który muszą rozwiązać republikanie, jest taki, że partyjna baza wciąż popiera Trumpa, choć to poparcie od 2020 r. spadło z 79 do 60 proc., a niezdecydowani wyborcy go odrzucają. By móc myśleć o przejęciu w 2024 r. prezydentury, muszą choć część tych niezdecydowanych do siebie przekonać. A jednocześnie utrzymać wyborczą bazę. Dla części partii naturalnym następcą Trumpa i kandydatem w 2024 r. powinien być Ron DeSantis, gubernator Florydy. Jest popularny szczególnie wśród coraz liczniejszego elektoratu latynoskiego i ma tę zaletę, że nie jest obciążony politycznym bagażem, który stał się kulą u nogi Trumpa. Szturm na Kapitol, kwestia wpływu Rosji na wybory w 2016 r. – to wszystko ciągnie się za byłym prezydentem, słusznie czy nie.

Tylko jak pozbyć się polityka, który wciąż jest tak popularny u partyjnej bazy? Obecnie wydaje się to niemożliwe, a Trump robi zresztą, co może, by zohydzić wyborcom DeSantisa. Podczas jednego ze swoich wieców nazwał go: „Mały Ron" czy „De Sanctimonious" (Świętoszkowaty). Trump potrafi też jak nikt inny zbierać fundusze dla republikanów. Jak dotąd uzbierał ponad 100 mln dol. Są to darowizny wpłacone na niego osobiście. Gdyby więc partia się go pozbyła, zabrałby je z sobą. Nie miałby zresztą zapewne skrupułów, by wystartować w 2024 r. jako kandydat niezależny, z niewiadomym skutkiem dla Grand Old Party.

Trump potrafi jak nikt inny zbierać fundusze dla republikanów. Jak dotąd uzbierał ponad 100 mln dol. Są to darowizny wpłacone na niego osobiście. Gdyby więc partia się go pozbyła, zabrałby je z sobą. Nie miałby zresztą zapewne skrupułów, by wystartować w 2024 r. jako kandydat niezależny

LEKCJE DO ODROBIENIA

Dlatego jeszcze latem główny strateg republikanów John Thomas odradzał DeSantisowi ambicje prezydenckie. Teraz jednak, jak podkreślił Thomas w rozmowie z „The Washington Post", sytuacja się zmieniła. „Strategia Trumpa dała owoce w 2016 r., ale dziś już nie działa" – tłumaczył. Tyle że starcie Trumpa z DeSantisem może mieć nieprzyjemne konsekwencje, które trudno przewidzieć. Jak mawiał Mike Tyson, „każdy ma plan, aż dostanie pięścią w twarz". Trump to świetny mówca, obdarzony charyzmą, któremu udało się zrobić z siebie symbol porzuconych i gnębionych przez elity w Waszyngtonie mieszkańców ciężko pracującej prowincji. I oni wciąż są mu wierni. Wielu z nich patrzy z sympatią na DeSantisa, ale uważa go za następcę Trumpa. Kogoś, kto powinien być prezydentem, ale nie teraz, tylko w bliżej nieokreślonej przyszłości. Jak wynika z sondażu Politico, zrealizowanego dzień po wyborach do Kongresu, 47 proc. chce, by w 2024 r. startował Trump, a 33 proc. chciałoby by był to DeSantis. Ten ostatni zaczął zresztą już zbierać fundusze dla swojego komitetu politycznego (PAC) pod tytułem „Ron na ratunek" (Ron to the Rescue).

Ambicje prezydenckie mają zresztą także inni republikanie: Mike Pence czy były sekretarz stanu Mike Pompeo. GOP grozi więc powtórka z prawyborów w 2016 r., gdzie kandydatów było 17 i żadnemu nie udało się pobić Trumpa. A jeśli to on wystartuje w 2024 r., jego rywalem będzie 82-letni wówczas Joe Biden, bo demokraci innych kandydatów nie mają i pewnie mieć nie będą. Kamala Harris okazała się wydmuszką i nie może liczyć na poparcie. Startu Bidena za dwa lata nie chce według Politico 60 proc. Amerykanów, a Trumpa 65 proc. A kampania wyborcza w zasadzie już się zaczęła.

Z wyborów uzupełniających do Kongresu da się wyciągnąć wnioski przydatne w polskiej polityce. Zarówno dla opozycji, jak i partii rządzącej. Po pierwsze: należy uczyć się zarówno na porażkach, jak i sukcesach. Joe Biden pytany, czy zamierza zmienić swoją politykę po tych wyborach, odparł lapidarnie: „Nie". Tymczasem jego partia straciła Izbę Reprezentantów i nawet jeśli zachowa Senat, jest to jasna wskazówka, że co najmniej część tej polityki Amerykanom się nie podoba. To powinno skłaniać do refleksji zamiast do samozadowolenia. Po drugie: nie wystarczy – i to lekcja skierowana do naszej opozycji – być przeciw, trzeba mieć własny program, coś do zaoferowania wyborcom. Jakąś wizję przyszłości. Sam kryzys gospodarczy nie wystarczy, by wyborcy odrzucili władzę. Szczególnie jeśli jest on tymczasowy. Po trzecie: kwestie światopoglądowe, traktowane u nas jako tematy zastępcze, mogą odegrać dużą rolę w wyborach. W USA tak się stało w przypadku aborcji. Republikanie tę kwestię zlekceważyli, nie broniąc z jednej strony własnych racji, czyli prawa do życia, a z drugiej uznając, że nie zmobilizuje ona wyborców po drugiej stronie barykady, i słono za to zapłacili. Parasolkowe protesty w Polsce może i szybko się wypaliły, ale to nie oznacza, że ich uczestnicy nie pojawią się ponownie – tym razem przy urnach. A po czwarte: stawianie na twardy elektorat może okazać się niewystarczające, by wygrać. Jak doświadczyli republikanie, najbardziej radykalne tezy podgrzewają wprawdzie emocje bazy i ją scalają, ale odrzucają niezdecydowanych wyborców. A ci mogą być potrzebni do zwycięstwa.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Przeciw prorokom klimatycznej apokalipsy

Za panującą dziś histerią klimatyczną kryje się konglomerat interesów finansowych, dążenie polityków do władzy oraz tęsknota zsekularyzowanych społeczeństw za religią zastępczą

GRZEGORZ GÓRNY

Niedawno na Zachodzie ukazały się dwie głośne książki, które polemizują z dominującą dziś w najbogatszych krajach świata polityką klimatyczną. Pierwsza z nich nosi tytuł „Panika klimatyczna", opatrzona wszystko mówiącym podtytułem „Dlaczego zła polityka klimatyczna będzie nas kosztować biliony i nie uratuje planety". Jej autorem jest duński naukowiec Bjørn Lomborg, którego magazyn „Time" w 2014 r. umieścił na liście 100 najbardziej wpływowych ludzi na świecie.

ROZWAGA ZAMIAST PANIKI

Lomborg nie neguje tego, że w ostatnich latach obserwujemy zmiany klimatu, jednak – jak udowadnia – zachodzą one w sposób naturalny. Nie oznacza to dla niego widma wiszącej nad nami apokalipsy, lecz raczej problem, który należy rozwiązać. W swoich dziejach bowiem ludzkość zawsze potrafiła przystosowywać się do zachodzących zmian, wykazując przy tym niezwykłą pomysłowość. Zdaniem autora obsesja Zachodu na punkcie globalnego ocieplenia powoduje, że niepotrzebnie są marnowane olbrzymie środki na bezsensowne działania. Wynika to z paniki, która opanowała współczesne społeczeństwa i uniemożliwia racjonalne podejście do problemu.

Zmiany klimatyczne są wyolbrzymiane przez media, które dzięki alarmistycznym przekazom zyskują większą oglądalność i klikalność. Aktywistom zależy z kolei na przykuciu uwagi pesymistycznymi prognozami, by przyciągnąć potencjalnych darczyńców, zdeterminowanych, by wydawać pieniądze na ratowanie planety. Praktyka pokazuje, że im ktoś głośniej krzyczy o nadchodzącej apokalipsie, tym łatwiej mu przychodzi zdobywanie grantów, stypendiów i dotacji.

Autor cytuje w swojej książce liczne przepowiednie światowych autorytetów, podających konkretne daty czekających nas kataklizmów, pokazując, że żadne z tych proroctw się nie spełniło. Co ciekawe, pół wieku temu prasa na świecie, powołując się na ekspertów klimatycznych, propagowała tezę o globalnym zlodowaceniu. W 1975 r. „Science News" pisał o nadchodzącej epoce lodowcowej, publikując fotomontaż przedstawiający wielki lodowiec górujący nad panoramą Nowego Jorku. Dziś wajcha została przekręcona w drugą stronę.

Lomborg zarzuca aktywistom klimatycznym, że głoszą teorie, które nie zostały naukowo udowodnione. Twierdzi, że ludzkość nie jest wcale zagrożona wyginięciem w ciągu najbliższych dziesięcioleci. Jest wręcz przeciwnie – ludzie znajdują się dziś w sytuacji lepszej niż kiedykolwiek w historii: oczekiwana długość życia wzrosła od 1900 r. ponaddwukrotnie, systematycznie spada liczba pracujących dzieci, zanieczyszczenie powietrza w pomieszczeniach, odpowiedzialne jeszcze niedawno za 8 proc. zgonów, zostało poważnie zredukowane. Tak więc zmiany klimatyczne zdaniem Lomborga mają znacznie mniejsze konsekwencje negatywne, niż głoszą prorocy apokalipsy, a proponowane przez współczesnych panikarzy klimatycznych rozwiązania mogą przynieść więcej szkody niż pożytku.

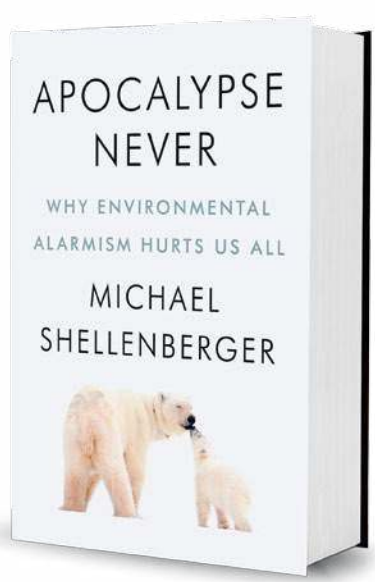

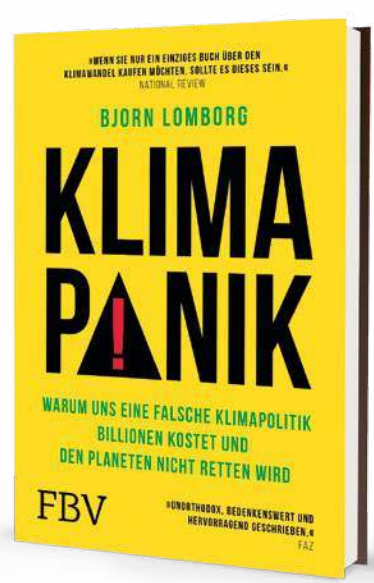

eprasa.pl 1fa3695ca6

Duński naukowiec zauważa, że paryskiego porozumienia klimatycznego nie da się utrzymać na dłuższą metę, ponieważ państwa rozwijające się potrzebują taniej energii, która pochodzi głównie z paliw kopalnych. Kraje te nie zgodzą się więc na restrykcyjne ograniczenia, gdyż oznaczałoby to dla nich ponowne popadnięcie w ubóstwo. Poza tym, jak podkreśla Lomborg, największe koszty polityki klimatycznej ponoszą dziś najbiedniejsi, których wydatki na energię są proporcjonalnie wyższe niż najbogatszych. W związku z tym zamożnych stać na drastyczne podwyżki cen, które są zabójcze dla ubogich, nie mówiąc już o tym, że większość dotacji na ochronę klimatu trafia do kieszeni bogatych.

Wartością książki jest to, że jej autor nie ogranicza się do krytykowania dzisiejszej polityki klimatycznej, lecz przedstawia wiele konkretnych propozycji, w jaki sposób radzić sobie z zachodzącymi zmianami, nie ulegając histerii moralnej i dostosowując się do płynnej sytuacji. „The Times" napisał o pracy duńskiego badacza: „Jeśli ktoś w twojej rodzinie lub w kręgu znajomych wpadł w panikę klimatyczną, może to być nieoceniona korekta. Lomborg mądrze waży argumenty, oferuje rozwiązania i pielęgnuje optymizm".

FAKTY ZAMIAST MITÓW

Drugie z dzieł polemizujących z dominującą dziś narracją klimatyczną wyszło spod klawiatury amerykańskiego działacza ekologicznego (przedstawiciela tzw. ekomodernizmu) Michaela Shellenbergera, okrzykniętego przez magazyn „Time" w 2008 r. ekologicznym bohaterem roku. Tytuł jego książki „Apocalypse Never" nawiązuje oczywiście do tytułu głośnego filmu Francisa Forda Coppoli „Apocalypse Now". On także sprzeciwia się licznym mitom na temat globalnego ocieplenia, które funkcjonują we współczesnych społeczeństwach.

Shellenberger podobnie jak Lomborg nie neguje zmian klimatycznych, uważając jednak, że nie prowadzą one do apokalipsy. Jego zdaniem za histerią klimatyczną kryje się konglomerat interesów finansowych, dążenie polityków do władzy oraz tęsknota zsekularyzowanych społeczeństw za religią zastępczą. Ten splot zdaniem autora jest znacznie większym niebezpieczeństwem dla ludzkości niż rzeczywiste skutki zmian klimatu.

Jednym z negatywnych skutków owej histerii są narastające problemy ze zdrowiem psychicznym, zwłaszcza chroniczny strach i depresja wśród dzieci. W 2017 r. Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne zdiagnozowało nowe zjawisko: przewlekły lęk przed końcem świata, obserwowany zwłaszcza u osób nieletnich i przejawiający się m.in. w koszmarach sennych związanych z widmem zmian klimatycznych.

Shellenberger udowadnia w swojej książce, iż są to obawy bezpodstawne. Przytacza dane, z których wynika, że huragany, cyklony i susze nie występują dziś wcale częściej i nie są bardziej niszczycielskie niż w przeszłości. Jego zdaniem obciążanie winą człowieka za wywoływanie tych kataklizmów jest nieuprawnionym nadużyciem.

> Praktyka pokazuje, że im ktoś głośniej krzyczy o nadchodzącej apokalipsie klimatycznej, tym łatwiej przychodzi mu zdobywanie grantów, stypendiów i dotacji

Szczególnie ciekawy jest rozdział poświęcony Amazonii, w którym autor rozprawia się z wieloma mitami klimatycznymi powstałymi wokół tego regionu. Demaskuje liczne fake newsy dotyczące wylesiania czy pożarów lasów amazońskich, rozpowszechniane na świecie w dobrej wierze przez takie gwiazdy popkultury, jak Leonardo DiCaprio, Madonna czy Cristiano Ronaldo. „W rzeczywistości prawie wszystko, co media donosiły o Amazonii w 2019 r., było błędne lub co najmniej bardzo wprowadzające w błąd" – pisze Shellenberger. Trudno mu zarzucić nieznajomość tematu, ponieważ przez długi czas mieszkał on w Brazylii wśród tamtejszych chłopów, mówi po portugalsku i zna doskonale realia Amazonii. Zarazem dysponuje konkretnymi danymi, które zadają kłam panującym dziś stereotypom klimatycznym, np. twierdzeniu, że Amazonia jest głównym źródłem tlenu na naszej planecie („zielonymi płucami świata" – jak można często usłyszeć). W rzeczywistości nie ma na to żadnych dowodów naukowych. To prawda, że dżungla w tym zakątku globu produkuje duże ilości tlenu, jednak zużywa ich równie dużo przez oddychanie komórkowe roślin, tak więc ten bilans się wyrównuje.

Autor zarzuca bogatym państwom, że promując ograniczenia gospodarcze w imię ochrony klimatu, działają w rzeczywistości na rzecz utrzymania krajów biednych w nędzy. Pisze, że w 900 r. lasy pokrywały 70 proc. powierzchni Niemiec, podczas gdy w 1900 r. już tylko 25 proc. Tak więc Europa, która osiągnęła swoje bogactwo dzięki wylesianiu i paliwom kopalnym, chce dziś uniemożliwić krajom tropikalnym rozwój w ten sam sposób. Zachodni politycy, organizacje pozarządowe oraz globalni miliarderzy, ingerując w funkcjonowanie tych państw, by chronić klimat, działają na szkodę tamtejszych społeczeństw, pogarszając ich sytuację.

W rozdziale „Fałszywi bogowie dla zagubionych dusz" Shellenberger pokazuje, jak ekoklimatyzm stał się dziś w większości krajów zachodnich dominującą „religią świecką wykształconej elity klasy średniej". Ta nowa religia radykalnie zrywa z tradycją judeochrześcijańską, przedstawiając własną doktrynę o naszym indywidualnym losie i zbiorowym przeznaczeniu, definiując według swoich kategorii dobro i zło oraz kreując bohaterów i złoczyńców. W rzeczywistości owo laickie wierzenie jest pozbawione nadprzyrodzonej nadziei i podszyte rozpaczą. Staje się coraz bardziej apokaliptyczne i destrukcyjne, przynosząc efekty odwrotne od zamierzonych.

Książki Lomborga i Shellenbergera są ważnym ostrzeżeniem przed kierunkiem, w którym zmierza Zachód. Warto takich głosów słuchać i rozważać przedstawione w nich argumenty.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Wernisaż obrazów Jezusa Miłosiernego

Namalować katolicyzm od nowa

Dziesięciu malarzy podjęło próbę namalowania na nowo obrazu Jezusa Miłosiernego. Zgodnie z zasadami sztuki sakralnej, teologicznymi wskazówkami, opisem św. Faustyny, by ożywić sztukę sakralną. – Trzeba mieć więc wiarę w skuteczność tego typu działań, choć nie zawsze są zakończone sukcesem – tłumaczy filozof Dariusz Karłowicz, inicjator projektu „Namalować katolicyzm od nowa"

MACIEJ WALASZCZYK

Chrześcijaństwo danej epoki ma taką sztukę sakralną, na jaką zasługuje. Czujemy się dziwnie w świątyniach modernistycznych i żelbetonowych molochach, wypreparowanych z *sacrum*. To już nie jest oś świata. W akademiach sztuk pięknych nie uczy się teorii i rzemiosła sztuki sakralnej. Trudno się nawet dziwić, skoro odgórnie została zdewastowana nawet liturgia. To też sprawa postępującej sekularyzacji. Gdy jesteśmy np. w czeskiej Pradze, pełnej pięknych świątyń wypełnionych wspaniałymi obrazami i rzeźbami, odnosimy wrażenie, że pełnią już tylko funkcję dekoracyjną, pozbawioną pierwotnego znaczenia pamiątką po tych, którzy tworząc, wierzyli. Błogosławiony ks. Kardynał Stefan Wyszyński już w 1957 r., a więc przed soborem watykańskim II, zwracał uwagę, że świątynia musi wyrastać nie tylko z kamienia i żelbetonu – ale dogmatyki, liturgii, historii Kościoła i jego moralności, mistyki. Przestrzeń za progiem świątyni powinna przenosić w lepszy, inny świat. Bp Jacek Grzybowski mówi, że soborowa konstytucja o liturgii świętej „Sacrosanctum concilium" podkreśla, że sztuka sakralna ma przepowiadać i objawić bożą wspaniałość i obowiązkiem biskupów jest „nie dopuszczać do kościołów i innych miejsc świętych takich dzieł sztuki, które nie licują z wiarą, obyczajami, pobożnością, obrażają uczucia religijne, czy to z powodu nieodpowiedniej formy, niskiego poziomu artystycznego, przeciętności czy naśladownictwa". Podobnie wypowiada się również Katechizm Kościoła katolickiego. – O tych dokumentach zapomnieliśmy, nie czytamy ich i je pominęliśmy – mówił bp Grzybowski podczas konferencji zorganizowanej w ramach inicjatywy „Namalować katolicyzm od nowa". Bo jak się okazuje, sztuka sakralna, by być żywa, powinna być ciągłym renesansem i niekończącym się powrotem do historii.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Obraz Jacka Hajnosa

Fot. Wojciech Latawiec/Fundacja Świętego Mikołaja

Pierwotnie Grecy uprawiali sztukę ze względów religijnych, wypychając pojęcie piękna poza nawias. Wcielenie stało się możliwe do przedstawienia, gdyż Logos przyjął ciało człowieka. – To wywoływało wśród pogan wielkie zgorszenie. I wtedy zrodziło się pytanie, jak go przedstawić? – mówił bp Grzybowski. O. Paweł Florenski w tekstach teoretycznych o duchowej zawartości wschodniej ikony wyjaśnia, że ich pisanie polega na „zdejmowaniu zasłony" i wyjawianiu zapisu rzeczywistości. Dariusz Karłowicz, filozof ze środowiska „Teologii Politycznej" i inicjator projektu, zwraca uwagę, że św. Jan, mówiąc o Chrystusie, używa pojęcia Logosu, które właśnie wykuwało się w tradycji platońskiej i stoickiej. – Jest to więc gest mający cechy wcielenia w kulturę, co nazywamy inkulturacją. Jedną z form odpowiedzialności za Słowo jest dbanie, by było ono zrozumiałe w takim stopniu, jak jest możliwe, także w kulturze, jak medium komunikacji – przekonuje.

PRZETRĄCENI DOŚWIADCZENIEM MODERNIZMU

Nasuwa się wobec tego wiele pytań. Czy sztuka sakralna – muzyka, architektura, rzeźba i w końcu malarstwo – ma być tylko piękna? W jaki sposób ma być przewodnikiem po transcendencji, prowadzić do uświęcenia człowieka? Obecna w kościołach sztuka nie przemienia. – To liche próby ukazania obecności bożej. Niestety – przyznaje bp. Grzybowski. Dotyczy to również malarstwa. A kto jest winien? – Chyba artyści, choć nie wiem, czy mogę mówić w imieniu wszystkich, zostali przetrąceni doświadczeniem modernizmu. Choć dla mnie akurat zawsze praca nad obrazem jest doświadczeniem sakralnym – tłumaczy prof. Jarosław Modzelewski, malarz i uczestnik projektu „Namalować katolicyzm od nowa".

Dariusz Karłowicz jest przekonany, że wielka sztuka powinna być obecna w świątyniach. Stąd próba zachęcenia twórców do malowania motywów sakralnych w nowych warunkach i analogia do sytuacji, w której znaleźli się starożytni aleksandryjscy Żydzi przed przełożeniem Pięcioksięgu na grekę. – Istniało ryzyko, że w wyniku takiego przekładu coś można zyskać, ale również coś utracić. Trzeba mieć więc wiarę w skuteczność tego typu działań, które w kulturze mają ciągle miejsce. Choć nie zawsze zakończone sukcesem – przyznaje filozof.

> Projekt „Namalować katolicyzm od nowa" przewidziano na kolejnych 20 lat. Przez dwie dekady, rok w rok mają powstawać obrazy inspirowane tajemnicami różańca. – Już teraz zaczynają się prace nad „Zwiastowaniem" – informuje Dariusz Karłowicz

MIŁOSIERDZIE – IDEA UNIWERSALNA

Chodzi więc o powrót do wielkich tematów malarstwa religijnego i sztuki sakralnej. Za najciekawszy obiekt do tego wybrano na start projektu obraz Miłosierdzia Bożego jako autentycznego centrum współczesnej pobożności, z uniwersalną ideą, dostępną dla każdego człowieka na świecie bez względu na status, a jednocześnie bardzo polską. Jak wyjaśniał bp Grzybowski, zrodzoną na peryferiach Europy, między dwoma totalitaryzmami.

Premiera wystawy dokumentującej tę próbę odbyła się 9 listopada w krużgankach klasztoru oo. Dominikanów w Krakowie. Wcześniej Instytut Kultury św. Jana Pawła II z papieskiego uniwersytetu Angelicum oraz Fundacja Świętego Mikołaja zaprosiły do współpracy malarzy: Bognę Podbielską, Beatę Stankiewicz, Ignacego i Wincentego Czwartosów, Jacka Dłużewskiego, Wojciecha Głogowskiego, o. Jacka Hajnosa, Krzysztofa Klimka, Jarosława Modzelewskiego oraz Artura Wąsowskiego.

By tworzyć obrazy kultu, należy mieć również formację teologiczną. Bp Jacek Grzybowski stanął np. przed zadaniem wyjaśnienia malarzom, czym jest Miłosierdzie Boże. Jak przedstawić dobro, ofiarę, świętość, nieskończoność, zło? Jak w ogóle można podjąć się namalowania katolicyzmu od nowa, czy dotychczasowe przedstawienia Jezusa Miłosiernego są nieudane, niewystarczające?

Dr Izabela Rutkowska, autorka pracy „Przez zasłonę ciała", przypomina, że w „Dzienniczku" św. Faustyny nie ma takiego zapisu, który mówiłby, że na nowo nie można malować Jezusa Miłosiernego. – Nie wszystkim odpowiada wizja Adolfa Hyły,

eprasa.pl 1fa3695ca6

Beata Stankiewicz

Krzysztof Klimek

nie wszystkim odpowiada Eugeniusz Kazimirowski. Kult przecież broni się sam i nie mamy zamiaru wykorzenienia starego. Ale naszym zadaniem jest przemyślenie na nowo tego tematu – wyjaśnia.

Stworzenie pierwszego obrazu, inspirowanego objawieniami św. Faustyny Kowalskiej, ks. Michał Spoćko zlecił w 1934 r. w Wilnie Eugeniuszowi Kazimirowskiemu. Efekt odbiegał od oczekiwań wizjonerki. Siostra Faustyna płakała. Jeden z obrazów namalowanych dla kaplicy Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia w Warszawie stworzył w 1942 r. Stanisław Batowski. W kościele parafialnym w Lądzie nad Wartą w mensie bocznego ołtarza św. Antoniego możemy spotkać obraz Henryka Uziembły. W latach 50. XX w. powstał obraz pędzla prof. Ludomira Śledzińskiego, rektora Politechniki Krakowskiej, namalowany – co ciekawe – według wskazówek ks. Sopoćki. Wszystkie łączy podpis – wezwanie: „Jezu, ufam Tobie".

Jarosław Modzelewski

Marta Tarabuła, krytyk sztuki, w czasie dyskusji po wernisażu zwracała uwagę, że modernizm i postmodernizm, zrywając z tradycją, odnoszą się do wszystkiego z ironią. – Nie zazdroszczę artystom, którzy się do tego zabrali, ponieważ muszą oni odrzucić wszystkie szumy stylistyczne i stanąć w prawdzie wobec takiego wyzwania – komentowała. Tak tłumaczył sobie wyzwanie malowania obrazu Wojciech Głogowski, przyznając, że zaproponowanie czegoś nowego wymaga od malującego takiej oto postawy: – Myślę, że aby temat dobrze zacząć, trzeba spotkać Pana Jezusa. – Malarzowi prof. Jarosławowi Modzelewskiemu towarzyszyło poczucie przerażenia. – Akt malowania jest bezmyślny, zmysłowy. Choć sprawa wymagała namysłu – przyznaje. By namalować twarz, robił szkice, raczej ikonograficzne, także wzorując się na wizerunku Jezusa z Manoppello. Malarka Beata Stankiewicz opowiadała, że to obraz, który malowała najdłużej, ponad trzy miesiące. Na początku obstawiła się wszystkimi wizerunkami Jezusa Miłosiernego, które istnieją, a potem je szybko schowała i została wyłącznie z siostrą Faustyną i jej opisami.

22 lutego 1931 r. w Płocku 26-letnia siostra pochodząca z Głogowca otrzymała w swojej celi wizję: „Jedna ręka wzniesiona do błogosławieństwa, a druga dotykała szaty na piersiach. Z uchylenia szaty na piersiach wychodziły dwa wielkie promienie, jeden czerwony, a drugi blady". Na kartach „Dzienniczka" znajduje się łącznie 19 fragmentów mówiących o Jezusie objawiającym się jej w postaci z obrazu. Wszystkich opisów jest – jak wyliczyła dr Izabela Rutkowska – 197. Głównym bohaterem jest nie tylko postać Jezusa, lecz także same promienie – najważniejszy atrybut objawienia.

– Dlaczego użyłam bieli w tle? Chodziło za mną zawsze zdanie zawarte w *credo* „Bóg z Boga, światłość ze światłości". Więc uznałam, że postać zmartwychwstałego Chrystusa wychodzi z innego wymiaru, ze światła – relacjonowała Beata Stankiewicz.

Obrazem, który od razu przykuwa uwagę, jest wizja brata Jacka Hajnosa OP. Realistyczna i rozwijająca tę najbardziej rozpowszechnioną. Jego Chrystus bezpośrednio patrzy, jakby wyłaniając się zza mrocznej kurtyny, choć na pierwszym planie dominuje silna, przenikająca wszystko światłość promieni. Obrazy trafią do kościołów. Siedem z dziesięciu do świątyń diecezji warszawsko-praskiej.

NAMALOWAĆ TAJEMNICE RÓŻAŃCA

Projekt „Namalować katolicyzm od nowa" przewidziano na kolejnych 20 lat. Przez dwie dekady, rok w rok mają powstawać obrazy inspirowane tajemnicami różańca. – Już teraz zaczynają się prace nad „Zwiastowaniem". Spotykamy się w Tyńcu, gdzie będziemy słuchać wykładów, teologów, biblistów i historyków sztuki, by poukładać sobie, jak temat ten był rozwijany – informuje Dariusz Karłowicz.

Fot. Wojtek Wieteska/Fundacja Świętego Mikołaja (3x)

eprasa.pl 1fa3695ca6

Fot. Sergei Elagin/Shutterstock.com

Obrona wolności słowa to jedno z największych wyzwań, przed którymi stają dziś wolni obywatele. Powszechnie zaprowadzona, niby w imię demokracji i swobód, cenzura w rzeczywistości służy kontrolowaniu ludzi i narzucaniu jedynie słusznej, postępowej wizji świata, którą mają jego właściciele i władcy. Głównym polem bitwy stała się sieć internetowa, bo do niej przeniosła się informacja i u swoich początków była miejscem jak dawna ateńska Agora, gdzie można było toczyć spory polityczne i mówić, co się chciało

Słowo w niewoli

DARIUSZ MATUSZAK

Nowy właściciel Twittera Elon Musk wkroczył do siedziby firmy, niosąc zlew, co zapewne miało symbolizować oczyszczenie, spłukanie brudnych porządków w nim panujących i ludzi, którzy za nie odpowiadali. Jedną z pierwszych osób, które przekonały się, co znaczy „sink" (po angielsku to nie tylko zlew, ale i topienie) była główna cenzorka i oficer polityczna Twittera Vijaya Gadde, która dbała o światopoglądową czystość firmy i o to, co kto może pisać i czytać. Tacy oficerowie polityczni na kształt dawnych sekretarzy PZPR w PRL-owskich zakładach pracy są niemal w każdej dużej korporacji. To oni pilnują, by pracownicy mieli słuszne poglądy np. na temat ideologii LGBT+, tak jak to było w przypadku Ikei w Polsce.

To Gadde nałożyła cenzorski zapis na urzędującego jeszcze prezydenta Trumpa i kazała całkowicie zablokować jego konto. Analogicznie jak w PRL, gdzie zapis cenzorski nakładał Główny

eprasa.pl 1fa3695ca6

Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, ówczesny Wielki Brat – konkretne osoby, niezależnie od tego, co akurat miałyby przekazać, nie mogły niczego publikować czy też publicznie głosić albo pokazywać. Przypadek Twittera, a także Facebooka, YouTube, pokazują, że w mediach społecznościowych są stosowane dokładnie te same metody jak w Polsce za komuny.

PTASZEK NA UWIĘZI

Oficer polityczna Gadde była jedną z pierwszych osób, które zwolnił Musk, gdy zaczął robić porządki w miejscu całkowicie opanowanym przez lewicową sektę. Jakim innym określeniem oddać stan ducha i umysłów w firmie, w której 99,97 proc. pracowników poparło w ostatnich wyborach demokratów – wiemy to z zestawu wpłat na konto kampanii. Ku zgrozie światowej lewicy Twittera przejął człowiek o poglądach nieprawidłowych. Niewola słowa jest zagrożona, bo być może ekscentryczny miliarder pozwoli ludziom pisać, co chcą, a nie wyłącznie to, co się podoba siewcom postępu. Przystąpili więc do kontrakcji.

Pierwsi zew ponieśli pobudzeni ideologicznie celebryci – gwiazdy Hollywood, muzyki telewizji, zapowiadając rezygnację z Twittera. Potem przyszła kolej na działania polityczne. Prezydent Biden już zapowiedział, że zostanie dokonana analiza powiązań Muska z zagranicznymi partnerami, a zwłaszcza z Arabii Saudyjskiej. Komisarz UE ds. rynku wewnętrznego Thierry Breton napisał, że ptaszyna – symbolem Twittera jest ćwierkający wróbelek – będzie w Europie latać tak, jak chcą eurokraci, czyli na uwięzi. Dalej do akcji przystąpili oficerowi polityczni ze światowych koncernów. Global Alliance for Responsible Media, czyli Globalne Stowarzyszenie na rzecz Odpowiedzialnych Mediów, wezwało światowe korporacje do zaprzestania reklamowania się na Twitterze. Zadaniem utworzonego przez Światową Federację Reklamodawców stowarzyszenia jest zwalczanie szkodliwych treści na platformach mediów cyfrowych. W PRL niczym innym jak tylko walką z owymi szkodliwymi treściami zajmowali się cenzorzy z głównego urzędu kontroli myśli przy ul. Mysiej w Warszawie. Cenzorski czyn podjęła też słynąca z uczciwości grupa Volkswagen, która nie będzie reklamować swoich marek na Twitterze. W Polsce odpowiedni list gorliwie wysłało do swoich klientów Mediabrands – mediowe ramię jednej z największych grup reklamowych świata IPG.

Akcja bojkotowania Twittera jest zorganizowana i ma na celu zniszczenie go finansowo albo doprowadzenie do tego, by nieprawidłowy Musk oddał go komuś prawidłowemu i by ten znów zaprowadzał cenzurę i dbał o to, by 99,97 proc. pracowników też było prawidłowych i wspierało demokratów. Podobnie niszczono i uniemożliwiano rozwój komunikatora Parler, który powstał w konkurencji do Twittera, po tym jak usunięto konto Trumpa. Użyto też metod technologicznych. Amazon, Apple zablokowały możliwość pobierania aplikacji, wielkie firmy IT odmówiły hostingu serwerów itd.

To są działania na wielką skalę. Na mniejszą doświadczają ich wszyscy użytkownicy sieci. Z dnia na dzień znikają konta, wpisy i całe redakcje. Wielcy cenzorzy z Doliny Krzemowej decydują o tym, co można zamieszczać, z czym się zapoznać. Ich regulaminy, algorytmy wykuwają stan świadomości. Konserwatyści, prawicowcy nie mają prawa istnieć.

SOJUSZ TRONU I MIKROFONU

Proces zniewalania słowa trwał od dawna, teraz nabiera tylko przyspieszenia. Wszytko odbywa się nie tylko za przyzwoleniem, ale ze wsparciem świata polityki, wielkich korporacji, w tym mediowych. We Francji ustanowiono już cenzurę pełną gębą. To tzw. ustawa Avia, od nazwiska deputowanej Laetitii Avii z partii Odrodzenie prezydenta Macrona. Zgodnie z tym prawem wyszukiwarki, portale, media społecznościowe mają usuwać z sieci wszelkie treści nienawistne, zawierające zniewagi, rasistowskie itd., które zostaną zgłoszone przez użytkowników. Kto to ci owi użytkownicy? To francuscy tzw. niezależni weryfikatorzy faktów, tak jak w Polsce opłacany przez zagraniczne rządy Demagog, członkowie słusznych ideologicznie partii, specjalnie oddelegowani donosiciele z mediów „cieszących się autorytetem", działacze wszelkich organizacji na rzecz tego czy tamtego itd.

Od wiosny 2021 r. działa też we Francji specjalna agencja zajmująca się zwalczaniem dezinformacji powielanej także przez media zagraniczne. Im również prezydent Macron pogroził, mówiąc: „Te same zasady muszą dotyczyć mediów zagranicznych, które otrzymały pozwolenie na działalność we Francji. Musimy nauczyć się chronić przed zagraniczną ingerencją". Wyobraźmy sobie wrzask, jaki podniósłby się w Polsce i Europie, gdyby prezydent Duda oznajmił coś takiego. W tej samej Francji wprowadzono karę 30 tys. euro grzywny i dwóch lat więzienia za podawanie informacji mogących zniechęcać do aborcji.

W Niemczech na właścicieli i administratorów portali społecznościowych, którzy nie usuną treści tekstów zawierających mowę nienawiści i nieprawdziwe informacje, można nałożyć grzywny w wysokości 5 i 50 mln euro grzywny – w zależności od stopnia uporczywości. W Wielkiej Brytanii w więzieniu za sianie tzw. mowy nienawiści ląduje kilkaset osób rocznie.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie pierwsza poprawka do konstytucji gwarantuje pełną wolność słowa, nie da się administracyjnie, centralnie zaprowadzić takich porządków. Tam o właściwy przekaz dbają rozproszeni cenzorzy mediów społecznościowych, uzbrojeni w swoje algorytmy i regulaminy. W starciu z tymi potężnymi machinami użytkownicy mediów są bezradni.

To wszytko odbywa się z wielką aprobatą tradycyjnych mediów. Dawny sojusz ołtarza i tronu dziś zastąpił sojusz tronu i mikrofonu. Korzyści są obopólne. W medium, gdzie 99,97 proc. ludzi wspiera jedną partię, panuje szczególna pasja do wycinania przeciwników. W czasie ostatniej kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych w tradycyjnych mediach 95 proc. informacji na temat republikanów miało wydźwięk negatywny. Internetowym gigantom zależy na utrzymaniu swojej uprzywilejowanej pozycji, a to zapewnia przychylna władza. W 1995 r., by wesprzeć rozwój sieci, wprowadzono przepisy, iż firmy dostarczające platformy w internecie działają na takich zasadach jak firmy infrastrukturalne. Nie odpowiadają więc za treści przekazywane za ich pośrednictwem podobnie jak operator telefoniczny za to, o czym gadamy przez

eprasa.pl 1fa3695ca6

telefon. Nie tylko nie może tego sprawdzać, jak robiła to junta Jaruzelskiego – słynne „rozmowy kontrolowane" – ale też odmówić świadczenia usługi, czyli odłączyć numer. Dokładnie tak samo miało być w przypadku firm internetowych. Inaczej z wydawcami, którzy decydują, co i kogo publikują, a także ponoszą odpowiedzialność. Tymczasem Facebook, Twitter czy Google ze swoim YouTube decydują, kto i co może publikować, ale tak jak spółki infrastrukturalne nie ponoszą odpowiedzialności za treść przekazu. Robią, co chcą, mogą nawet komuś z dnia na dzień zniszczyć latami budowany biznes.

A tradycyjne, potężne media, które działają też w internecie, pilnują, by nie wyrosła im konkurencja. Każda opinia, zdanie, publikacja w sieci autorstwa wolnego obywatela czy niezależnego, nawet niszowego medium odbiera im pieniądze. Im jest gorzej w internecie, im nudniej na portalach, których nie kontrolują, im mniej ludzie z sobą dyskutują, tym dla nich lepiej, bo chodzi o to, żeby czytać tylko to, co one piszą, gdyż w ten sposób zarabiają. Czas poświęcony na inne media niż te uznane i prawidłowe to dla nich utrata pieniędzy. To u nich bowiem mają migotać reklamy i bić licznik. Gdzie zostaną przekierowane pieniądze z reklam, które były publikowane w teraz już nieprawidłowym Twitterze? Do prawidłowej, prawomyślnej konkurencji.

Cenzura zawsze jest zaprowadzana z troski o obywatela. Czy komuś wydaje się, że PRL-owski urząd kontroli słowa i świadomości oznajmił, że cenzuruje, bo walczy z opozycją, nieprawomyślnymi treściami i obywatelskimi wolnościami, by PZPR po wsze czasy rządziła? Niby co mieliby powiedzieć władcy Francji? Jaką prawdę: że cenzurują, by nie dopuścić do władzy Zjednoczenia Narodowego?

CO WOLNO KOWALSKIEMU

To na potrzeby nowej cenzury puszczono w obieg nowe pojęcia, jak „fake news" i „mowa nienawiści". Jeszcze niedawno ich tak naprawdę nie znaliśmy. Co się więc takiego stało? Nie jesteśmy gorsi niż 10 lat temu. Ot, władcy i właściciele świata zorientowali się, że jest internet – nowa przestrzeń, w której każdy może głosić, co chce. Bariera wejścia na tradycyjny rynek mediowy jest zbyt wysoka dla małych graczy, a tu nagle okazuje się, że minimalnym kosztem jakiś nieprawidłowy Kowalski zakłada konto, otwiera kanał na YouTube, głosi, co chce, i – o zgrozo – jest bardziej czytany i oglądany niż potężne media. Byłego zapaśnika i komentatora sportowego oglądają i słuchają na Spotify miliony ludzi – 10 razy więcej niż nabzdyczoną, chylącą się ku upadkowi CNN. I w Polsce w sieci pojawiły się podobne gwiazdy. Trzeba więc niszczyć konkurentów. Nie może być też tak, że jakiś nieprawidłowy Musk namawia do głosowania na republikanów. Cenzura może odpuścić sobie media tradycyjne. Papier odchodzi, tradycyjna telewizja linearna wymaga wielkich inwestycji, więc oczywiście walka z wolnością słowa przebiega głównie w sieci.

> Wielcy cenzorzy z Doliny Krzemowej decydują o tym, co można zamieszczać, z czym się zapoznać. Ich regulaminy, algorytmy wykuwają stan świadomości. Konserwatyści, prawicowcy nie mają prawa istnieć

Oczywiście chodzi też o to, by kłamać i zmyślać mogły tylko owe dopuszczone media, a nie jakiś tam zwykły Kowalski. Reszcie trzeba obciąć zasięgi, tak jak to robią media społecznościowe i giganci internetu. Pisać i pokazywać to wy, Kowalski, możecie, jak upiekliście ciasto ze śliwkami, że kotek napsocił i o tym, że na wycieczce w Radomiu byliście. Reszta ma być zarezerwowana dla dotychczasowych władców serc i umysłów.

Przyszłość swobody słowa, wymiany myśli, dyskusji jest zagrożona jak nigdy. Solon, jeden z założycieli ateńskiej demokracji, który z placu Agora uczynił miejsce wolności słowa, uważał, że ci którzy nie chcą dyskutować, uniemożliwiają wymianę poglądów, powinni być karani. Dziś jest dokładnie odwrotnie. Przez 30 lat wolnej Polski taki Korwin-Mikke mógł sobie głosić, co mu się żywnie podobało – raz mądrze, raz zwykłe brednie, a nawet niegodziwości – i żyliśmy z tym, dobrze się z naszą wolnością słowa mając. Dopiero musieli przyjść Amerykanie ze swoim Facebookiem, by nauczyć nas, czym jest postępowa wolność słowa i skasować Korwina-Mikke. Wymazano go do cna jak Jeżowa ze zdjęć ze Stalinem. I tysiące komentarzy, spotów dyskusji.

Tak naprawdę to nie on jest ofiarą cenzury, tylko my. Nie chodzi o Korwina czy jakąś tam zdziwaczałą Konfederację. Nie chodzi też o byty polityczne, które rozumieją, że Konfederację wyrżnięto, a wkrótce je także może spotka taki sam los. Chodzi o nasze prawa. Wszystkim się odbiera wolność słowa. Także tym, którzy nie piszą, nie mówią, lecz tylko czytają i słuchają. Jakiś czas temu brałem udział w dyskusji o wolności słowa. Jednym z uczestników był Jerzy Kisielewski, który opowiadał, jak jego ojciec Stefan musiał walczyć z cenzurą PRL. Ale znów – to nie Kisiel był tak naprawdę ofiarą, tylko całe społeczeństwo pozbawiane jego książek i pism.

Wolność słowa, którą przed wiekami tak bardzo rozumiał i cenił Solon, jest istotą demokracji. Jej solą. Bez dyskusji, wymiany poglądów, choćby głupich i niebezpiecznych, nie można dokonywać wyborów. I to nie tylko w sensie głosowania na jakieś partie, ale też postaw w życiu. Dziś wygląda tak, że ma być jeden pogląd, jedna postawa. Świat skamieniały, bez fermentu, z jedną słuszną ideą, nawet jeśli rozpisać ją na setki sposobów: postępującego postępu, coraz równiejszej równości, klimatyzmu, LGBT+ z wieloma dodatkowymi literami i co tam jeszcze. Inne wizje, poglądy mają w przestrzeni nie istnieć. Co najwyżej pod celą, jak proponuje poseł Krzysztof Śmiszek, który obwieścił, że za homofobię (co za kuglarski termin) trzeba do więzienia wsadzać. Ma być tylko homochwalba.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Polska szkoła historii

W Pradze odbył się festiwal filmowy Nezlomní a Obětovani (Niezłomni i Ofiarowani). Czesi nie ukrywają, że wzorowali się na gdyńskim Festiwalu Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci, a polskie podejście do kultywowania pamięci bardzo im imponuje

MARCIN WIKŁO

Symboliczne, prawda? – czeski historyk dr Petr Blažek wprowadza nas na okazały cmentarz Diablicki. Chodzi mu o nazwę nekropolii, którą wymyślili komuniści, a której na język polski tłumaczyć nie trzeba. – Wieźli ich tutaj do samego diabła. I zrzucali do zbiorowych dołów pod murem, jakby do piekła – opowiada Petr. „Oni" to w tej opowieści pojęcie bardzo szerokie. Z jednej strony mamy oczywiście komunistycznych oprawców, a także niemieckich okupantów z czasu II wojny światowej. Z drugiej – to ich ofiary. Podobieństwo do warszawskiej kwatery „Ł" na cmentarzu Powązkowskim jest uderzające.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Różnica zasadnicza jest jedna. Czesi jeszcze nie uporali się z ekshumacjami i wciąż szukają sposobu, jak o tych mordach opowiadać.

FESTIWAL ROŚNIE

– W Czechach jest zainteresowanie historią, ale do tej pory brakowało instytucji, która zajęłaby się tym obszarem na poważnie i miała ku temu możliwości. Były w ostatnich latach festiwale filmowe, ale raczej skupione na filmach artystycznych. A w Polsce widzieliśmy eksplozję kina historycznego – mówi Maciej Ruczaj, dyrektor Instytutu Polskiego w Pradze, który od początku wspiera festiwal Nezlomní a Obětovani.

Rzeczywiście, czeski odpowiednik naszego IPN to instytucja marginalna. Dopiero powstałe niedawno Muzeum Pamięci XX Wieku ma szansę coś zmienić. Ma wsparcie władz stolicy i choć jeszcze nie ma stałej siedziby (budynek już przyznano, jest w remoncie), to już prowadzi prace edukacyjne, a organizację festiwalu ma wpisaną do statutu jako jeden z głównych elementów misji. Osoby zaangażowane w budowę muzeum jeździły po Europie, liczna grupa była także na zaproszenie MSZ w Polsce. Zwiedzili m.in. Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin", więzienie przy ul. Rakowieckiej, w Gdańsku Muzeum II Wojny Światowej i Europejskie Centrum Solidarności, a w Gdyni Muzeum Emigracji. – To była dla nas bardzo duża inspiracja, polskie muzea narracyjne powinny być wzorem dla wszystkich – przyznaje Petr Blažek, który w Muzeum Pamięci XX Wieku pełni funkcję kierownika działu edukacji historycznej.

– Nie ukrywam, że jestem dumny, że nasza impreza stała się punktem odniesienia dla Czechów. To ważne, że chcą odkrywać swoją historię – mówi Arkadiusz Gołębiewski, dyrektor Festiwalu NNW. – Petr Blažek jest w Gdyni stałym gościem, jakiś czas temu ogłosił, że chce zrobić festiwal u siebie i dzięki grupie podobnych do siebie pasjonatów dokonał tego – dodaje.

Warsztaty filmowe dla uczniów z udziałem Arkadiusza Gołębiewskiego, Olgi Sommerovej i Pavla Štingla

Na pewno zwraca uwagę i napawa optymizmem to, że festiwal Nezlomní a Obětovani jest efektem pracy, w którą włącza się wiele środowisk. – W radzie programowej jest 18 osób reprezentujących szkoły, uczelnie, archiwa, instytuty wojskowe i historyczne. Do tego osobowości filmowe. To jest siła tego festiwalu – mówi Petr Blažek.

Praska impreza jest skromna, to dopiero trzecia edycja. Z powodu pandemii pierwsza odbyła się online, ubiegłoroczna i obecna już stacjonarnie. Przypomina się to, co kilka lat temu działo się w Gdyni na Festiwalu NNW. Kino z jedną salą, skromne biuro na antresoli, po drugiej stronie foyer miejsce, w którym można ustawić krzesła i zorganizować panel dyskusyjny. Bo poza filmami to oczywiście dyskusje i warsztaty dla młodzieży. 17-, 18-latkowie z klas o profilu technicznym i filmowym są zasłuchani, gdy o tym, jak powstaje film dokumentalny, mówią im Arkadiusz Gołębiewski oraz czescy filmowcy Olga Sommerová (profesor praskiej szkoły FAMU, była poseł do parlamentu) i Pavel Štingl, reżyser wielu filmów dokumentalnych. Ten ostatni teraz sam buduje muzeum w miejscu dworca kolejowego Praha-Bubny, z którego wywożono Żydów do obozów koncentracyjnych.

KTO JEST BOHATEREM?

Jeśli komuś wydaje się, że rozmowa o bohaterach i bohaterstwie w Polsce jest skomplikowana, to w Czechach meandry tych sporów są jeszcze bardziej kręte. – Jesteśmy bardzo przywiązani do bohaterów, których można by określić biernymi. Jeśli ktoś aktywnie uczestniczył w walce i przy tej okazji kogoś zabił, nawet jeśli to okupant, już jest oceniany niejednoznacznie – mówi mi jeden z rozmówców, których spotykam na festiwalu w Pradze. Czesi sami o sobie mówią, że są i byli pragmatyczni, co nie zawsze jest do zaakceptowania przez znanych z temperamentu Polaków.

Dobrze jest więc oceniany Jan Palach, student, który w 1969 r. spalił się na pl. Wacława, w centralnym punkcie czeskiej stolicy, w proteście przeciwko agresji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Gdy pytam Czechów o braci Ctirada i Josefa Mašínów, którzy w 1951 r. stworzyli antykomunistyczny oddział zbrojny, rozmowa robi się kłopotliwa. Dla nich to trochę bohaterowie, a trochę watażkowie, którzy co prawda

eprasa.pl 1fa3695ca6

Cmentarz Diablicki w Pradze, miejsce pochówku ofiar komunizmu nazywane „praską łączką”

zwalczali komunistów, ale też znaczyli swój szlak ofiarami śmiertelnymi. Po ucieczce do Berlina Zachodniego zostali przerzuceni do USA. Ctirad już nie żyje, Josef mieszka wciąż za oceanem. W 2017 r. był gościem Festiwalu NNW, odebrał też odznaczenie w Brukseli, ale do Czech nigdy nie przyjechał. – Historycy domyślają się, bo oficjalnie nikt nie zapytał, że chodzi o brak jednoznacznego zrehabilitowania Mašínów przez rządy, które nastąpiły po upadku komunizmu – opowiada dr Blažek, autor książki o braciach, co do których on osobiście nie ma żadnych wątpliwości. To jego bohaterowie.

Tegoroczny festiwal Nezlomní a Obětovani miał temat przewodni, to operacja Anthropoid, czyli zamach z 1942 r. na mianowanego przez Hitlera protektora Czech i Moraw Reinharda Heydricha. Bohaterska akcja dwóch cichociemnych: Czecha Jan Kubiša i Słowaka Jozefa Gabčika, to istotnie doskonały materiał na film. Powstało ich zresztą wiele. Podczas festiwalu można było je obejrzeć, ale – co ciekawe – największą frekwencję miały projekcje materiałów archiwalnych, których zazwyczaj w telewizji ani w kinach się nie pokazuje.

> Jeśli komuś się wydaje, że rozmowa o bohaterach i bohaterstwie w Polsce jest skomplikowana, to w Czechach meandry tych sporów są jeszcze bardziej kręte

PODOBNE SYMBOLE

Te wszystkie historie łączą się (czasem dosłownie) na cmentarzu Diablickim. To tutaj, gdzieś w bezimiennych dołach, są pochowani zamachowcy na Heydricha, a także matka braci Mašínów. Zdeňka Mašínova, żona gen. Josefa Mašína starszego, to ofiara komunistycznych oprawców z 1956 r. Działała na rzecz uwolnienia więźniów politycznych, m.in. Milady Horákovej, a aresztowano ją i skazano na 25 lat więzienia za rzekome szpiegostwo. A tak naprawdę za konspiracyjną działalność synów. Mimo ciężkiej choroby komuniści przez 12 miesięcy trzymali ją nago w celi, gdzie spała na kamiennej posadzce.

Kwatery bezimiennych na cmentarzu Diablickim są podzielone przystrzyżonymi żywopłotami. Nieopodal stoi pomnik poświęcony ofiarom komunizmu. To obelisk z rękami rozrywającymi kolczaste druty. W równych kwadratach kamienne płyty z nazwiskami. Jeszcze nieodnalezieni, ale wiadomo, że tutaj są. Niektórzy być może nie do zidentyfikowania mimo wskazania miejsca. Nie tylko dlatego, że wciąż bardzo brakuje materiału DNA od krewnych. Czeski duchowny Jan Bula został zabity w 1951 r. po sfingowanym procesie, w którym komuniści próbowali udowodnić, że brał udział w zamachu na urzędników. Zastrzelono go, a ciało spalono. Czy leży tam urna z prochami, czy rozrzucono je wśród innych kości? Większość ofiar rozstrzelano albo ścięto gilotyną.

Diablice jesienią to miejsce zasypane liśćmi. Może wydać się wręcz urocze, do momentu, gdy zdamy sobie sprawę, że pod stopami mamy doły, w których leżą setki ofiar. Były już pierwsze próby rozwikłania tej zagadki. Dokumentów nie ma, komuniści je zniszczyli. Po pracach sondażowych wiadomo, że szczątki ofiar są położone piętrowo, jedne na drugich, warstw może być nawet osiem lub dziewięć. Ale o wejściu tutaj archeologów na razie nie ma mowy.

Gdy wychodzimy z cmentarza, słychać warkot dmuchaw, porządkowi odgarniają liście. Chcemy nagrać film, prosimy, by na chwilę przestali. Nie ma mowy, mają pracę do wykonania. Znów wracają obrazy z Łączki i innych miejsc, w których poszukiwania prowadził IPN. Znając polską drogę, wiemy, że to praca, w której nie można zatrzymać się w pół drogi i zadowolić kwaterą, która jest ładnie uporządkowana, ale kryje makabryczną tajemnicę. No, ale wtedy zaczęłaby się zapewne kolejna trudna rozmowa o przeszłości, a to już specjalność polska, a nie czeska.

Fot. M. Czułko (4x)

eprasa.pl 1fa3695ca6

Czas na finał

Lekarz neurolog, budowlaniec specjalizujący się w betonie, rockman, który dla muzyki porzucił ekonomię, a może studentka z Wilna? Czy 13. edycję „The Voice of Poland" wygrał Konrad Baum, Dominik Dudek, Łukasz Drapała czy Ewelina Gancewska?

Fot. TVP

eprasa.pl 1fa3695ca6

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Gdy zamykaliśmy to wydanie tygodnika, każdy z finalistów muzycznego hitu TVP miał jeszcze szansę na zwycięstwo. Tekst ukaże się, gdy sprawa będzie już rozstrzygnięta. Tytuł najlepszego głosu w Polsce, statuetkę, kontrakt fonograficzny oraz 50 tys. zł odbierze jedno z czworga intrygujących i już dziś rozpoznawalnych uczestników 13. edycji „The Voice of Poland".

Panowie mają mocne lub wpadające w ucho zestawienia imion z nazwiskami. Przypomnijmy: Konrad Baum, Dominik Dudek, Łukasz Drapała. Do tego dochodzi wyrazisty, przemyślany wizerunek. Filigranowa Ewelina Gancewska przykuwa uwagę nie tylko wokalnymi zdolnościami. Wszyscy są ciekawymi ludźmi. Przyjrzyjmy się im.

NERW WIKINGA

Konrada Bauma trudno nie zauważyć. Mocna sylwetka i taki chód. Do tego tatuaże, zarost, strój. Zafascynowanie wikingami zaznaczył na własnym ciele m.in. charakterystycznym rysunkiem młota czy wypisanymi runami imionami dzieci. Jak czytamy na stronie „The Voice of Poland", kolekcjonuje też związane z nordycką tematyką gadżety, książki, ogląda filmy i przez całą Polskę (pochodzi z Lublina) jeździ na coroczne zloty wikingów na wyspie Wolin.

Pracuje jako neurolog. Mówi, że w zawodzie lekarza kocha najbardziej kontakt z pacjentem oraz to, że ta praca jest kompletnie nieprzewidywalna. To zawód pełny ciężkich chwil, ale też dający mnóstwo satysfakcji.

Muzyka to jeszcze jedna jego pasja. W 2014 r., wraz z kolegą lekarzem (basistą) założyli zespół DOC. Oprócz medyków grupę tworzą też: bankowiec i przedstawiciel handlowy. Grają blues-rocka z elementami jazzu i popu. W 2017 r. ich płyta podbiła Podkarpacie. Koncertują w całym kraju. Jako support występowali na jednej scenie m.in. z Markiem Piekarczykiem. To jego drużynę wybrał Konrad Baum.

CHŁOPAK Z BETONU

Tajniki budowlanki nie są mu obce, fizyczna praca również, ale zawsze działa w rękawiczkach. Dominik Dudek chroni dłonie. Służą mu też do gry na gitarze (akustycznej, elektrycznej, basowej), pianinie i perkusji. W zespole Redford, który stworzył z przyjaciółmi, jest wokalistą.

Pochodzi z Pasierbca w gminie Limanowa, na co dzień mieszka w Krakowie. Ponoć ma tak dużą rodzinę, że nie potrafi zliczyć całego swojego kuzynostwa. Większość członków familii muzykuje, więc rodzinne spotkania to też wspólne granie i śpiewanie. Przede wszystkim lokalnej muzyki. Podobno dopiero przyjaciele z Akademii Muzycznej w Katowicach, gdzie studiował, otworzyli mu uszy i serce na inne gatunki niż folk. Wielką inspiracją stał się dla niego brytyjski zespół Coldplay. Dominik zaczął komponować i nawet nagrał płytę zaproszony do studia przez Edwyna Collinsa, byłego muzyka Joy Division. Niestety, krążek nie odniósł sukcesu. Liczy, że „The Voice of Poland" otworzy przed nim nowe możliwości. Ma wielkie wsparcie od widzów, dziewczyny lekarki, rodziny oraz trenerów Tomsona i Barona. Wizerunkowy znak rozpoznawczy to dzianinowa czapeczka.

NA DUŻĄ SCENĘ

Z wykształcenia ekonomista i historyk, z życiowego wyboru i pasji – doświadczony w branży muzyk, który chce wreszcie trafić do szerszej publiczności. Ma na to wielkie szanse, bo z odcinka na odcinek udowadniał muzyczny talent, możliwości, moc i determinację.

Łukasz Drapała współpracuje na co dzień z trzema muzycznymi grupami – jest liderem rockowego zespołu Chemia, formacji Łukasz Drapała & Chevy oraz Orkiestry Szlaku Śląskiego Bluesa. Pracuje również nad materiałem solowym.

Życie upływa mu w trasie, ale kiedy tylko może, pomaga żonie w prowadzeniu firmy marketingowej. Ma dwóch synów – 10-letniego Leonarda i 2-letniego Igora. Mieszka w Warszawie. Reprezentuje drużynę Lanberry.

GŁOS Z OSTREJ BRAMY

Finał „The Voice of Poland" postawił ją w konfiguracji, którą zna od lat. Ona jedna i ich trzech. W prywatnym doświadczeniu pochodząca z Wilna Ewelina Gancewska jeszcze przed narodzinami nauczyła się dzielić życiową przestrzeń z trzema braćmi – Augustynem, Robertem i Danielem. Każde z czworaczków jest utalentowane i wykształcone muzycznie. Tworzą zespół 4+.

Tradycja wspólnego muzykowania, jak podkreśla na stronie „The Voice of Poland" Ewelina, jest przekazywana w jej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Podobnie jak miłość do Polski i języka polskiego. Zespół założony z braćmi chętnie występuje na folkowych, patriotycznych i religijnych imprezach.

Szczególne miejsce dla Eweliny stanowi kaplica w Ostrej Bramie. Tu została ochrzczona, tu śpiewa podczas uroczystości, a także wraca w ważnych momentach, by pomodlić się i podziękować za otrzymane dary. Najmłodsza z finałowej czwórki 13. edycji „The Voice of Poland", urodzona w 2001 r., studiuje śpiew w Litewskiej Akademii Muzyki i Teatru oraz psychologię pedagogiczną. Jej trenerką jest Justyna Steczkowska.

Fot. TVP

eprasa.pl 1fa3695ca6

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Smutek po martwym Kordianie

TVP wystawiła „Kordiana" Juliusza Słowackiego. Format tego teatru to niespełna półtorej godziny. Ostatni sławny „Kordian" – w wersji Jana Englerta (Teatr Narodowy, 2015) – trwał dwie. Zbigniew Lesień wykorzystał godzinę i 15 minut. Jeśli motywem tego ściśnięcia były reguły ramówki, to bolesne. Zarazem w Roku Romantyzmu Polskiego to jedyna inscenizacja tego kiedyś tak ważnego dla nas tekstu.

Czy dostaliśmy pełnokrwistego „Kordiana", czy wypisy z niego? Lesień zrobił spójny, po części kręcony w plenerach, spektakl, miejscami zbyt zdawkowy, miejscami sugestywny. Mimo wszystko żal mi różnych subtelności. Jednocześnie to chyba „Kordian" dość zrozumiały, nawet dla mało zapatrzonych w historię i literaturę. Pytanie, czy można to było osiągnąć bez przekształcenia go w migawkę, krótkie wspomnienie o tragicznym młodym Polaku.

Zmienił Lesień kolejność scen. Zaczyna się niby jak oryginał – w piekle, na progu epoki romantyzmu. Piekle przedstawionym tu jako salon. To Englert zastanawiał się, co oznaczają te diabelsko-boskie inicjatywy. Czy to apoteoza, czy potępienie insurekcyjnych uniesień? Chyba ani jedno, ani drugie. Ale potem od razu Wielki Książę Konstanty walczy w mocno skróconej awanturze z Carem o życie Kordiana – to scena niemal z finału. Nasz bohater zostaje rozstrzelany, choć Słowacki tego nie rozstrzygnął. Już martwy, wspomina...

Więc oglądamy porażkę Kordiana przekonującego innych spiskowców do zabicia Mikołaja i jego samotną wędrówkę pod carską sypialnię. Miotanie się w Warszawie 1829 r., kiedy koronowano Mikołaja II na króla Polski, jest przeplatane scenami dawniejszymi. Starcie z interesowną Wiolettą, flirt z Laurą czy opowieść sługi Grzegorza o dawnych bohaterach stają się ledwie mgnieniami.

Kilka kawałków brzmi tu mocno – pulsowanie racji podczas sporu o to, czy zabijać Cara, drwiny Doktora-Szatana z romantycznych uniesień w szpitalu wariatów. Zdania, które Kordian w dramacie wypowiada przed nieudanym samobójstwem, tu padają w obliczu egzekucji. To skądinąd wyraz ciekawych rozterek religijnych Słowackiego tak mocno związanego z chrześcijaństwem, a jednak każącego swojemu bohaterowi wątpić w życie wieczne. Nie ma sławnego monologu z Mont Blanc. Kawałki padają najpierw w katedrze podczas koronacji (Kordian jest jej świadkiem), a potem w monologu niejako już „pośmiertnym".

Powtarzam, jest spójnie i racjonalnie, ogląda się to jak zręczny traktat polityczny w rytmie niepokojącej muzyki Tadeusza Woźniaka. Wstrząsająca jest scena, w której Konstanty tańczy do Mazurka Dąbrowskiego. Dla mnie to wręcz przyczynek do dyskusji o XIX-wiecznych powstaniach. To z listopada 1830 r. było nieprzemyślaną improwizacją młodzieży. Ale czy polska mentalność i kultura mogły – i czy powinny – bezkonfliktowo koegzystować z rosyjskim duchem?

Zarazem szkoda mi rozwichrzenia rodem z Mont Blanc. Czy wyrastamy z poezji? W tym ujęciu Kordian Filipa Kosiora może pozostać tylko poprawny, odarty z części uniesień. Brylują za to: Maciej Tomaszewski jako Car i Cezary Pazura jako Wielki Książę, fizycznie niepodobni, ale sugestywni. To też rewia etiud starszych aktorów: Daniela Olbrychskiego (Przybysz od pieśni „pijcie wino"), Stanisława Brudnego (Grzegorz), Leszka Teleszyńskiego (Prezes), Zdzisława Wardejna (Ksiądz), Krzysztofa Wakulińskiego (Doktor). To paradoks takiego ujęcia dramatu o niepokornej młodości.

Ale nawet taki ściśnięty „Kordian" pozostawił mnie z fundamentalnym smutkiem. Może i dlatego, że konfrontacja Kordiana z Papieżem, tu przerzucona prawie na koniec, tak bardzo kojarzy się z obojętnością Franciszka wobec tragedii Ukrainy.

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

Materialność ducha

ROBERT TEKIELI

Przed nami pierwsza niedziela Adwentu. Słowo „adwent" oznacza przybycie, przyjście. Nasz Adwent jest czasem oczekiwania na kolejną rocznicę najważniejszego wydarzenia historycznego w dziejach ludzkości.

Rabbi Joshua z Nazaretu zmarł 6 kwietnia 1996 lat temu, nie znamy z taką samą dokładnością daty jego narodzin. Ale czy było to 33 czy 34 lata wcześniej, nie ma większego znaczenia. Boże Narodzenie jest bowiem wspomnieniem wydarzenia duchowego, mistycznego. A takie może objąć, pojąć jedynie rytuał, a nie historia.

Nasz katolicki rytuał to przestrzeń jedynego wcielonego mitu. Ten mit zrealizował się w czasie historycznym, ale Boże Narodzenie należy do innego czasu – mitycznego, kolistego. Rytuał łączy świat ducha ze światem materii. Nasyca ją sensem. Wyjątkowość wprowadza w codzienność.

Na swój użytek widzę czas na kształt sprężyny. Kolistość i strzałka czasu. Bez ukierunkowania życia na jedyny absolutnie trwały sens, którego gwarancją jest drugie przyjście Chrystusa, po przeżyciu 40. wiosny, 50. zimy, 60. jesieni wielu ludzi traci nadzieję. Zaczyna się życie z przyzwyczajenia. Ucieczki w nałogi, w pracoholizm, w nadwartości.

Wiele osób nie wierzy w realność sfery duchowej. To nic wyjątkowego, za czasów Jezusa mieli tak saduceusze. Moje doświadczenie jest świadectwem jej istnienia. Wielokrotnie spotykałem się z sytuacjami, co do których nauka mówiła: coś takiego nie mogło się zdarzyć. Widziałem lekarską dokumentację przypadków kilku osób chorujących na śmiertelne choroby, w których nie odnotowano nigdy wcześniej przypadków remisji. Dokumenty te pokazywali mi sami zainteresowani, za których się w chorobie modlono. Wyzdrowieli, w ich przypadku duchowej ingerencji w świat materialny nie da się podważyć. Rozmawiałem z kapłanami, sędziami sądów kanonicznych, którzy w trakcie przewodu sądowego podawali w wątpliwość nadprzyrodzone przyczyny różnych niewytłumaczalnych zdarzeń. Nie mają żadnych wątpliwości, że były takie, które są dowodem cudu.

Rytuał i cuda to dwa różne wehikuły duchowości. Poznałem jeszcze inne: muzykę i natchnienie.

Pierwszy obraz, który mi się tu nasuwa, to nocne czuwanie przed wielkanocnym porankiem w kościele pw. św. Huberta w Zalesiu Górnym. Naprzemienne nabożeństwa, modlitwa, śpiew i cisza. I nagle opadła zasłona. W trakcie kolejnej pieśni jedna z naszych znajomych, dziewczyna, która całe swoje życie poświęciła Bogu, zatraciła się w śpiewie. Jej wokaliza otworzyła wrota nieba. Wszyscy ludzie w kościele to zauważyli, poczuli. Biblia mówi o modlitwie bez słów, którą Duch Święty modli się w nas, kiedy sami nie potrafimy się modlić.

Śpiew potrafi otworzyć człowieka. Zachwyca duszę: chwyta ją i podnosi. Wielokrotnie doświadczyłem tego w trakcie charyzmatycznych śpiewów w trakcie mszy świętej. Ostatnio w naszym parafialnym kościele pw. Wieczerzy Pańskiej podczas otwartego dnia skupienia wspólnoty Emmanuel.

I wreszcie natchnienie. Każdy człowiek obdarzony wrażliwością odczuwa moc świata duchowego odciśniętego w arcydziełach. Prawdziwa sztuka istnieje obiektywnie, jej kształty rodzą się w niebie.

Wielokrotnie doświadczyłem dotknięć ducha. I widzę, jak moja wiara jest słaba, skoro potrzebuję cudów. Matka Teresa żyła kilkadziesiąt lat w ciemności, nie odczuwała bliskości Jezusa, nie doznawała duchowej pociechy, ale heroicznie trwała. Taka wiara budzi podziw.

Trwanie w prawdzie rodzi prawość. Prawda wyzwala, prawda czyni człowieka szczęśliwym. W prawdzie Ewangelii jest nasze zbawienie, wybawienie od słabości, bezradności wobec codziennych ciężarów.

Po co nam Adwent? Celebrujemy ważne wydarzenia. Mamy na to cztery tygodnie. Warto nie zmarnować tego czasu, warto odnowić poczucie sensu życia. Szczególnie w takim czasie jak dziś, kiedy wojna podchodzi coraz bliżej pod nasze okna.

Naprzykrzaj się Bogu, proś o siły. Nie ustawaj, a przetrwasz ciemną dolinę i się nie zagubisz, gdy przychodzi obfitość, gdy we wszystkim będzie ci się powodzić.

Trwać przy Bogu nie ze strachu i nie ze względu na dary oczekiwane w zamian za wierność. Pytasz mnie, Jezu: „Zakochasz się we Mnie?". Nie umiem sam z siebie, przymnóż mi nadziei, miłości i wiary.

eprasa.pl 1fa3695ca6

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Sześć tygodni temu ukazał się zbiór opowiadań fantasy zatytułowany ***„Inne nieba”***. Na antologię inspirowaną ilustracjami/obrazami Jakuba Różalskiego składa się 12 opowiadań napisanych przez kobiety. I nie mamy do czynienia z żadną „fantastyką kobiecą”, bo mówić tak, to deprecjonować autorki – analogicznie używając pojęcia „kobieca piłka nożna”, ogłaszamy jej drugorzędność. Teksty nie mają płci. Są albo złe, albo dobre.

Potraktuję zatem monopłciowy dobór autorek dokonany przez wydawcę jako zabieg PR. Zresztą piszące panie to potwierdzają: należą do grupy Harda Horda – od czasu Skamandra wiadomo, że w ten właśnie sposób trzeba się promować na początku kariery. A kilka opowiadań jest wartych promocji.

Tom otwiera zanurzona w uniwersum tatarskiego szamanizmu proza Anny Jadowskiej. Mamy tu walki wilkołaków z demonami na tle zwykłych miłości, rozstań i żołdackich gwałtów. Ta wciągająca opowieść o wierności i przeznaczeniu jest spuentowana niestety gimnazjalnym manifestem wyższości wiedźmiej mocy. Szkoda.

„Współlokator” Anny Kańtoch to quasi-kryminał o samotności dzisiejszych trzydziestolatków. Ma ciekawą intrygę, z mroczną kobiecą tajemnicą dziedziczoną w rodzinie głównej bohaterki, a zakończenie jest naprawdę zaskakujące. Czego więcej potrzeba?

„Vintagianka w kosmosie” Anny Hrycyszyn to również wariacja na temat kobiecej alienacji, tyle że sztafaż nie jest realistyczny, lecz pochodzi z porządku klasycznego science fiction. Zadziwiająco świeże.

Podobnie frapujące jest quasi-steampunkowe opowiadanie Magdaleny Kubasiewicz o latających okrętach. „Mówczyni metalu” ma ciekawą fabułę i nieoczywisty pomysł.

W pamięci pozostała mi jeszcze opowieść o zbuntowanym rosyjskim androidzie z trzeciej mobilizacji. Identyfikuje się on jako kobieta, przechodzi na ukraińską stronę i próbuje wtopić w codzienność zagubionej na skraju świata wioski. Opowiadanie Aleksandry Janosz ma wspaniały klimat i rodzaj lekkości, którego zawsze zazdrościłem ludziom świetnego pióra. Androidka została w dodatku obdarzona przez autorkę mentalnością nastolatki, co potęguje element komiczny. Sympatyczna proza.

W „Innych niebach”, jak to w antologiach, poziom nie jest równy. W tych słabszych tekstach oprócz wszechobecnej kalki – głupi, słabi faceci kontra nadnaturalnie silne postaci kobiece – mamy też nieznośne przejawy popkulturowej „świadomości”, której nieodmiennym lejtmotiwem jest „przypomnienie czarnych kart historii, których się przemilczać nie powinno”. Chodzi oczywiście o „ciemne wieki”, w których zły Kościół mordował dobre czarownice posługujące się dobroczynną magią.

I żebym był dobrze zrozumiany. Zupełnie nie przeszkadzają mi we frapujących opowiadaniach „silne postaci kobiece, dyktujące warunki, rozdające karty i w realny, znaczący sposób wpływające na losy swoich światów”. Afirmacja kobiecej siły jest tak samo dobra jak afirmacja męskiej siły, o ile nie jest konsolacją. Kiedy zza opowieści zaczyna wyzierać zakompleksiona figura wirtualnego twórcy, pasuję. Sztuka jest bezwzględną suką. Nie istnieje podział na autorów i autorki. Istnieje tylko hierarchia. Wiersze opętanej Emily Dickinson w niczym nie ustępują poezji Rimbaud. Literatura nie uznaje ideologicznych protez, więc kiedy czytam, że „Inne nieba” są głosem „w zakresie emancypacji fantastyki i wyrwania jej ostatecznie spod męskiej dominacji”, mogę jedynie prychnąć.

I jeszcze jedna uwaga, już niemająca nic wspólnego z feministycznymi urojeniami. Chodzi o czysty warsztat. Nie wolno dać uwieść się i zdominować duchowemu podglebiu, na którym budujemy swoją prozę. Ona musi

mieć kościec fabuły i przesłanie. Nie jest też dobrze, gdy opowieść zbytnio porywa wyobraźnię autora, a w tekście nie dostajemy żadnego pokarmu dla umysłu czy serca, nie dotykamy żadnej mądrości. Piszę to m.in. w kontekście opowiadania „Potwór i nić”. Gdybym był złośliwy, jak byłem w młodości, zrecenzowałbym je tekstem składającym się tylko z tytułu: „Potwór i nic”. Na szczęście na starość już tak złośliwy nie jestem.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 1fa3695ca6

Wojciech Stanisławski

Tupiąc trupiegami

To doskonała powieść o miłości i żalu, o doskonałym, nieludzkim niemal panowaniu nad sobą, nad językiem, o przygryzaniu języka, by nie wybuchnąć wyciem

Trza być w butach i na weselu, i na pogrzebie, więc zapewnienie obuwia nieboszczykowi jest obowiązkiem tych, co go odprowadzają. Stoi w oczach scena z „Człowieka z żelaza" z pogrzebu Mateusza Birkuta, gdzieś przemykają zapisy chłopskich pogrzebów i pantofli z tekturową podeszwą, dzwoni wers Leśmiana. A teraz chowa męża Wera, fryzjerka – chowa go bez grosza, więc chodzi za butami dla Dżokeja po bazarach, po śmietnikach, po kochankach; trumna, garnitur, ksiądz, wszystko w końcu jest, tylko buty (właściwie kwestia butów) człapią, kuśtykają, szurają, wiążą kolejne rozdziały i monolog Wery. „Wystukiwałeś wierszy mych rytm; gdy w nim zbłądzę / Dziś, o kulawość strofy twoją śmierć posądzę: / Utrata palca (wybacz, że w żałobne smutki / pcham kalambur) wiersz stworzy o stopę za krótki...)".

Nie przypadkiem ten cytat z Barańczaka (a właściwie, by rzecz bardziej zaplątać – z wiersza Thomasa Randolpha przełożonego przez Barańczaka) – bo mniejsza o buty, „Ten się śmieje..." jest powieścią o doskonałym, nieludzkim niemal panowaniu nad sobą, nad językiem, o przygryzaniu języka, by nie wybuchnąć wyciem, nie powiedzieć nic albo niemal nic – i tak jak panuje nad swoim językiem Wera, tak nad brzmieniem tej powieści panuje Zyta Rudzka. To, co ta pisarka robi z językiem, to są rzeczy zupełnie niesłychane. „Barańczak" to oczywiście nazwisko skrót, ale od czasów tamtych poetów nie spotkałem nikogo, kto by tak rozcierał na najcieńsze włókna, torturował, uwielbiał, ściskał do bólu polszczyznę.

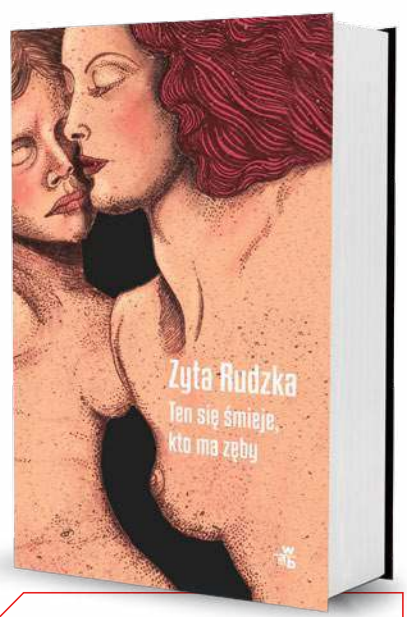

Zyta Rudzka, „Ten się śmieje, kto ma zęby", Wydawnictwo Literackie, 2022

Ale najpierw Wera: twarda, najtwardsza. Nie mówi właściwie: cedzi albo boksuje się, co zdanie, to prawy prosty, w dół najczęściej, w bebech, czasem – ale to tylko dla najbardziej szanowanych przeciwników – uppercut z dołu w podbródek. Krótko obcina, jak obcinała na krótko sąsiadkę, lekarza pogotowia, kochanka, kochankę, klientów, męża, własne życie: „Mnie do rany lepiej nie przykładać, zaraz gangrena pójdzie". Cytuję, ale z tej powieści można wykroić drugą książkę aforyzmów i nie będą to ścinki, które zamiata się pod koniec dnia w zakładzie fryzjerskim: frazy jak złoto. „Z umieraniem szybko mu poszło. Stracił pobożność i apetyt". „Dżokej był łebski jak koń". „Piździ jak nad morzem. A do morza jeszcze kawał mapy".

To są takie frazy, taka uroda prostego języka, nad którą przed wiekiem nieznośnie rozpływali się poeci. „I cóż za tako nauka? Serce –! –?". A to Wera właśnie. Nie wiem, czy jest z Bronowic, wygląda mi bardziej na PGR z Ziem Odzyskanych. Na pewno jest ze wsi złej, bijącej, obłudnej, z której wyrwała się do miasta, sama się wyuczyła na fryzjerkę, bo tego miała największą ciekawość. Nie od gadania była. „Większych rozmów w małżeństwie nie rozgrywało się, to nie był dom kultury". *Hic mulier*, twarda baba, dla nikogo nie ma dobrego słowa, w kieszeni – nożyczki i zapalniczka. Ogień, dym to jedyne, co przeciska się przez jej ściągnięte gardło, a ogień jest dla niej matką wszechrzeczy. „Do miłości nigdy bojąca nie byłam". Sama wybiera sobie męża, kochanków, kochanki, twarda w słowach i w ręku. Są tylko cycki, soki, narodziny i śmierć, a między nimi krwawa miazga sekwoi.

Nie dla nas, miastowych, to dziewczyna. Ktoś z lepiej ułożonych i bardziej zachowawczych czytelników mógłby się żachnąć, że ta Wera zbyt pod krytyków napisana, że teraz takie kobiety są w modzie i w „Wysokich Obcasach" i w „Vogue'u": stanowiące o swoim życiu i brzuchu, nieustraszone i poliamoryczne, siwowłoso paradujące w tatuażach i bikini, „zawsze dumne ze swojego ciała". Ale to żarty: bohaterki tamtych

eprasa.pl 1fa3695ca6

tekstów, gwiazdy telewizji śniadaniowych są jak golemki ulepione z papier mâché, dość wyjąć im z głowy wstępniak naczelnej, a staną w miejscu, bezradne. Wera, która chodzi (fryzjerka!) tylko w płaskich butach, za nic ma tygodniki, telewizje i ideolo: dla niej jest tylko krwawa miazga życia, które ją samą stłukło na miazgę, ale nadal chłonie je, na wdowę się nie pisze, pogrzeb ma być w białej trumnie.

Wera nie jest za bogiem, ale jest nad nią autorka – Rudzka. Bo to ona, nieufna wobec języka jak Wera, bierze i rozkrawa zdanie po zdaniu, związek frazeologiczny za związkiem, pokazuje pustkę nie tylko chłopskiego gadania, pobożnego gadania, ale i urzędowego gadania. „Duży spadek wagi" (to doktor z pogotowia, „doktor od świeżych zmarłych", komentuje zwłoki Dżokeja). „Podziękowałam za użyczenie telefonu" (to Wera na oślep sięga po eleganckie słówko „użyczenie"). A czasem jest po prostu czysta radość kalamburu: „W »Wera. Zakład fryzjerski męski« włos się ścielił gęsto" – i co zrobisz z takim zdaniem? Tylko tupnąć z zachwytu.

Dla koneserów, dla tych, którzy raz wszedłszy w światy Zyty Rudzkiej, już nie zamierzają z nich wyjść – są odwołania do jej wcześniejszych książek, dr Ludwik Prokopiuk schodzi do jednego z ostatnich rozdziałów prosto z kart „Tkanek miękkich", równie smutny, równie samotny i chyba trochę mniej wysztafirowany niż w oryginale, a pracownia Cukier Stanik, oczko w głowie Dawida, żydowskiego kochanka, sięga dużo dalej, do dramatu Rudzkiej z 2008 r. Ale to nieważne, ważna jest Wera, najbardziej autentyczna, jaką można sobie wyobrazić, a nienazwana, nieobecna w polskiej prozie od lat: Rudzka wywołała ją z niebytu, jak przed laty czynił to Leśmian.

Żywoty i poglądy polskich filozofów

Biografii, „alfabetów", wypominków, plotek, które przedstawiałyby historię polskiej literatury, sceny czy polityki w XX w., mamy pod dostatkiem. Koniec XX w. przyniósł wręcz wysyp prac, które usiłowały dorównać pionierskiemu „Alfabetowi Kisiela". Ale i bez Kisiela doświadczenia polskich literatów czy filmowców, ich życie towarzyskie, uczuciowe i polityczne było opowiadane po wielokroć: bo wiadomo, że żyją z fantazją, bo każdy jest ciekaw styku codzienności z poezją, tego, jak kłopoty z trabantem i teściową sublimują się w asonanse. Ale filozofowie? Opisano w kilku pachnących naftaliną scenkach profesorów Tatarkiewicza czy Kotarbińskiego, zjadliwie lub z zachwytem plotkowano o Kołakowskim, podśmiewano się z Baumana jako bożyszcza postmoderny, chowającego koalicyjkę kabewiaka za obłokiem wonnego dymu, a Tygrys, pochwycony przez Miłosza w „Rodzinnej Europie" jak w światła reflektorów, wciąż wściekle bije ogonem po bokach. Ale panoramy filozofów jako stanu, panoramy, która łączyłaby obraz ich życia, nawet ich słabości, z podsumowaniem ich dokonań i umiejscowieniem ich w historii dyscypliny oraz w historii Polski – dalibóg nie było.

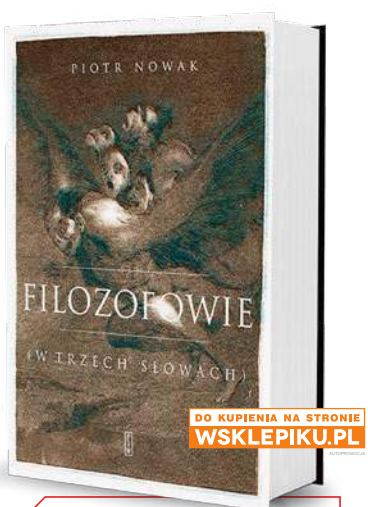

Piotr Nowak, „Filozofowie (w trzech słowach)", PIW, 2022

Bo też napisanie takiej książki wymagało kilku rzeczy: nie tylko ogromnej wiedzy fachowej, lecz także i odwagi streszczania poglądów kolegów po fachu w eseistycznym, lekceważącym przypisy stylu oraz znacznie większej odwagi – opisywania „po nazwisku" akademickich mandarynów, ich koszul, dykcji, uników, śmierci. I jakoś nie dziwię się, że podjął się tego zadania właśnie prof. Piotr Nowak.

Powstała rzecz niezwykła – portret zbiorowy filozofów, którym „przyszło myśleć i tworzyć w wieku trzech Polsk, trzech wojen i dwóch totalitaryzmów", niewolny od osobistej refleksji, czasem od złośliwości, czasem od laudacji, lecz jednocześnie sprawiedliwy, plastyczny i niesłychanie ważny. Nowak doskonale zrównoważył „wymiar ludzki", którego filozofom tak bardzo brakowało (Tatarkiewicz, Schaff – ci mieli szczęście znaleźć się u Kisiela; ale z ręką na sercu, kto poza garstką specjalistów wiedział cokolwiek osobistego o Stefanie Amsterdamskim, Krzysztofie Michalskim? Coś, co czyniłoby z nich coś więcej niż nazwisko w bibliografii?), z tym, co w ich życiu jednak najistotniejsze – ze zmaganiami myśli, z obmyślaniem świata.

Opisał Nowak „wojny idei", opisał analityków i fenomenologów, stalinistów i marksistów oraz ewolucję ich myśli. Zadał ważne pytanie o postać mędrca, o Sokratesa polskiej filozofii i o to, dlaczego żaden z kilku pretendentów do tej roli (z Kołakowskim na czele) nie zdobył ostatecznie tej pozycji. Niemal każdy z 28 bohaterów tej książki jest opisany w trzech krótkich, kilkustronicowych rozdziałach, jakby mieli być pochwyceni w sieć triangulacyjną („Kołakowski: Komunizm. Spinoza. Bóg; Tarski: Początki. Prawda. Pierwszeństwo"). Pod piórem Nowaka odżywają, nabierają życia, jakby ktoś wdmuchiwał powietrze w dawno przyszpilone motyle. Ale jeszcze ważniejsze jest w tej książce pokazanie ciągłości dialogu filozoficznego w Polsce i jego stałej relacji z polityką. Trudno będzie odtąd pisać bez niej o historii kultury polskiej w XX w.

eprasa.pl 1fa3695ca6

My Polacy mamy wielkie marzenia

...i zamieniamy je w wielkie plany

Fundusze uruchamiane przez polski rząd pozwalają na wielkie inwestycje w kluczowe obszary gospodarki.

Chcesz sprawdzić rządowe inwestycje w Twojej okolicy?
Szukaj tablic informacyjnych.

mapainwestycji.gov.pl

Rządowe Inwestycje
Blisko Ludzi

eprasa.pl 1fa3695ca6

Tekielego „Albo-albo”. Trzeciego wyjścia nie ma

„Widziałem w moim życiu cuda” – pisze Robert Tekieli w swojej najnowszej książce-diariuszu „Miłość zraniona”. To świadectwo konsekwencji nawrócenia znanego – choćby z łam naszego tygodnika – felietonisty, poety, kiedyś redaktora pisma literackiego „BruLion”, autora książek, programów telewizyjnych i radiowych

„Paliłem dwa gramy haszu dziennie” – przyznaje. Za sobą ma też doświadczenia z okultyzmem. Zapiski czasem bardzo ekshibicjonistyczne. Ponad 500 stron tego dziennika jest z pasją przekazywaną informacją, że każdy człowiek może stać się świadkiem podobnego cudu. Potrzeba do tego oczywiście Kościoła i sakramentów. Tekieli świadczy w każdej z notatek, że Bóg wyprowadza dusze z bardzo zawiłych labiryntów, wyciąga z głębokich dołów, w które wpadamy, żyjąc w świecie – jak tłumaczy wydawca – z deficytem miłości, pełnym zranień, egoizmu, pozorów, blichtru. Trzeba więc wejść do trzech rzek, wiary, z której narodzi się nadzieja, i nadziei, z której zrodzi się miłość. A ta ostatnia, będąc odbiciem doskonałej miłości boskiej, jest w stanie przemienić życie każdego człowieka.

Tekieli nie jest tutaj sentymentalny, oznajmia, że miłość to też myślenie o potrzebach wroga, a bycie tylko dobrym, w nawet najbardziej oddanych ludziom posługach, bez nawiązania relacji ze Zbawicielem, skończy się porażką. Że życie według 10 przykazań i 8 błogosławieństw traktowanych tylko jako instrukcja obsługi świata może wyprowadzić na ziemię jałową. Jego doświadczenie mówi, że Bóg nie jest maszynką do spełniania pragnień, a kłamać można nawet słowami modlitwy. Zwraca uwagę, że buddyści nie chcą dokładać zła w świecie, ale nie przysparzają mu też dobra. Dlatego Tekieli przypomina ciągle ewangeliczne napomnienia, by czuwać, strzec swoich uczynków i ciągle otwierać się na moc z góry.

Nie jest to oczywiście przepis na sukcesy, zawodowe i życiowe spełnienie. Choć przy okazji może również się tak zdarzyć. Tekieli, podążając za starotestamentowymi prorokami, Chrystusem, ewangelistami i świętymi, wykrzykuje wręcz, że to jedyna szansa na zbawienie. To jego „Albo-albo”, przywołujące pewne skojarzenia ze słynnym traktatem Sørena Kierkegaarda. „Są dwa wojska, niosą dwa sztandary” – pisze. I dodaje: jednych czeka apokaliptyczna zagłada, innych zbawienie i nagroda. Albo jałowy bunt przeciw światu, niesprawiedliwości i złu, albo zgoda i zaufanie, mówienie Stwórcy „tak” i pokorne przemienianie go.

By przyjąć tak radykalną postawę, świadomie cofa się do początku. Patronem tego dziennika zdaje się patriarcha Abraham – ojciec ludzi wierzących, uosabiający nadzieję, której kształtem zdaje się szaleństwo, i w końcu miłość, która jest nienawiścią do samego siebie. Bóg może po prostu zażądać od człowieka rzeczy, które wydają mu się niemożliwe. Sam Chrystus – jak pisze – w ogrodzie Getsemani zgodził się na los inny od losu Izaaka. Ojciec oddał swojego Syna na ofiarę za grzechy, jak pisze autor – wpłacił za nas kaucję. „Daj mi, Boże, pełnić czyny Abrahama. Daj tak samo zaufać Tobie, całkowicie po szaleństwo” – notuje Tekieli. Dalej już jest ściana.

Takie jest jego wyznanie wiary zbudowane z notatek, felietonów, nasuwające skojarzenia ze stylem Louisa-Ferdinanda Céline'a. „Dupa jestem, nie głosiciel prawdy” – oponuje. Z każdej notatki atakuje obrazem kiepskiej kondycji człowieka w świecie wyjałowionym z miłości, zagubionych międzyludzkich więzi, powszechnie nagradzanym egoizmem i chamstwem. Dając świadectwo, przechodzimy przez ciężkie boje duszy i ciała. Opowiada o zrzuconych kilogramach, postach, smaku okruchu sękacza, którym się rozsmakowuje.

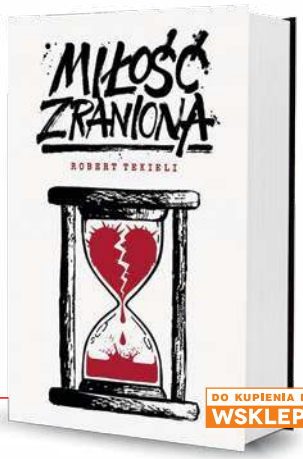

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Robert Tekieli „Miłość zraniona”, Fundacja Instytut Globalizacji, Gliwice 2022

Komentuje też rzeczywistość. Kościół widzi jako instytucję permanentnego kryzysu, począwszy od mocnego starcia Pawła („kapuś, który wydawał chrześcijan na śmierć”, „ma krew na rękach nawet w niebie, choć Jezus uznał go za godnego zbawienia”) i Piotra w Antiochii. „Bóg mieszka w kościele grzeszników” – przypomina. Zdaniem autora nie można mylić wiary z tradycją religijną, dlatego jest przekonany, że Kościół odrodzi się na popiołach tego, co dziś widzimy.

Czyni ciekawą uwagę na przekór teoretykom postmarksizmu, że filozofia, która rządzi dziś światem, to kłamstwo, instytucjonalne zło, niesione przez antykulturę, która by dominować, potrzebuje przemocy państwa. Inaczej przegrywa z prawdą. Nie zajmuje pozycji sentymentalnego chrześcijaństwa. W dobie walki z cywilizacją i zagrożeniem zewnętrznym, a więc islamem, przyznaje, że potrzebujemy Karolów Młotów, świętych Benedyktów, świętych Tomaszów i Sobieskich. „Musimy się bronić” – powiada.

W lipcu 2020 r. spotyka bezdomnego alkoholika na pętli autobusowej linii 115. Próbuje mu pomóc. Po tygodniu zaprzestaje pisania komentarzy. Jak do tego doszło odsyłam do lektury. Walka trwa.

Maciej Walaszczyk

Reklama | 29/1122/F

eprasa.pl 1fa3695ca6

Reprezentacja Polski przed pierwszym meczem na mundialu w Katarze tak naprawdę nie jest zdefiniowana. Nie mamy bladego pojęcia, jak wypadniemy podczas turnieju. Pierwszy raz balonik nie jest napompowany, ale gra kadry to raczej powód do kpin niż zachwytu. Jeśli tli się jakaś nadzieja, to bardzo po cichu

Cisza przed Katarem

eprasa.pl 1fa3695ca6

CEZARY KOWALSKI

Z jednej strony mamy prawo sądzić, że potencjał drzemie w nas ogromny, a tak wielu zawodników grających w dobrych klubach i będących w naprawdę przyzwoitej formie nie mieli przed turniejami ani Jerzy Engel, ani Adam Nawałka, ani Franciszek Smuda, ani Leo Beenhakker czy tym bardziej Paweł Janas. Z drugiej – w razie niepowodzenia powiemy, jak zwykle zresztą, że sam Robert Lewandowski tego nie udźwignie, Grzegorz Krychowiak z Kamilem Glikiem są już za starzy, a między najlepszymi a resztą jest przepaść. No i nie ma kim grać, no nie ma...

I właśnie w zależności od tego, jak wypadniemy w Katarze, tak ułoży się melodia na kolejne miesiące i eliminacje do mistrzostw Europy w grupie słabeuszy. Jeśli będzie wtopa (trzy mecze w grupie i powrót do domu z podkulonymi ogonami), to wiadomo. Trzeba będzie rozedrzeć szaty, wymienić trenera, zapowiedzieć nowe otwarcie, do tego pojawi się mnóstwo publicystyki i ogólnonarodowej debaty pod tytułem: „Co z tą polską piłką?". PZPN zapewne spróbuje wyjść naprzeciw społecznym oczekiwaniom (tak naprawdę zawsze tak robiło), bo jakoś tę kolejną porażkę trzeba będzie przypudrować.

MEKSYK W DOŁKU

Ale w moim odczuciu tym razem wcale nie musi tak być. Nie dość, że mamy naprawdę sporo atutów, to trzeba brać pod uwagę także tło. Czyli rywali. Ten najważniejszy to pierwszy przeciwnik, czyli Meksyk. Na podstawie obserwacji drużyny El Tri w sześciu ostatnich meczach, śmiało można powiedzieć, że jest to zespół absolutnie w naszym zasięgu. Do tego targany wieloma problemami natury personalnej i organizacyjnej, więc grzechem byłoby nie skorzystać z tych niewątpliwych słabości ogólnie bardzo dobrej drużyny. My aż tak rozchwiani nie jesteśmy, mimo wszystko panuje u nas względny spokój, a potencjał do rywali mamy zbliżony, jeśli nie większy.

Pod wodzą słynnego Argentyńczyka Gerardo „Taty" Martino (prowadził m.in. reprezentację Argentyny, Paragwaju, a także Barcelonę) zespół Meksyku nie był jeszcze w tak złym momencie jak obecnie. Relacje między Tatą a kibicami zostały zerwane. Na chwilę przed mistrzostwami meksykańska opinia publiczna domagała się zmiany trenera. Do nasilenia ataków mediów na selekcjonera pasuje tylko jedno słowo: furia.

Porażki z Kolumbią 2:3 w Santa Clara czy ostatnia ze Szwecją w Gironie (rywale mieli imitować styl Polaków) były tylko jednymi z dziesiątek rozczarowań. W pewnym momencie ruszyła nawet giełda z nazwiskami kandydatów do awaryjnego zastąpienia Martino. Lokalna federacja zatrzymała to parcie.

Néstor de la Torre, były dyrektor reprezentacji, stwierdził na początku października, że czystą naiwnością jest wiara w sukces oparta na dobrej pracy taktycznej sprzed kilkunastu miesięcy (początki Martino w Meksyku były bardzo obiecujące), ale dodał, że na zmianę kilkadziesiąt dni przed mundialem jest już za późno. „Zwolniłbym trenera miesiąc temu, teraz większym problemem jest forma zawodników. Trzeba zmienić zespół, nie zmieniając trenera. Trener musi zacząć podejmować decyzje, a nie zbliżać się do mundialu metodą bezwładności. Ta drużyna nie działa. Współczuję Tacie. On ma już dość, to krzesło jest trudne, fani są wobec niego agresywni" – wyliczał.

„Czuję się wrogiem publicznym numer jeden" – powiedział Martino, osaczony przez dziennikarzy na lotnisku przed odlotem na mundial. Czy naprawdę stracił już kontakt z rzeczywistością, nie wie, co robić, miota się, jest sam, jak twierdzą komentatorzy sportowi?

Co przede wszystkim nie działa w reprezentacji Meksyku? Atak. Fakt, że najlepsi ofensywni gracze wciąż byli kontuzjowani. Losy największej gwiazdy Raúla Jiméneza z Wolverhampton, który nie grał od sierpnia, ważyły się do ubiegłego tygodnia. W końcu znalazł się wśród nominowanych i nawet zagrał w drugiej połowie ze Szwecją. Ale – co zrozumiałe – słabo. Inny as Jesus „Tecatito" Corona z Sevilli wypadł dobrze. W zamyśle to oni wraz z Hirvingiem „Chuckym" Lozano z Napoli mieli tworzyć wymarzony tercet z przodu i gnębić rywali (choć faktem jest, że dotąd

Autopromocja

Fot. Beata Zawadzka / East News.

eprasa.pl 1fa3695ca6

rzadko udawało się zobaczyć tę trójkę w boju). Efekt jest taki, że formację ofensywną zapewne stworzą zawodnicy z ligi meksykańskiej, którzy byli mocno krytykowani za brak skuteczności w poprzednich meczach.

Meksyk, szykując się na mistrzostwa, przegrał z Urugwajem 0:3, zremisował z Ekwadorem 0:0 i Jamajką 1:1, uległ Paragwajowi 0:1 (w krajowym składzie), zwyciężył Peru 1:0, przegrał z Kolumbią 2:3 i Szwecją 1:2. Zdobycie więcej niż jednego gola graniczyło z cudem.

Na pożegnanie z Ameryką w Santa Clara w Kalifornii (Meksykanie czują się tam jak u siebie) ekipę Martino wygwizdało 50 tys. rozczarowanych fanów.

Sportowy dziennik „Record" grzmiał od pierwszej strony „Tri tanic", nawiązując do potocznej nazwy reprezentacji. A jego felietonista Beto Bernarda wyliczał, co może sprawić, że w Katarze nie dojdzie do katastrofy i ekipa Martino nie wyrżnie o lodową skałę. „Cała nadzieja w tym, że poza Argentyną nasi grupowi rywale też mają podobne kłopoty. Polska wciąż szuka tożsamości, słabo gra w piłkę, z trudem przychodzi jej strzelanie goli, a wszystko zależy od jednego Roberta Lewandowskiego".

> Jeśli wygramy z Meksykiem i poprawimy w meczu z Arabią Saudyjską, zapewne wyjdziemy z grupy, a wtedy już wszystko może się zdarzyć. Może poniesie nas fala?

WYJŚĆ Z GRUPY

Ich nadzieja jest naszą prawdziwą zmorą. Po ostatnim meczu testowym z Chile na stadionie Legii, wygranym 1:0, choć patrząc na grę Polaków bolały zęby, Grzegorz Krychowiak, jeden z liderów kadry, wypalił: „Przyzwyczajajcie się, tak będą wyglądały nasze mecze na mistrzostwach". Z jednej strony to wypowiedź szokująca i chciałoby się zapytać: „To po co ty, chłopie, tam w ogóle jedziesz?", ale z drugiej... Wynika z realnej oceny. I wraca do naszych występów z poprzednich mistrzostw Europy czy świata.

Za którego trenera my tak naprawdę graliśmy ładnie? Za Engela w 2002 r., Janasa w 2006 r., Beenhakkera w 2008 r., Smudy w 2012 r., Nawałki w 2018 r.? Owszem, raz udało się wyjść z grupy na Euro w 2016 r. i przebić się nawet do ćwierćfinału, ale czy to była widowiskowa gra? Jeden mecz rzeczywiście zapadł w pamięci, przegrany z Niemcami w grupie 1:3, kiedy wymienialiśmy ciosy i graliśmy bardzo ofensywnie, ale reszta to była typowa przepychanka, bez żadnego polotu i do tego mnóstwo szczęścia, jak choćby w meczu ze Szwajcarią w 1/8 finału.

Dlatego trzeba brać to 1:0 po brzydkiej grze z Meksykiem, które proponuje Krychowiak. Jeśli się uda i poprawimy w meczu z Arabią Saudyjską (chyba nikt nie wątpi, że jest w naszym zasięgu), zapewne wyjdziemy z grupy, a wtedy już wszystko może się zdarzyć. Może poniesie nas fala?

OSTATNI TAKI MOMENT

Turniej w Katarze jest idealnym momentem, by nasze starzejące się gwiazdy (Robert Lewandowski, Kamil Glik, Wojciech Szczęsny, Grzegorz Krychowiak) skorzystały z sumy wszystkich swoich doświadczeń i przy pomocy naprawdę zdolnych kilku młodszych (Piotr Zieliński, Arkadiusz Milik, Krzysztof Piątek, Karol Świderski) i znacznie młodszych (Jakub Kiwior, Nicola Zalewski, Krystian Bielik, Sebastian Szymański) wreszcie coś sensownego ugrały.

Wydaje się, że obecny selekcjoner Czesław Michniewicz jest dobrze skrojony, by to z nich wydobyć. Ani żaden zagraniczny szarlatan, ani lokalny bajerant, ani za młody, ani za stary.

Pracowity zadaniowiec, bardzo dobrze przygotowany merytorycznie (obejrzał i odwiedził po kilka razy wszystkich kandydatów do gry), który zrobi wszystko, by w danym spotkaniu wycisnąć swój zespół jak cytrynę. Do tego mający więcej sportowego farta niż wszyscy jego poprzednicy w ostatnich dekadach razem wzięci.

Michniewicz nie zabrał do Kataru piłkarzy, którzy mają być przyszłością polskiej piłki, powołał tylko takich, do których jest przekonany, że pomogą mu tu i teraz. Dlatego znalazł się w kadrze choćby 35-letni Artur Jędrzejczyk z Legii, który może zagrać na kilku pozycjach. Selekcjoner wie, że gra także o swoją głowę. O być może kilka lat komfortowej pracy.

Fakt, że poza pojedynkiem ze Szwecją, który zdecydował o awansie, nie zagraliśmy za jego kadencji bardzo udanego meczu, ale nie sposób nie zauważyć, że w Lidze Narodów graliśmy z rywalami top 10 na świecie (Belgia, Holandia), uczestnikiem mundialu (Walia, dwa zwycięstwa) i jednym z największych nieobecnych na mistrzostwach Chile (1:0 mimo braku pięciu najlepszych zawodników).

Przed wcześniejszymi turniejami selekcjonerzy wybierali na sparingpartnerów słabszych rywali, jak choćby Litwę czy Estonię, by poćwiczyć skuteczność i podpompować balonik. Później następowało ogromne rozczarowanie.

Tym razem, pierwszy raz od lat, w narodzie przed mundialem nie ma atmosfery uniesienia. Wszyscy twardo stąpają po ziemi, jeśli na coś liczymy, to bardzo po ciuchu. Raczej z tej reprezentacji się drwi, niż ją docenia.

Polacy kochają piłkę, a reprezentację właściwie bezwarunkowo, potrzeba jednak impulsu, by rozbudzić te namiętności na dobre i sprawić, że znów ogarnie nas piłkarskie szaleństwo.

Pierwsza szansa 22 listopada. Godz. 17. Mecz: Polska–Meksyk na mundialu w Katarze.

Autor jest komentatorem Polsat Sport

Autopromocja

eprasa.pl 1fa3695ca6

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

Okupacja 1939–1945 – jak wyglądała totalna grabież?

Kręte drogi II RP – jak doszło do sojuszu polsko-ukraińskiego?

Piekło w Zatoce Kolskiej – jak Sowieci sami się rozbroili?

Zamów e-prenumeratę SIECI i wSIECI HISTORII
50% taniej!

Wejdź na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl 1fa3695ca6

Kibicujemy biało-czerwonym!

Piłkarze jednoczą Polaków

Jest 21 listopada i... trwa piłkarski mundial. Dla kibiców piłki nożnej to zupełnie nowa sytuacja, to trochę tak, jakby np. ubierać choinkę w maju. Nie ma co ukrywać, że pomysł FIFA, by przyznać organizację mistrzostw świata krajowi, w którym aura wyklucza grę latem, postawił świat piłki nożnej na głowie. Odsuwając jednak na bok wszelkie kontrowersje związane z turniejem w Katarze, dostaliśmy wspaniałą okazję, by odnaleźć narodową wspólnotę pod flagą biało-czerwoną. Polska zaprezentuje na najważniejszej światowej arenie wszystko, co ma najlepszego: światowe gwiazdy i markę o wielkim potencjale

Bilans dotychczasowych meczów biało-czerwonych

Polska - Meksyk

8 gier: 3 zwycięstwa, 2 remisy, 3 porażki

gole: 13:9 dla Meksyku

1 mecz na mundialu w 1978 r., wygrana Polska 3:1 (gole: 2 Boniek, 1 Deyna)

7 meczów towarzyskich, ostatni 13 listopada 2017 r. w Gdańsku, wygrana Meksyku 1:0

Polska - Arabia Saudyjska

3 gry: 3 zwycięstwa Polski

gole: 5:2 dla Polski

3 mecze towarzyskie, ostatni 28 marca 2006 r. w Rijadzie, wygrana Polski 2:1

Polska - Argentyna

11 gier: 3 zwycięstwa, 2 remisy, 6 porażek

gole: 18:12 dla Argentyny

2 mecze na mundialu: w 1974 r. wygrana Polski 3:2 (gole: 2 Lato, 1 Szarmach); w 1978 r. wygrana Argentyny 2:0

9 meczów towarzyskich, ostatni 5 czerwca 2011 r. w Warszawie, wygrana Polski 2:1

Według różnych szacunków piłka nożna ma na świecie 4 mld sympatyków, co czyni z niej najpopularniejszą dyscyplinę sportu. Kulminacją rywalizacji są oczywiście odbywające się co cztery lata mistrzostwa świata. W tym roku będą one wyjątkowo gorące i wyjątkowo łatwe do śledzenia. 32 drużyny narodowe i 64 mecze do rozegrania, a wszystko to na ośmiu stadionach w kraju o powierzchni... województwa świętokrzyskiego. Dla porównania kolejne mistrzostwa, w 2026 r., będą organizowane wspólnie przez USA, Kanadę i Meksyk, a więc ich areną będzie cały kontynent północnoamerykański. Dla śledzących rozgrywki przed telewizorami kibiców na całym świecie te różnice nie mają oczywiście większego znaczenia, ale dla relacjonujących je dziennikarzy czy tzw. medialnych influencerów, którzy wybiorą się do Kataru, już tak. Intensyfikacja wydarzeń na tak małym obszarze sprawi, że dostęp do największych gwiazd będzie łatwiejszy, relacje pełniejsze i szybsze do przygotowania, a plotki i newsy dotyczące poszczególnych ekip będą zdobywane przez większą liczbę zawodowych i amatorskich reporterów.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 6/1122/F

Kadra reprezentacji Polski na mecze w Katarze:

- **Bramkarze:** Wojciech Szczęsny (Juventus FC), Łukasz Skorupski (Bologna FC 1909), Kamil Grabara (FC Kopenhaga)
- **Obrońcy:** Jan Bednarek (Aston Villa FC), Bartosz Bereszyński (UC Sampdoria), Matty Cash (Aston Villa FC), Kamil Glik (Benevento Calcio), Robert Gumny (FC Augsburg), Artur Jędrzejczyk (Legia Warszawa), Jakub Kiwior (Spezia Calcio), Mateusz Wieteska (Clermont Foot 63), Nicola Zalewski (AS Roma)
- **Pomocnicy:** Krystian Bielik (Birmingham City), Przemysław Frankowski (RC Lens), Kamil Grosicki (Pogoń Szczecin), Jakub Kamiński (VfL Wolfsburg), Grzegorz Krychowiak (Asz-Szabab Rijad), Michał Skóraś (Lech Poznań), Damian Szymański (AEK Ateny), Sebastian Szymański (Feyenoord), Piotr Zieliński (SSC Napoli), Szymon Żurkowski (ACF Fiorentina)
- **Napastnicy:** Robert Lewandowski (FC Barcelona), Arkadiusz Milik (Juventus FC), Krzysztof Piątek (US Salernitana 1919), Karol Świderski (Charlotte FC)
- **Selekcjoner:** Czesław Michniewicz

Polak wśród największych

W tym piłkarskim tyglu znajduje się też polska drużyna, która będzie jedną z tych przyciągających uwagę całego piłkarskiego świata, głównie za sprawą naszego kapitana Roberta Lewandowskiego. Nie będzie żadnym ryzykiem stwierdzenie, że Lewy to dziś najbardziej rozpoznawalny Polak na świecie. Bez względu na to, jak zaprezentuje się Robert od strony sportowej na boiskach w Katarze, możemy być pewni, że jego każde zagranie stanie się przedmiotem analiz ekspertów i kibiców w każdej telewizji świata i na każdym internetowym portalu. Kamery będą śledziły Lewandowskiego nie tylko w czasie meczów, ale także podczas treningów czy relaksu w luksusowym hotelu Ezdan Palace w Ad-Dauże, który jest kwaterą reprezentacji Polski w czasie mundialu. Nasz kapitan jest z pewnością jedną z największych gwiazd mundialu bez względu na to, jak długo potrwa przygoda naszej drużyny narodowej na tym turnieju.

Silna polska marka

Ale rozpoznawalność polskiej marki nie ograniczy się tym razem jedynie do słynnych piłkarzy, bo wypada zaznaczyć, że w globalnej rozpoznawalności Lewandowskiemu niewiele ustępują tacy reprezentanci Polski jak Piotr Zieliński czy Wojciech Szczęsny. W Katarze nasi gracze pokażą się też światu po raz pierwszy z logo koncernu Orlen na strojach treningowych, który po udanej fuzji z Lotosem został głównym sponsorem Polskiego Związku Piłki Nożnej. Konsekwentnie realizowana przez prezesa zarządu Grupy Orlen Daniela Obajtka budowa wielkiego multienergetycznego koncernu, rozszerzonego w ostatnim czasie o aktywa PGNiG, sprawia, że wreszcie realna stała się budowa silnej polskiej marki, rozpoznawalnej na rynku międzynarodowym. To bardzo ważne, by dostrzec tę okazję i atut, jakim jest obecność logo Orlenu na strojach i w otoczeniu reprezentacji Polski. W ten sposób Polska wysyła w świat jednoznaczny sygnał, że potrafimy u nas w kraju, bez dawnych kompleksów opierających wszystko o tzw. kapitał zagraniczny, zbudować markę o zasięgu co najmniej kontynentalnym, której potencjał w naturalny sposób jest wykorzystywany przy wsparciu najlepszych polskich sportowców, uprawiających najpopularniejszą dyscyplinę sportu. Od polskich piłkarzy zależy teraz, jak długo Orlen będzie obecny w telewizyjnych przekazach z Kataru. W najgorszym scenariuszu arabska przygoda Lewandowskiego i spółki zakończy się 30 listopada na ostatnim meczu grupowym Polski przeciwko Argentynie, a w najlepszym... no cóż, finał imprezy jest zaplanowany na 18 grudnia.

Stadiony, na których rozegrane zostaną mecze:

- **Lusail Iconic Stadium, Lusail** (pojemność: 80 tys. miejsc)
- **Bayt Stadium, Al-Chaur** (pojemność: 60 tys. miejsc)
- **Education City Stadium, Ar-Rajjan** (pojemność: 45 350 miejsc) arena meczu Polska – Arabia Saudyjska
- **Ahmed bin Ali Stadium, Ar-Rajjan** (pojemność: 40 740 miejsc)
- **Stadium 974, Ad-Dauha** (pojemność: 40 tys. miejsc) arena meczów Polski z Meksykiem i Argentyną
- **Al Thumama Stadium, Ad-Dauha** (pojemność: 40 tys. miejsc)
- **Khalifa International Stadium, Ar-Rajjan** (pojemność: 40 tys. miejsc)
- **Al Janoub Stadium, Al-Wakra** (pojemność: 40 tys. miejsc)

Do boju!

W zgodnej opinii fachowców dla awansu z grupy do fazy pucharowej najistotniejszy powinien być pierwszy mecz, który biało-czerwoni zagrają z Meksykiem. To rywal najbardziej zbliżony do naszej drużyny, jeśli chodzi o sportowy potencjał, choć obecnie bez wielkich i rozpoznawalnych piłkarzy w składzie. Pokonanie Meksyku i następnie wygrana w meczu z Arabią Saudyjską, z którą będziemy już zdecydowanym faworytem pozwoliłaby naszej drużynie na uzyskanie awansu nawet w przypadku porażki w ostatnim meczu grupowym z silną Argentyną. To jednak tylko „papierowe" dywagacje, które bardzo często mają się nijak do osiąganych później rezultatów w sportowej rywalizacji. Jedno jest pewne, 22 listopada o godz. 17.00 miliony Polaków, którzy na co dzień toczą być może spory na niwie politycznej czy światopoglądowej, zjednoczą się we wspólnym kibicowaniu reprezentacji biało-czerwonych. Mecz Polska – Meksyk będzie transmitowany na antenach TVP1 i TVP Sport (Telewizja Polska pokaże wszystkie 64 mecze MŚ). Niech znów opustoszeją ulice na czas transmisji jak za najlepszych lat polskiej piłki! Zaczynamy wielką grę.

ORLEN

Fot. Shutterstock

Las to nie plantacja

Plantacja po horyzont, wypełniona jednogatunkową uprawą, pozbawioną innych roślin, to istna pustynia ekologiczna. Kto nazywa plantacjami lasy gospodarcze w Polsce – będące rozbudowanym, różnorodnym ekosystemem – wykazuje się co najmniej skrajną ignorancją. Nie rozumie lub nie chce zrozumieć, na czym polega fenomen zrównoważonej gospodarki leśnej

Tych zaś, którzy chcą się dowiedzieć, czym tak naprawdę są lasy gospodarcze, zapraszamy najpierw na wycieczkę myślami w tropiki. To oczywiście tam, w krajach gorących stref klimatycznych, znajdziemy najwięcej plantacji. Często ogrodzone, niemające końca plantacje bawełny, kauczukowca czy eukaliptusa, choć malowniczo prezentują się na fotografiach, są zielonymi pustyniami. Termin ten, wymyślony w Brazylii pod koniec lat 60. XX w., odnosi się do rozległych, monokulturowych plantacji drzew przeznaczonych do produkcji, a sadzonych na terenach po wykarczowaniu lasu pierwotnego. Konsekwencjami takich projektów są katastrofalne szkody środowiskowe, a także szkody innej natury – jak przesiedlenie ludności. Tereny plantacji są bardziej narażone na suszę i pożary. Stwarzają także ryzyko wprowadzania do rodzimej przyrody groźnych dla niej roślin gatunków inwazyjnych.

W naszej strefie klimatycznej także spotykamy plantacje, zakładane w celu maksymalnego zwiększenia produkcji oczekiwanego surowca, np. owoców. W Polsce łatwo zna-

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 28/1122/F

eprasa.pl 1fa3695ca6

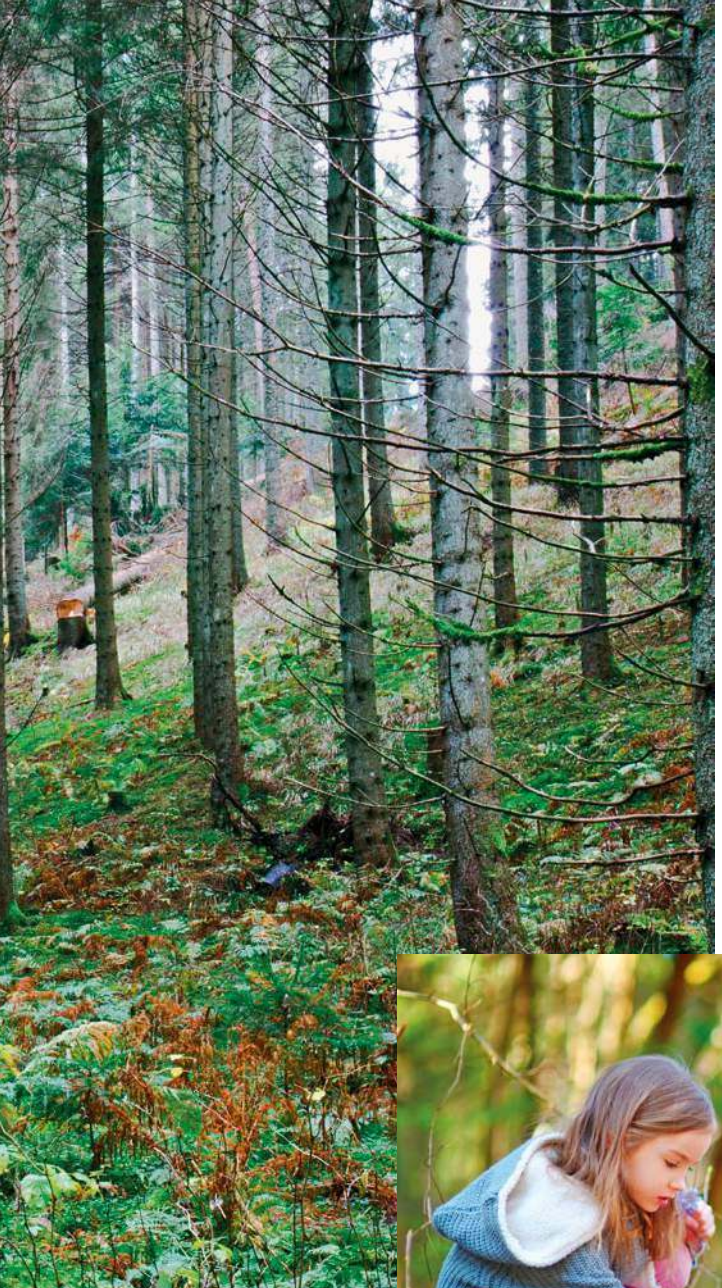

leźć plantacje roślin jagodowych – truskawek, malin czy porzeczek, a także coraz popularniejszych: borówki wysokiej i żurawiny. Są też niewielkie plantacje świerków i jodeł na drzewka świąteczne czy plantacje nasienne drzew leśnych, zakładane w celu uzyskania nasion drzew o dużej wartości genetycznej. Takich obszarów zajętych pod uprawę drzew jednego gatunku jest jednak mniej niż 2000 ha na 7,3 mln ha lasów zarządzanych przez Lasy Państwowe.

ZJEŚĆ CIASTKO I MIEĆ CIASTKO

Las gospodarczy, z definicji drzewostan sadzony i kształtowany przez człowieka, to wbrew pozorom rozbudowany ekosystem, w którym każdy organizm odgrywa określoną rolę i tworzy skomplikowaną sieć powiązań. Dzieje się tak i w jednogatunkowym drzewostanie, np. bukowym czy borze świeżym, gdzie króluje sosna, i w wielogatunkowym grądzie. Widać to chociażby w warstwie runa, której bogactwo tworzą roślinność, grzyby, owady i cały wszechświat mikroorganizmów.

Leśnik, inżynier środowiska, zakłada uprawy leśne. Decyzja o tym, które gatunki drzew zostaną posadzone, jest uzależniona od wielu warunków. Suche piaski, ubogie gleby lub grunty porolne nie udźwigną hodowli dębu czy buka, nie wysycą w składniki odżywcze i mineralne łapczywego grabu, dlatego profesjonalista posadzi tam sosnę. Ta w czasie wzrostu i dorastania do wieku rębności będzie powoli zmieniała strukturę i bogactwo gleby. Powstanie ekosystem coraz bogatszy w miarę upływu lat, wykształci się sieć mikoryzowa, wzrośnie różnorodność biologiczna. Taki las zapewni miejsce do życia organizmom związanym ze starymi drzewami, znajdą w nim swoje nisze koziorogi, dzięcioły i kwietnice. Zamieszkają w nim jelenie i sarny. Ten ekosystem, stworzony i zarządzany przez człowieka, ochroni gleby przed erozją, zretencjonuje tak cenną wodę. Będzie kulturotwórczy, urozmaici krajobraz, a okoliczni mieszkańcy znajdą tam miejsce do uprawiania sportu czy po prostu do relaksu.

TRZY CZĘŚCI WARKOCZA

Lasy gospodarcze to najlepsza dla natury odpowiedź na zapotrzebowanie człowieka na drewno i wszystkie jego 30 tys. zastosowań. Umiejętne korzystanie z zasobów przyrodniczych pozwala zjeść ciastko i mieć ciastko – osiągać efekt gospodarczy przy zachowaniu wszelkich walorów przyrodniczych lasu i jednocześnie nieprzerwanie udostępniać ten las odwiedzającym go ludziom, by spełniał swoje funkcje społeczne.

Dr Andrzej Kruszewicz, słynny ornitolog, mawia, że funkcje lasu są jak warkocz – składają się z nierozerwalnych elementów, które przeplatając się z sobą, tworzą sieć usług ekosystemowych. Las to skomplikowany, dynamiczny ekosystem, po brzegi wypełniony siecią układów i plątaniną zależności, których plantacja o krótkim, zaledwie kilkuletnim cyklu życiowym nie jest w stanie utrzymać. Bo las to nie plantacja...

Tekst na podstawie publikacji w kwartalniku „Echa Leśne", wydawanym przez Centrum Informacyjne Lasów Państwowych

Fot. Shutterstock (2x)

eprasa.pl 1fa3695ca6

Erik Werenskiold (1855–1938, Norwegia) „Na równinie"

NORDYCCY MALARZE W MUZEUM NARODOWYM W WARSZAWIE

Nastrojowa wyprawa na Północ

Ásgrímur Jónsson (1876–1958, Islandia) „Z Bíldudal"

Kojąca szeroka perspektywa. Na pierwszym planie – wpatrzona w dal dziewczynka w tradycyjnym stroju. Gdzie zobaczył taki widok Erik Werenskiold? Wiadomo, że gdy uwiecznił go w 1883 r., nadając obrazowi tytuł „Na równinie", wrócił na chwilę z Paryża – w którym się kształcił – do Norwegii.

Nie ma pewności co do tego, w okolicach jakiego siedliska postawił sztalugi, ale region to słynny Telemark. Wielu kojarzy go przede wszystkim z nazwą techniki narciarskiej w skokach. Jako okręg przestał samodzielnie istnieć 1 stycznia 2020 r. Jego krajobrazy są postrzegane jako typowo norweskie.

Urzekający „Nordycki letni wieczór" (1899–1900) Richarda Bergha powstał na wyspie Lidingö w pobliżu Sztokholmu. Obraz nie przedstawia jednak konkretnego pejzażu. To raczej synteza widoku rodzimej natury, po którą sięgała część artystów, tworząc z charakterystycznych elementów rodzaj znaczników narodowej tożsamości.

Inaczej rzecz się ma m.in. z twórczością malarza o trudnym do odmiany nazwisku.

Oscar Björck (1860–1929, Szwecja) „Wodowanie łodzi. Skagen"

Akseli Gallen-Kallela, bo o nim mowa, zasłynął z obrazów prezentujących fińskie jeziora i charakterystyczne dla tego kraju pojedyncze sosny. Jego prace prowadzą w bardzo konkretne rejony. Pod koniec XIX w. artysta zbudował na odludziu dom i istniejącą do dziś pracownię, którą nazwał Kalela. Można ją odwiedzić, wyruszając do miejscowości Ruovesi. Większość widoków Gallen-Kalleli powstała w jej bliższym i dalszym otoczeniu.

W podobnie ustronnym domu-pracowni, znanym jako Halosenniemi – tym razem w okolicach Helsinek, nad jeziorem Tuusula – osiedlił się Pekka Halonen. Jego obrazy to zapis życia miejscowej ludności i zatrzymane w czasie kadry z natury.

A jakie rejony inspirowały Alberta Edelfelta? Można je precyzyjnie zlokalizować. Obraz „Pod brzozami" powstał w okolicy wakacyjnego domu fińskiego malarza, w miejscowości Porvoo nad Morzem Bałtyckim.

Nie ma też wątpliwości, gdzie szukać widoków, które urzekły Ásgrímura Jónssona. Tytuł pracy – „Z Bíldudal" (1905) prowadzi nas do Islandii i miejscowości Bíldudalur, leżącej nad niewielką zatoką Sveinsvík. Gdy się uważnie przyjrzeć, można dostrzec charakterystyczne dla tej okolicy czerwone dachy.

Odrębną grupę nordyckich malarzy przełomu XIX i XX w. stanowią artyści tworzący w koloniach. I tak, na szpicy Półwyspu Jutlandzkiego, tam gdzie kończy się Dania, w niewielkiej, rybackiej wiosce Skagen, od lat 80. XIX w. działała prężna twórcza grupa. Wokół Michaela i Anny Ancherów skupili się tacy malarze, jak Peder Severin Krøyer i jego żona Marie Krøyer, Christian Krohg czy Oscar Björck, autor namalowanego w 1884 r. „Wodowania łodzi. Skagen". To jedna z wielu prac zainspirowanych codziennością okolicznych mieszkańców. Dziś w Skagen jest muzeum poświęcone malarskim kronikarzom rejonu.

Przywołanych twórców i ich obrazy można odnaleźć na otwartej właśnie w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawie pt. „Przesilenie. Malarstwo Północy 1880–1910". Pokazanych zostało na niej ponad 100 prac malarzy z Danii, Finlandii, Islandii, Norwegii i Szwecji. Wśród nich są także dzieła Edvarda Muncha, Vilhelma Hammershøia czy Carla Larssona.

Ekspozycji, którą można oglądać do 5 marca 2023 r., będą towarzyszyć dodatkowe wydarzenia. Warto śledzić ich zapowiedzi na stronie MNW, a moim przewodnikiem po wystawie był Wojciech Głowacki, jeden z kuratorów ekpozycji.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Muzeum Narodowe w Warszawie

eprasa.pl 1fa3695ca6

SŁODKO-SŁONY

Zimowy deser

ANNA MONICKA

Gdy znudzą ci się jesienne ciasta, sięgnij po... gruszki. Mamy taki jeden rodzinny deser, który bije na imprezach rekordy popularności, a niektórzy goście nawet specjalnie dzwonią wcześniej i go zamawiają. Jest specjalnością mojej mamy, ale robiły go też babcie i ciotki. Ma same zalety – jest tani, robi się go błyskawicznie, owoce są zdrowe, a cała reszta może być, pod warunkiem że nie sypniemy za dużo cukru. Oprócz gruszek jest potrzebny tylko budyń i przyprawy. Najlepiej wybrać taki niesłodzony, nawet bez słodzików, i samodzielnie dawkować cukier. Najlepszy jest waniliowy, może nawet uda się znaleźć w sklepie taki z naturalnym ekstraktem wanilii burbońskiej (ja go wytropiłam w internecie, jest pyszny, ale nieco droższy).

Kupujemy gruszki, najlepiej jak najtwardsze – nie ma z tym na szczęście problemu. Obieramy, kroimy na ćwiartki lub połówki, usuwamy gniazda nasienne i delikatnie gotujemy około kwadransa w wodzie z przyprawami: cynamonem, kardamonem, goździkami, gałką muszkatołową i odrobiną cukru. Ostrożnie wyjmujemy owoce na sito, odcedzamy i skrapiamy sokiem z cytryny. Można też czymś mocniejszym, np. jakimś likierem albo rumem, ale wtedy od tego deseru z daleka trzymamy dzieci.

Budyń gotujemy zgodnie z instrukcją, można wziąć ciut mniej mleka, wtedy będzie się lepiej trzymał. Ostatnio robiłam go na mleku owsianym, też wyszedł bardzo smaczny. Jeśli szykuje się większa impreza i gruszek jest dużo, najlepiej ugotować od razu dwa budynie. Zalewamy owoce i pozwalamy deserowi stężeć. Posypujemy na wierzchu cynamonem albo trzcinowym cukrem muscovado – ma świetny smak i jest znacznie zdrowszy niż biały, bo dużo w nim naturalnej melasy. Pasuje do różnych wypieków, ciast, sosów, także ostrych, doprawianych chili.

Ten deser smakuje i na zimno, i na ciepło, można go traktować jak podwieczorek albo nawet kolację. Dzieciaki go uwielbiają. Jest idealny na jesień, bo wypełnia zapachem rozgrzewających, orientalnych przypraw cały dom.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Owce tłustoogoniaste

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zróżnicowanie zwierząt hodowlanych to dział zoologii niekiedy nie mniej interesujący od opisania zróżnicowania zwierząt dzikich. Chociażby owce tłustoogoniaste. W Polsce ta grupa jest w zasadzie niespotykana. Owszem, ze słyszenia są znane dające cenną wełnę karakuły, bardzo rzadko jednak spotyka się u nas hodowlę tych owiec, nie mówiąc o innych rasach tej grupy. Tymczasem w krajach Azji, od Bliskiego Wschodu aż po Chiny, i na północy Afryki owce tłustoogoniaste są hodowane w wielkich ilościach i stanowią ok. 1/4 całej populacji owiec na świecie. Wspomniane karakuły są tylko jedną z co najmniej kilkunastu ras, zaliczanych do grupy tłustoogoniastych.

Owce tłustoogoniaste obejmują rasy bardzo stare, hodowane – jak wiadomo nam z różnych ich wizerunków – już w Mezopotamii, ok. 3000 r. p.n.e. (choć zapewne były to inne rasy niż obecnie).

Zwierzęta te są odporne nie tylko na gorąco, ale też na nocny, pustynny ziąb. Potrafią przeżyć w miejscach ubogich w pokarm i wodę. Te cechy jednak – doskonalone na skutek wielopokoleniowej hodowli dostosowane do specyfiki różnych części świata i w różnym stopniu rozwinięte – mają wszystkie owce. Cechą najbardziej wyróżniającą owce tłustoogoniaste już na pierwszy rzut oka jest budowa tylnych części ciała, od której wzięły swoją nazwę.

Nazwa doskonale opisuje ich wygląd: okazały ogon tych owiec, w którym akumuluje się tłuszcz, może ważyć do nawet do 8 kg. U części ras tłuszcz odkłada się w samym ogonie, który przybiera imponujące rozmiary, u innych z kolei odkłada się u nasady ogona i w dwóch uwypukleniach po obu jego stronach, nadając owcom egzotyczny wygląd.

Tłuszcz ogonowy był i jest na Wschodzie wyjątkowo ceniony i starannie wykorzystuje się każdy jego fragment. W Księdze Wyjścia czytamy: „I weźmiesz z barana tłuszcz i ogon, i tłuszcz pokrywający wnętrzności" (Wj 29,22), a w Księdze Kapłańskiej: „Jeżeli chce złożyć w darze owcę, niech złoży ją przed Panem. [...] Potem złoży z ofiary biesiadnej ofiarę spalaną dla Pana, to jest cały tłuszcz ogonowy – należy go oddzielić tuż przy kości ogonowej" (Kpł 3,7–9).

eprasa.pl 1fa3695ca6

Twarda nauka

Alina Czerniakowska

Dzisiaj należy powracać do historii, do ludzi, którzy zwyciężyli. Po 123 latach niewoli udało się zbudować Polskę, z którą liczyły się wielkie mocarstwa. I w zaledwie dwa lata później zwyciężyć bolszewicką Rosję, wroga wielokrotnie silniejszego.

Obecnie trwa wojna na dawnych polskich ziemiach, dzisiaj na Ukrainie. Musimy być silni i – jak powtarzał wielki wódz Józef Piłsudski – nie ufać nikomu, nie dawać się zwodzić żadnymi frazesami, zarówno tym ze wschodu, jak i z zachodu. Ograniczone zaufanie, dystans w przyjaźni z wszelkimi otaczającymi nas nacjami – tego uczy historia.

Dał Polsce wolność, granicę, moc i szacunek – te słowa często powtarzał mój ojciec, który o sobie mówił, że jest narodowcem, ale jednocześnie podkreślał, że nie byłoby wolnej Polski bez Józefa Piłsudskiego. Niełatwo szukać wśród przeszłych i obecnych pokoleń człowieka, który z taką wielką determinacją, nadzieją i wiarą w zwycięstwo prowadził naród ku wymarzonej i wyczekiwanej od lat wolności. Bez względu na to, czy był nazywany Ziukiem, Wiktorem, Komendantem, Naczelnikiem czy też Marszałkiem, gromadził wokół siebie ludzi, którzy byli w stanie iść za nim bez względu na konsekwencje i trudności. Dzięki jego charyzmie i mocnej wierze w zwycięstwo Polacy przekonali się, że można odzyskać i odbudować po półtorawiekowej niewoli państwowość i przywrócić Polskę do życia. Cud listopada 1918 r. nie byłby możliwy, gdyby nie ta wiara, którą trafnie ujęli legioniści Pierwszej Brygady w swoim hymnie: „Chcieć – to móc!".

Podobnie rzecz miała się z naszym wielkim triumfem z sierpnia 1920 r., który ocalił Europę przed zalewem bolszewizmu. Szef francuskiej misji wojskowej gen. Maxime Weygand odnotował w swoich wspomnieniach: „W ciągu trzech dni poprzedzających uderzenie Wojska Polskiego znad Wieprza, które Marszałek spędził wśród wojsk Czwartej Armii zelektryzował i przelał z własnej duszy w duszę walczących ufność i wolę pokonania wielkich przeszkód. Nikt poza Piłsudskim nie mógł tego dokonać. Pod żadnym innym dowódcą Wojsko Polskie nie dokonałoby z tym uniesieniem zażartym tej ofensywy, która miała doprowadzić je w ciągu kilku dni aż do granicy, rozwalając siły czterech armii sowieckich, które dopiero co miały się za zwycięzców". Trzeba pamiętać, że napisał tak francuski generał przysłany do Polski jako doradca. Nie był on zwolennikiem takiej koncepcji prowadzenia wojny z bolszewikami, którą swoimi rozkazami Piłsudski wdrażał w życie. Ciekawe jest także to, że to właśnie gen. Weyganda część przeciwników Marszałka próbowała przedstawić jako autora zwycięskiego planu odparcia bolszewików spod Warszawy.

W odrodzonej Rzeczypospolitej Marszałek podjął trudną próbę nauczenia Polaków szacunku do odzyskanego państwa. Mawiał z goryczą: „Martwi mnie, że w odrodzonym państwie nie nastąpiło odrodzenie duszy narodu", i o to odrodzenie zabiegał do końca swoich dni. Czynił to w przekonaniu, że Polska w swoim położeniu geopolitycznym nie może sobie pozwolić na jakąkolwiek słabość zarówno w wymiarze zewnętrznym, jak i wewnętrznym. I choć nie pozostawił spisanego testamentu politycznego, to jego słowa i wskazania układają się w taki testament, który nie stracił nic na aktualności. Celnie opisał go jeden z najwybitniejszych poetów polskiego Londynu Marian Hemar. Zastanawiając się nad przesłaniem Komendanta dla współczesnych, pisał: „Jego Testament – dwa słowa: nakaz Wielkości!", i puentował: „Albo będziemy wielcy, albo nie będzie nas wcale".

Ten testament realizowały pokolenia walczące w czasie wojny i po wojnie o ponowny powrót Rzeczypospolitej do grona niepodległych państw. W powojennej rzeczywistości narzuconej Polsce dyktatem jałtańskim powtarzano z mocą i nadzieją słowa Komendanta: „Być zwyciężonym i nie ulec – to zwycięstwo!". I zwycięstwo przyszło.

Nasze pokolenie otrzymało od Opatrzności zadanie odbudowania suwerennego bytu Polski i oby zawsze towarzyszyło nam w tym dziele przesłanie Marszałka: „Przed Polską stoi wielkie pytanie, czy ma być państwem równorzędnym z wielkimi potęgami świata, czy ma być państwem małym, uzależnionym, sterowanym i wykorzystywanym przez obcych, państwem narażonym na utratę niepodległości". Każdego dnia musimy czynem odpowiadać na to retoryczne pytanie, przesłanie zwycięskiego Wodza, który Polskę umiłował bardziej niż własne życie.

Józef Piłsudski potrafił dokonać rzeczy wręcz niemożliwej. Zbudował państwo będące znaczącym graczem politycznym i militarnym w Europie, pozostawił po sobie wielką spuściznę materialną i duchową, która dzięki zaangażowaniu wielu pokoleń Polaków w kraju i poza jego granicami pozwala głośno i dobitnie stwierdzić, że bez Józefa Piłsudskiego nie byłoby Polski wolnej i niepodległej.

Na koniec warto przytoczyć pewien dokument, odezwę, która dzisiaj ma szczególną wymowę: „Obywatele Rzeczypospolitej! Ojczyzna w potrzebie! Wrogowie chcą zniszczyć wywalczoną krwią i trudem niepodległość naszą i na cmentarzysku polskim rozpocząć swoje straszne panowanie. Jak jednolity niewzruszony mur stanąć musimy do oporu! Jedność, zgoda, wytężona praca niech skupi nas wszystkich dla wspólnej sprawy! Żołnierz Polski musi mieć to przeświadczenie, że stoi za nim cały naród w każdej chwili gotowy przyjść mu z pomocą i za Ojczyznę złożyć krew i życie. Niech na wołanie Polski nie zabraknie żadnego z jej wiernych i prawych synów, co wzorem ojców i dziadów pokotem położą wroga u stóp Rzeczpospolitej!

W imieniu Rady Obrony Państwa

Józef Piłsudski / Naczelnik Państwa, Naczelny Wódz / Warszawa, dnia 3 lipca 1920 r.".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 1fa3695ca6

PRZEZ ŚWIETLIK

Dron na szyję

Wiktor Świetlik

Wśród wielkich głupot i bzdur powtarzanych przez rozmaitych fanatycznych liberałów żadna się chyba bardziej nie skompromitowała niż ta, że „kapitał nie ma ojczyzny". Wygląda na to, że świat zachodni konsekwentnie wyznaje także zasadę, że technologia zbrojeniowa też jej nie ma.

Może nie w deklaracjach, ale w praniu to wychodzi. Trudno o dobitniejszy przykład na to, jak pazerność prowadzi do kręcenia sobie pętli na szyję, albo – wedle znanej leninowskiej definicji – do sprzedaży przez kapitalistów bolszewikom sznura, na którym ci ostatni ich powieszą. Zresztą sprawa dotyczy nie tylko bolszewików. Znanym przykładem podobnego działania była sprzedaż przez Wielką Brytanię Niemcom silników lotniczych firmy Rolls-Royce, które potem posłużyły jako prototypy dla silników napędzających messerschmitty osłaniające bombowce bombardujące Londyn. Zresztą podobne przykłady można by mnożyć.

Wówczas i teraz. Dziennik „The Wall Street Journal" napisał, że irańskie drony, które tak bardzo przydają się Władimirowi Putinowi do niszczenia ukraińskich instalacji energetycznych i mordowania cywilów, niemal w całości składają się z podzespołów powstających w USA plus trochę techniki japońskiej i europejskiej. Bez tego Iran nie miałby szans na wyprodukowanie czegokolwiek nawet zbliżonego. Dość ciekawie to brzmi w kontekście tego, że przecież państwem, którego obroną Stany Zjednoczone są zainteresowane w największym stopniu, jest Izrael, jeden z najbardziej prawdopodobnych celów ataku owych dronów. Przy okazji USA też latami gardłowały w sprawie krajów, które sprzedają Iranowi rozmaite technologie, skupiając się przede wszystkim na kwestii reaktorów jądrowych. Jak się okazuje, jednak własne firmy albo bezpośrednio, albo przez jakiś afrykański kraik ów Iran faktycznie dozbrajały w niezbędne elementy i służby USA nie były w stanie tego upilnować.

Ktoś powie, że to skutki globalizacji i nie da się ich uniknąć. Może i tak, ale w podobny sposób tłumaczono budowę gazociągów Nord Stream. W podobny sposób masa zachodnich firm omija embargo na dostawy do Rosji, sprzedając jej sprzęt i technologię przez rozmaite kraje, a także pompuje w nią kasę przez pogmatwane systemy funduszy, o czym od czasu do czasu któreś z mediów donosi. Czasy się zmieniają, ale zasada sznura sprzedawanego bolszewikom pozostaje nader trwała.

Apostazja

Lech Makowiecki

„Apostazja zwykle jest utożsamiana z całkowitym wyrzeczeniem się wiary i wystąpieniem z Kościoła. Skuteczne dokonanie apostazji oznacza również automatyczną ekskomunikę następującą z mocy prawa kanonicznego...". Tyle informacji przepisanej ze strony TVN24. Dalej następuje szczegółowe omówienie procedury wyjścia, którą bardzo precyzyjnie ustanowiła Konferencja Episkopatu Polski.

Apostazję można przeprowadzić dziś bardzo szybko i bez zbędnego rozgłosu. No, chyba że się jest artystą estradowym. Od ponad 40 lat funkcjonuję w tzw. show-biznesie, napatrzyłem się więc na marketingowe patenty związane z promocją płyty, reklamą trasy koncertowej czy standardowym przypominaniem fanom o swoim istnieniu. Z dużą rezerwą podchodzę zatem zarówno do nagłych nawróceń grzesznych gwiazd, jak i ich ostentacyjnego wychodzenia z Kościoła (w którym tak naprawdę nigdy nie byli). A wystarczyłoby przepytać publicznie, przed kamerami niedoszłych apostatów z Dekalogu lub ze znajomości słów modlitwy „Ojcze nasz" – i rozdęte ego lansera/lanserki pękłoby już na starcie.

„Jesteśmy bardziej popularni niż Jezus" – te słowa Johna Lennona są wzorcowym przykładem megalomanii. Piosenkarka Sinéad O'Connor skandalizującymi wypowiedziami próbowała odreagować problemy z seksualnością i poszukiwaniem wiary. Lennona zabiła własna sława, O'Connor dopadły zaburzenie afektywne dwubiegunowe i myśli samobójcze. Wielu celebrytów odżegnujących się publicznie od Kościoła podnosi problem pedofilii wśród księży katolickich. W tej nagonce na osoby duchowne nie zauważa się przestępstw seksualnych pedofilów z innych środowisk. Nikt jakoś nie dystansuje się od zdemoralizowanych artystów, trenerów, instruktorów, nauczycieli czy skrajnych genderystów (dążących oficjalnie do legalizacji pedofilii).

PS W chwili gdy na Polskę spadają pierwsze rakiety, te egoistyczne pięknoduchy zamiast Polaków łączyć – rozbijają naszą wspólnotę.

eprasa.pl 1fa3695ca6

Horda chaosu

Piotr Cywiński

„Ludzie dokonujący wciąż odwiertów w poszukiwaniu złóż ropy i gazu mają krew na rękach, żaden sponsoring tego nie zmyje" – napisali na Twitterze tzw. klimatyczni aktywiści po oblaniu zużytym olejem silnikowym obrazu Gustava Klimta „Śmierć i życie" w wiedeńskim Muzeum Leopoldów. Rzecz oczywista, sfilmowali tę swoją akcję i opublikowali ją w internecie – niech świat słyszy i widzi, jacy są dzielni!

Nie pierwsza to taka akcja, był już atak na „Dziewczynę z perłą" pędzla Vermeera w holenderskim muzeum Mauritshuis, na „Stogi zboża" Moneta w poczdamskim muzeum, na „Słoneczniki" van Gogha czy na „Wóz na siano" Constable'a w londyńskiej Galerii Narodowej. Olej, zupa pomidorowa, kartoflanka albo klej, którym można się przykleić do ram, i filmik, i internet, a i sądowe tyrady, jak te Phoebe Plummer, lat 21, członkini grupy Just Stop Oil, o tym, że (była już premier Wielkiej Brytanii) Lizz Truss wydała ponad 100 nowych licencji na wydobywanie paliw kopalnianych. Czyż to nie skandal?

Olejowego zamachu w wiedeńskiej świątyni sztuki dokonali aktywiści ruchu Ostatnie Pokolenie w proteście przeciw OMV, koncernowi naftowo-gazowemu, który sponsoruje ów przybytek kultury, a ma na rękach krew, no bo „ropa i gaz zabijają" – co wykrzyczał przyklejony do dzieła Klimta 24-latek. Niebawem „pogrążymy się w piekle upałów, suszy i chaosu pogodowego na pokolenia", „grozi nam upadek rolnictwa" i „upadek ludzkości z powodu głodu i wojen" – ale „ludzkość wciąż może wybrać życie i pozostawić skamieniałą śmierć w ziemi". Dlatego on z kumplem w tym muzeum, z tym olejem i klejem na tę „Śmierć i życie".

„To horda chaosu!" – zagrzmiała Claudia Plakolm, sekretarz stanu w gabinecie kanclerza Karla Nehammera. Jak tu się nie zeźlić, przecież wszystko to da się załatwić stopniowo, etapami, w cywilizowany sposób. Jak nasza europosłanka-weganka Sylwia Spurek, która się nie przykleja, zupy nie marnuje, jaj do rąk nie bierze, tudzież brzydzi się surowcami kopalnianymi, a tylko postuluje i apeluje o zamknięcie barów mlecznych i zaniechanie programu „Szklanka mleka" w szkołach – każde dziecko powinno wiedzieć, że krowy są najpierw gwałcone, żeby mogły być zapłodnione, by potem można było doić z nich mleko w wyniku tych gwałtów. I należy wprowadzić zakaz reklamowania nabiału w mediach z jajami włącznie, a także mięsa i wyrobów mięsnych, wstrzymać dopłacanie do uprawy pasz, a najlepiej w ogóle zlikwidować hodowle zwierząt.

Czas na zmiany! To-le-ran-cja! Kon-sty-tuc-ja...!

Psalmy już w komplecie

Adam Ciesielski

Koniec wieńczy dzieło. Wyszły właśnie dwa ostatnie z 10 albumów z zarejestrowanymi przez Chór Polskiego Radia nagraniami kompletu 150 „Melodii na psałterz polski" Mikołaja Gomółki do wierszowanych parafraz Jana Kochanowskiego.

Kochanowski (1530–1584) swój przekład „Psałterza Dawidowego" wydał w 1579 r. w krakowskiej Drukarni Łazarzowej. O opatrzenie swojego tekstu muzyką poeta musiał zawczasu poprosić Gomółkę (1535–1609), bo jego „Melodie na psałterz polski" ukazały się w druku zaledwie rok później. Całość miała służyć modlitwie i muzykowaniu w domowych warunkach. „Są łacniuchno uczynione / Prostakom niezatrudnione / Nie dla Włochów, dla Polaków / Dla naszych, prostych domaków" – przybliża kompozytor ambicje swojego dzieła. Faktycznie jego oprawa muzyczna jest wysokiej próby, na miarę strof mistrza z Czarnolasu.

Inicjatorem i współrealizatorem wyjątkowego projektu, prezentującego naszą znakomitą muzykę i poezję doby renesansu, jest Program 2 Polskiego Radia. Sama rejestracja nagrań, dokonywanych m.in. w kościołach Krakowa, Olkusza, Niepołomic, trwała trzy lata. Pierwsze dwa albumy, niezwykle starannie przygotowane także edytorsko, tak jak i cała seria, ukazały się jesienią 2018 r., część dalszych wychodziła w trudnych latach pandemii.

Trafiające teraz do słuchaczy dwa ostatnie kompakty obok psalmów błagalnych, wołających o ratunek i zmiłowanie przynoszą psalmy prorocze i pochwalne, wyrażające nadzieję na przyjście Mesjasza i wiarę w sens boskich dzieł.

Klimaty uduchowionych strof Kochanowskiego i muzycznej ilustracji Gomółki idealnie oddają rewelacyjne interpretacje. Brawa dla Chóru Polskiego Radia, Compass Viol Consort z Bazylei i międzynarodowego grona solistów pod wodzą Agnieszki Budzińskiej-Bennett – wokalistki, harfistki, znawczyni wykonawstwa historycznego. To im zawdzięczamy wielkie wydarzenie muzyczne.

Mikołaj Gomółka, „Melodie na psałterz polski. Opera omnia" vols. 9 & 10: psalmy prorocze, błagalne i pochwalne, Polski przekład psalmów: Jan Kochanowski, wyk. Chór Polskiego Radia, soliści i instrumentaliści z całej Europy pod kierownictwem Agnieszki Budzińskiej-Bennett, wyd. Agencja Muzyczna Polskiego Radia

eprasa.pl 1fa3695ca6

Michał Korsun prezentuje:
Donald Trump wraca do gry

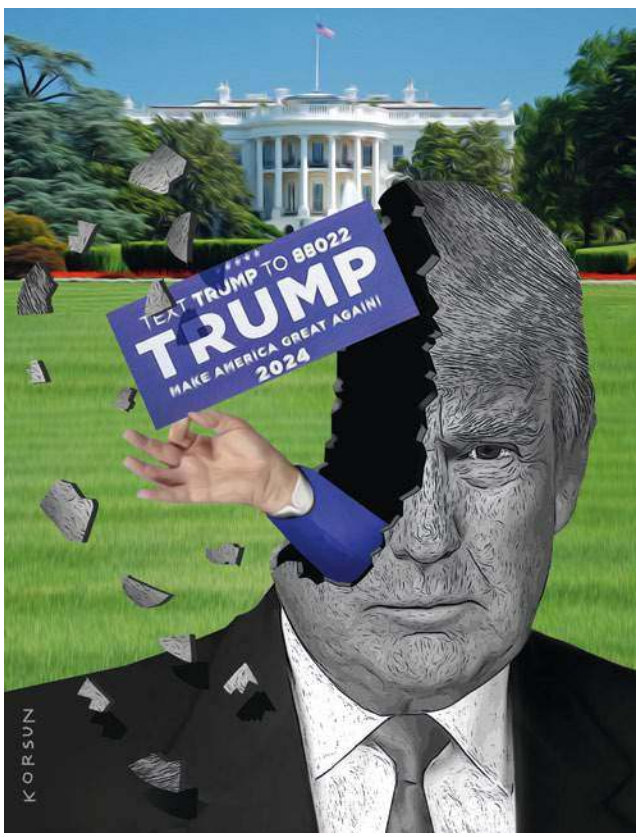

Referencje Shutterstock

Wycinki z przeszłości

Ta kolorowa okładka magazynu dla rolników „Plon" z października 1938 r. przypomina nam wielki wysiłek, jaki społeczeństwo II Rzeczypospolitej podjęło na rzecz wzmocnienia wojska. Wojna już majaczyła na horyzoncie, gdy w 1936 r. dekretem Prezydenta RP utworzono Fundusz Obrony Narodowej. Włączały się w te działania organizacje społeczne, szkoły, media. Niestety, mimo ofiarności armia nie była gotowa na walkę z dwoma barbarzyńskimi potęgami. Akcje te pozostały jednak dowodem niezłomnego patriotyzmu wolnych Polaków.

(mk)

Z wierszy listopadowych

Z jego czasów, spośród tej niezwykle urodzajnej epoki poetyckiej, najbliższy jest mi on? To, co mówił, w jakich okolicznościach, czego bronił, czemu był wierny. Jak prosty, czuły, swobodny był w przestrzeni swojej polszczyzny. Jako jednostka – ktoś niezależny, wolny. Od dawna coraz bardziej on...

Leszek Długosz

Kazimierz Wierzyński (1894–1969)

„Do moich zmarłych"

Zmarli moi, nie opuszczajcie mnie!
Tylko przy waszej śmierci bliski jestem życia,
Tylko wspomnienie o was nie zmniejsza mi świata,
Tylko wy, nieskalani, uszliście rozbicia,
Tylko wśród was mam ojca i matkę, i brata,
Tylko wasze istnienie jest mi tu konieczne,
Tylko za wami iść mi, iść na wieki wieczne.

Zmarli moi, pozostańcie przy mnie!
Tylko przez was nie ginie to, co kiedyś było,
Tylko przez was zabliźnia się czas poszarpany,
Tylko przez was pojmuję mą przyszłość zawiłą,
Tylko w was śmierć i życie nie krwawią, jak rany,
Tylko na was się godzą i w was nie są sprzeczne,
Tylko za wami iść mi, iść na wieki wieczne.

Zmarli moi, pomóżcie mi!
Tylko przez was się budzi moja wiara ze snu,
Tylko przez was dosięgam jej siły w pokorze,
Tylko wy mnie wznosicie nad próbę doczesną,
Tylko z wami podejmę i przejdę ją może,
Tylko z was mnie oświeca, co jest ostateczne,
Tylko za wami iść mi, iść na wieki wieczne.

Zmarli moi, usłyszcie mnie!
Tylko tą ludzką mową mówić do was mogę,
Tylko tą ziemią zdążać, która was poczęła,
Tylko to niebo wspomnieć i pola, i drogę,
Tylko to miasto w gruzach, zburzone w nim dzieła,
Tylko za wami, coście szli w łuny tameczne,
Tylko za wami iść mi, iść na wieki wieczne.
Amen

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 1fa3695ca6

OD A DO ZYBERTOWICZA

Gdyby upadł kolejny Rzym?

Może warto patrzeć na inicjatywę Trójmorza również *jako na zapasowe rusztowanie współpracy w ramach UE*

Cesarstwo Rzymskie przeminęło. Ale czy do końca? Gdy dziś odwiedzamy stolicę Italii, widzimy pozostałości jego potęgi, sławy i chwały – liczne dzieła sztuki, rzeźby, budynki, konstrukcje. Wciąż kruszejące, ale nie do końca upadłe.

Odwiedzając Wieczne Miasto aż się prosi, by przywołać motto, którym pisarz Jarosław Iwaszkiewicz (1894–1980) opatrzył swoją trzytomową powieść „Sława i chwała":

„Niesprawiedliwość może triumfować w sławie, ale chwała zawsze jest po stronie sprawiedliwości".

Cesarstwo Rzymskie – czy głównie dzięki skutecznym i krwawym podbojom? – zyskało ongiś mnóstwo sławy. Ale to jego chwała okazała się trwalsza. Trudniej od zabytków dostrzec gołym okiem dorobek klasycznej myśli i praktyki prawniczej. Formuły: „Prawo nie działa wstecz", „Wysłuchaj też drugiej strony" należą do grona nienaruszalnych zasad, na których opierają się koncepcje praw człowieka i praworządności. Przestrzeganie tych zasad chroni przed licznymi niesprawiedliwościami. Mają wyraźną wartość moralną.

Tak, potęga militarna cesarstwa przeminęła, jego granice przestały być strzeżone, pomniki i pogańskie świątynie obalono, jednak nie traci blasku chwała dzieł intelektualnych i refom instytucjonalnych, które odnowione po wiekach nadal mają wielki walor cywilizacyjny.

Ale przecież na dziejach cesarstwa zachodniego, ze stolicą nad Tybrem, epoka Rzymian i „Rzymian" się nie skończyła. Zbyt rzadko pamiętamy, że po kilku jedynie stuleciach potęgi Rzymu zachodniego, przez ponad 1 tys. lat trwało cesarstwo wschodnie, które upadło dopiero w 1453 r. Jego mieszkańcy także uważali się za Rzymian.

Refleksje nad Cesarstwem Rzymskim przyszły, gdy przygotowywałem się do udziału w panelu na temat inicjatywy Trójmorza na Kongresie 590 w Rzeszowie (odbył się 17–18 listopada 2022 r.).

Niekiedy inicjatywa ta buksuje w proceduralnych niesprawnościach, ciągle chyba nie rozwinęła skrzydeł należycie, co powoduje, że gubi się jej kluczowe przesłanie. A ująłbym je tak oto.

(1) Unia Europejska, w ramach której projekt Trójmorza jest budowany, dotychczas rozwijała się w pewnym sensie jednowektorowo. Ścieżki integracji i rozwoju biegły głównie wzdłuż osi zachód – wschód, z ogromnym zaniedbaniem osi północ – południe. Dróg, sieci kolejowych i energetycznych, nurtów współpracy kulturalnej wzdłuż tej pierwszej osi jest o wiele więcej niż wzdłuż drugiej. Trójmorze stara się to nadrobić.

(2) Unia Europejska do dziś jest zarządzana bardziej mono- niż policentrycznie. Więcej w niej poleceń niż dialogu. W wielu krajach elity wprost obawiają się inicjować międzynarodowe projekty wielkoskalowe, pokornie czekając na błogosławieństwo Brukseli, Berlina czy Paryża.

(3) Procesy integracyjne Unii Europejskiej często są sztucznie odgórnie przyspieszane. A to wiąże się z jednoczesnym lekceważeniem ścieżek integracji organicznej, oddolnej, spontanicznej: przez wymianę gospodarczą, akademicką, turystykę, sztukę itd.

Trójmorze winno Unię w tych trzech punktach wzmocnić – nie przeciw innym krajom członkowskim, ale też bez specjalnego czekania na łaskawą akceptację ze strony elit starych krajów członkowskich.

Stare kraje UE mają bardzo poważne problemy. Te dobrze znane to: niekontrolowane migracje z południa i Bliskiego Wschodu; kryzys strefy euro związany z wysokim zadłużeniem Grecji, Włoch, Francji, Hiszpanii, ruchy nacjonalistyczne, terroryzm islamistyczny, o którym na razie ciszej, ale to nie znaczy, że problem sam się rozwiązał.

Nie jest mi wcale trudno sobie wyobrazić, że w razie kumulacji tych kryzysów, ewentualnie zaistnienia nowych, dziś nie tak łatwych do przewidzenia, stara Unia może skruszeć niczym zachodni Rzym.

Ale czy to znaczy, że my – Europejczycy środkowi, wschodni i bałkańscy – również mamy rezygnować z dobrej wzajemnej współpracy? Może warto patrzeć na inicjatywę Trójmorza *również* jako na zapasowe rusztowanie współpracy, na wypadek gdyby błędy zadufanych w sobie, skorumpowanych, czasem agenturalnie przez Rosję manipulowanych elit tradycyjnego rdzenia Unii postawiły wspólnotę pod znakiem zapytania?

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 1fa3695ca6

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności
tygodnika SIECI

X EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz dziesiąty wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością

2021
Prezes PiS
Jarosław Kaczyński

2020
Prezes PKN ORLEN
Daniel Obajtek

2019
Premier
Mateusz Morawiecki

2018
Wicepremier
prof. Piotr Gliński

2017
Prezes Trybunału Konstytucyjnego
Julia Przyłębska

2016
Prezes PiS
Jarosław Kaczyński

2015
Prezydent RP
Andrzej Duda

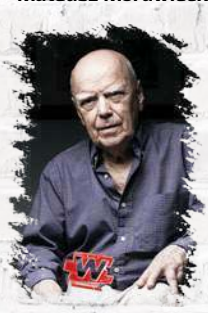

2014
Poeta i pisarz
Jarosław Marek Rymkiewicz

2013
Historyk z IPN
prof. Krzysztof Szwagrzyk

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2022**. Prosimy wypełnić kupon i przesłać go do 16 grudnia 2022 r. na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt". Regulamin plebiscytu dostępny na www.wsieciprawdy.pl

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2022 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata .....

uzasadnienie .....

.....

.....

☐ Akceptuję Regulamin plebiscytu „Człowiek Wolności 2022 tygodnika Sieci" dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl i oświadczam, że zapoznałam/em się z jego treścią.*

* pole obowiązkowe

Partnerzy plebiscytu

Bank Pekao · Enea · Kasa Stefczyka · Lasy Państwowe · ORLEN · PGE Polska Grupa Energetyczna · Bank Polski · SKOK

eprasa.pl 1fa3695ca6

Zrób bliskim prezent na święta...

Radość potrwa cały rok!

ROCZNA PRENUMERATA

SIECI + wSIECI HISTORII

37% TANIEJ
+ 3 KSIĄŻKI w prezencie

ROCZNA PRENUMERATA SIECI

33% TANIEJ
+ KSIĄŻKA w prezencie

Wejdź na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

i zamów już dziś dla siebie lub bliskiej osoby roczną prenumeratę:

- tygodnika „Sieci” za 265 zł, a książkę dostaniesz w prezencie
- pakietu: tygodnika „Sieci” i magazynu „wSieciHistorii” za 295 zł, a w prezencie otrzymasz aż 3 książki

Konto do wpłat za prenumeratę: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule przelewu: PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI (swoje lub osoby obdarowanej prenumeratą).

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl 1fa3695ca6